

5923

III

1904. A. 172

KALENDARZ

„PRAWDY”

na rok Pański 1904.



☛ Cena 60 halerzy. ☛

Kalendarze

SKALE STEMPLOWE.

SKALA I. na weksle.

	Do sumy	150 Koron	Kor. h.
nad	150 Koron do	300 »	— 10
»	300 » »	600 »	— 20
»	600 » »	900 »	— 40
»	900 » »	1200 »	— 60
»	1200 » »	1500 »	— 80
»	1500 » »	1800 »	1 —
»	1800 » »	2100 »	1 20
»	2100 » »	2400 »	1 40
»	2400 » »	2700 »	1 60
»	2700 » »	3000 »	1 80
»	3000 » »	6000 »	2 —
»	6000 » »	9000 »	4 —
»	9000 » »	12000 »	6 —
»	12000 » »	15000 »	8 —
»	15000 » »	18000 »	10 —
»	18000 » »	21000 »	12 —
»	21000 » »		14 —

i tak dalej za każde 3000 koron o 2 kor. więcej, przyczem resztę nie przenoszącą 3000 kor. jako pełną przyjąć należy.

SKALA II. kwity i dokumenta w sprawach prawnych.

	do	40 Koron	Kor. h.
nad	40 Koron do	80 »	— 14
»	80 » »	120 »	— 26
»	120 » »	200 »	— 38
»	200 » »	400 »	— 64
»	400 » »	600 »	1 26
»	600 » »	800 »	1 88
»	800 » »	1600 »	2 50
»	1600 » »	2400 »	5 —
»	2400 » »	3200 »	7 50
»	3200 » »	4000 »	10 —
»	4000 » »	4800 »	12 50
»	4800 » »	5600 »	15 —
»	5600 » »	6400 »	20 —
»	6400 » »	8000 »	25 —
»	8000 » »	9600 »	30 —
»	9600 » »	11200 »	35 —
»	11200 » »	12800 »	40 —
»	12800 » »	14400 »	45 —
»	14400 » »	16000 »	50 —

Nad 16000 kor. od każdych 800 kor. opłaca się nadwyżkę po 2 koron 50 h. — ilość nie dochodzącą 800 koron uważa się za całkowitą.

Rachunki do 20 kor. włącznie są bezwarunkowo (§ 12 ustawy z 9 lutego 1850 Nr. 50 dz. u. p.) wolne

są od opłaty; następnie rachunki wystawione na mniejszą sumę niż 100 kor., 2 h. od każdego arkusza; zaś na sumę nad 100 kor., 10 h. od arkusza opłacać należy.

Pod rachunkami (kontami, notami, wykazami itd.) rozumieć należy wszelkie pisma, bez względu, czy one zawierają zapłatę, wystawiane przez kupców lub przemysłowców na przedmioty ich handlu lub przemysłu, z powodu interesów wynikłych z ich zatrudnienia.

Obowiązek uiszczenia tej stałej opłaty zachodzi i wtenczas, jeżeli rachunki tego rodzaju wpisane są w treść korespondencji kupieckiej (§ 9 ustawy z 22 lutego 1864), lub jeżeli po nich dołączone są jako dodatek, załącznik itp.

Aby zaszedł obowiązek uiszczenia opłaty, nie potrzeba podpisów wystawcy, lecz wystarczy jeżeli z rachunku takiego przez znak wydrukowany, stampilę i t. p. poznać można zakład lub osobę, w której interesie wystawienie nastąpiło.

Z tego wypływa, że ulegają także opłacie rachunki wystawione w interesie osób utrzymujących hotele, domy zajezdne i t. p.

Odписы takich rachunków ulegają tej samej opłacie co i oryginały.

SKALA III. ugody pożyczkowe, kontrakty służbowe, kwity na wygrane loteryjne.

	Do	20 Koron	Kor. h.
nad	20 Koron do	40 »	— 14
»	40 » »	60 »	— 26
»	60 » »	100 »	— 38
»	100 » »	200 »	— 64
»	200 » »	300 »	1 26
»	300 » »	400 »	1 88
»	400 » »	800 »	2 50
»	800 » »	1200 »	5 —
»	1200 » »	1600 »	7 50
»	1600 » »	2000 »	10 —
»	2 00 » »	2400 »	12 50
»	2400 » »	3200 »	15 —
»	3200 » »	4000 »	20 —
»	4000 » »	4800 »	25 —
»	4800 » »	5600 »	30 —
»	5600 » »	6400 »	35 —
»	6400 » »	7200 »	40 —
»	7200 » »	8000 »	45 —
»	8000 » »		50 —

Nad 8000 kor. od każdych 400 kor. opłacaną być ma należność wraz z nadzwyczajnym dodatkiem po 2 kor. 50 h. przyczem sumy niżej 400 kor. uważają się jako pełne.



Biblioteka Jagiellońska



1002195243



5923

III
Czasop.

1904

W KRAKOWIE

Nakładem redakcyi „Prawdy”

Dni.		KALENDARZ rzymsko-katolicki	SŁONCA		KSIEŻYCA	
			wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.

Noworoczna. O obrzezaniu Chrystusa. Łuk. 2.

P.	1	Nowy Rok	8 14	3 53	2 47	5 40
S.	2	Makarego op.	8 14	3 54	3 44	6 45

1 po N. R. O chrzcie Chrystusa w Jordanie. Mat. 3.

N.	3	Genowefy p.	8 13	3 55	4 52	7 43
P.	4	Tytusa b.	8 13	3 56	6 7	8 33
W.	5	Telesfora m.	8 13	3 57	7 26	9 14
Śr.	6	Św. 3 Króli	8 13	3 59	8 46	9 49
Cz.	7	Lucyana m.	8 12	4 0	10 5	10 19
P.	8	Seweryna m.	8 12	4 1	11 22	10 47
S.	9	Juliana m.	8 11	4 3	rano	11 14



2 po N. R. 12-letni Jezus naucza w kościele. Łuk. 2.

N.	10	Marcyana w.	8 11	4 4	12 37	11 41
P.	11	Hygina m.	8 10	4 5	1 49	12 9
W.	12	Arkadyusza m.	8 9	4 7	2 58	12 41
Śr.	13	Hilaryusza p.	8 9	4 8	4 3	1 17
Cz.	14	Eufrozyny p.	8 8	4 10	5 3	1 58
P.	15	Pawła pustel.	8 7	4 11	5 57	2 45
S.	16	Marcelego p.	8 6	4 13	6 45	3 37

3 po N. R. Gody w Kanie Galilejskiej. Jan 2.

N.	17	Antoniego pustel.	8 5	4 15	7 26	4 33
P.	18	Katedry ś. Piotra	8 4	4 16	8 1	5 33
W.	19	Henryka b. i m.	8 3	4 18	8 31	6 34
Śr.	20	Fab. i Seb. mm.	8 2	4 20	8 57	7 37
Cz.	21	Agnieszki p. i m.	8 1	4 21	9 21	8 40
P.	22	Wincentego	8 0	4 23	9 44	9 44
S.	23	Jana Jałmużnika	7 59	4 25	10 6	10 48

4 po N. R. O trędowatym i paralityku. Mat. 8.

N.	24	Tymoteusza m.	7 58	4 27	10 29	11 53
P.	25	Nawrócenie ś. P.	7 56	4 29	10 54	rano
W.	26	Polikarpa p.	7 55	4 30	11 22	1 0
Śr.	27	Jana Złotoustego	7 54	4 32	11 55	2 8
Cz.	28	Ildefonsa p.	7 52	4 34	12 36	3 16
P.	29	Franciszka Sal.	7 51	4 36	1 26	4 22
S.	30	Martyny p.	7 49	4 38	2 26	5 24

Starozapustna. O robotnikach w winnicy. Mat. 20.

N.	31	Piotra wyz.	7 48	4 40	3 36	6 19
----	----	--------------------	------	------	------	------



⊕ Pełnia: 3-go Stycz., o 7 przed południem. — ⊕ Ostatnia kwadra: 9-go Stycznia, o 10 wieczorem.
 ⊙ Nów: 17-go Stycznia, o 5 po połud. — ⊙ Pierwsza kwadra: 25-go Stycznia, o 10 wieczorem.





Św. Seweryn

niewiadomo skąd pochodził, gdyż zwykły był mawiać, że dla chrześcianina ojczyzną jest niebo i o tej tylko pamiętać potrzebuje. Żył w połowie V wieku, gdy Attyla, król Hunów napadł na prowincje rzymskie. Św. Seweryn miał dar przepowiedni i uzdrawiał chorych. Ogromny był wpływ jego na grzeszników i z czasem około jego pustelni mnóstwo pokutników pobudowało sobie szałas i żyli po klasztorne. Umarł w dniu i godzinie, które naprzód oznaczył i spoczywa w Neapolu, gdzie na jego cześć wspaniały klasztor wybudowano.

Kalendarz słowiański.

1-go Mieczysław. 2-go Strzeżysław. 3-go Własty-
miła. 4-go Dobromir. 5-go Włastybór. 6-go Bojomir.
7-go Swiatosław. 8-go Mścisław. 9-go Władymira.
10-go Dobrosław. 11-go Krzesimir. 12-go Czesława.
13-go Bogumir. 14-go Radogost. 15-go Domosław. 16-go
Włodzimierz. 17-go Rościsław. 18-go Jaropek. 19-go
Ratymir. 20-go Przeździsław. 21-go Jarosława. 22-go
Witosław. 23-go Wróciśław. 24-go Chwalibóg. 25-go
Miłosz. 26-go Skarbimir. 27-go Przybysław. 28-go Ra-
domir. 29-go Zdzisław. 30-go Dobrogniewa. 31-go Spi-
togniew.

Jaka będzie pogoda w Styczniu?

(podług 100-letniego kalendarza).

Z początku zimno, od 20-go do 27-go śnieg, potem
deszcz ze śniegiem.

Ojciec Abraham a. s. Clara raz podczas kazania bar-
dzo ostro powstawał na występki dworzan. Oskarżono
go przed cesarzem, który choć słynnego kaznodzieję lu-
bił, jednak pod naciskiem wpływowych dworzan mu
oświadczył, że go z posady nadwornego kapelana oddalić
musi. Na to kaznodzieja poprosił, aby mu wolno było
jeszcze jedno kazanie pożegnalne powiedzieć. Cesarz
pozwolił, a dworacy ciekawi zebrali się w wielkiej lic-
bie. Ojciec Abraham idzie na ambonę z ogromną pliką
ksiąg pod pachą, kładzie je przed siebie i zaczyna: „obra-
ziło się wielu, żem ostatnią razą tak mówił, ale tak samo
mówi św. Augustyn, a więc precz z nim!” i rzucił dzieła
św. Augustyna o ziemię. — „Tak mówi i św. Chryzo-
stom, a więc precz z nim!” Tu dzieła Chryzostoma po-
szły na dół. — „Tak mówi św. Paweł, a więc precz
z nim.” — W tym guście trwało całe kazanie — nie-
długie było, ale energiczne, bo Ojcowie Kościoła wszyscy
— z ambony spadli. Cesarz się serdecznie uśmieł, skarcił
swych dworzan i zostawił Ojca Abrahama na jego sta-
nowisku.

Nie kwiat, lecz owoc wartość stanowi rośliny,
Gdy chcesz poznać człowieka, patrz na jego czyny.

Przykrzejsze czasem lekarstwo niż choroba.

Kto • kim przed tobą, pewnie • tobie przed drugim mówi.

ZAPISKI.

Dni.		KALENDARZ rzymsko-katolicki.	SŁOŃCA		KSIEŻYCA	
			wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
P.	1	Ignacego b. i m. [⊙]	7 46	4 41	4 55	7 5
W.	2	NPM. Gromniczej	7 45	4 43	6 17	7 44
Śr.	3	Błażeja b. i m.	7 43	4 45	7 39	8 18
Cz.	4	Weroniki p.	7 41	4 47	9 0	8 48
P.	5	Agaty p. i m.	7 40	4 49	10 19	9 16
S.	6	Doroty p. i m.	7 38	4 51	11 34	9 44

Mięsopustna. O rozmaitej roli. Łuk. 8.

N.	7	Romualda op.	7 36	4 53	rano	10 13
P.	8	Jana de Mata [⊙]	7 35	4 55	12 46	10 44
W.	9	Apolonii p. i m.	7 33	4 57	1 54	11 19

Luty

Sr.	10	Scholastyki p.	7 31	4 59	2 57	11 58
Cz.	11	Eufrozyny p.	7 29	5 0	3 53	12 43
P.	12	Gaudentego	7 27	5 2	4 42	1 33
S.	13	Marcjusza m.	7 25	5 4	5 25	2 27

Zapustna. Jezus przepowiada swoją mękę. Łuk. 18.

N.	14	Walentego	7 23	5 6	6 2	3 25
P.	15	Faustyna m.	7 21	5 8	6 34	4 26
W.	16	Juliany p. i m. [⊙]	7 19	5 10	7 2	5 28
Śr.	17	<i>Popielec.</i> Flawiana b.	7 17	5 12	7 27	6 31
Cz.	18	Konstancyi p.	7 15	5 14	7 50	7 35
P.	19	Konrada w.	7 13	5 16	8 12	8 39
S.	20	Nicefora m.	7 11	5 18	8 35	9 43

Wstępna (1 postu). O kuszeniu Chrystusa przez diabła. Mat. 4.

N.	21	Eleonory p.	7 9	5 20	8 59	10 49
P.	22	Kat. ś. P. w A.	7 7	5 21	9 25	11 55
W.	23	Fulgentego w.	7 5	5 23	9 56	rano
Śr.	24	Dzień przestępny [⊕]	7 3	5 25	10 32	1 1
Cz.	25	Macieja ap.	7 1	5 27	11 16	2 6
P.	26	Zygryda b. ⁺	6 58	5 29	12 9	3 7
S.	27	Aleksandra b. ⁺	6 56	5 31	1 12	4 3

Sucha (2 postu). O przemienieniu Pańskim. Mat. 17.

N.	28	Anastazyi.	6 54	5 33	2 24	4 52
P.	29	Romana op.	6 52	5 34	3 43	5 35

[⊙] Pełnia: 1-go Lutego, o 6 wieczorem. — [⊕] Ostatnia kwadra: 8-go Lutego, o 11 przed połud.
[⊙] Nów: 16-go Lutego, o 12 w południe. — [⊕] Pierwsza kwadra: 24-go Lutego, o 12 w południe.



Św. Julianna

panna i męczenniczka, żyła za czasów cesarza Maxymina, a za ojca miała Eleuzyusza, który był zawziętym poganinem. Miała iść za mąż za wybitnego człowieka, lecz opierała się temu rozkazowi rodziców dla tego, że ów mąż był poganinem. Gdyby był przeszedł na wiarę chrześcijańską, byłaby Julianna przystała na to, aby jego żoną zostać. Ale on nie chciał pogaństwa się wyrzec i wydał ją na straszne męki, w końcu głowę jej ściąć kazał.

Kalendarz słowiański.

1-go Żegota. 2-go Miłostawa. 3-go Ścibor. 4-go Witosława. 5-go Dobrochna. 6-go Bohdana bł. 7-go Sulisław bł. 8-go Gniewomir. 9-go Gorysława. 10-go Tomiła bł. 11-go Świętochna. 12-go Radzyn ś. 13-go Jordan ś. 14-go Niemir. 15-go Szczęśław. 16-go Miłada bł. 17-go Świętorad. 18-go Wieleśława. 19-go Czcisława bł. 20-go Lubomił. 21-go Onosława. 22-go Wróciśław. 23-go Przeździśława. 24-go Bogusz. 25-go Sławobój. 26-go Mirosław. 27-go Wiarosława. 28-go Tworzymir.

ZAPISKI.

Jaka będzie pogoda w Lutym?

(podług 100-letniego kalendarza).

Luty rozpocznie się pochmurnie i dżdżysto, 9-go i 10-go ma być ładnie, potem trzy dni śniegów, potem do końca miesiąca zimna.

Podczas kazania wielu drzemało. Wtedy ksiądz nagle urywa i milczy. Każdy był ciekawy, co to ma znaczyć; jeden drugiego trąca łokciem i wnet wszyscy z natężoną uwagą patrzą na kaznodzieję. Wtedy on się odzywa: „Dziwniście ludzie! jak mówię kazanie, to śpicie; a jak milczę, to uważacie i chcecie słuchać.” — Inny widząc wielu słuchaczy śpiących, dobył biblii hebrajskiej i zaczął głośno czytać. Wnet ożywiło się wszystko, a ksiądz mówi: „Jak wam czytam, czego nie rozumiecie, to słuchacie pilnie; a jak wam mówię o rzeczach dotyczących się zbawienia duszy, to śpicie.

Jan Kaseniusz chcąc zbudzić swych słuchaczy, zrobił węzełek na chusteczce i zaczął się w najlepsze bawić. Wnet ich ożywił. Wtedy woła: „Żebyś był hultajem i figlami was zabawiał, tobyście nie spali; ale jak wam słowo Boże opowiadam, to śpicie.”

Darmo się miłosierdzia od Boga spodziewa,
Kto głodnych nie pożywi, nagich nie odziewa,
Pragnącego choć kubkiem wody nie napoi,
Kto płaczącej sieroty w żalu nie ukoj,
Dla podróżnego miejsca nie ma w swoim domu,
Kto z pomocą nie przyjdzie w potrzebie nikomu,
Nikogo nie odwiedzi w słabości, chorobie,
I lży nie rad uronić na zmarłego grobie.

Zła przygoda ma tyle do siebie dobrego, że rozumu nauczy a przyjaciela pokaże.

Dni.		KALENDARZ rzymsko-katolicki.	SŁOŃCA		KSIEŻYCA	
			wschód	zachód	wschód	zachód
			g. m.	g. m.	g. m.	g. m.
W.	1	Albina b.	6 50	5 36	5 5	6 11
Śr.	2	Heleny	6 47	5 38	6 28	6 44
Cz.	3	Kunegundy p.	6 45	5 40	7 50	7 14
P.	4	Kazimierza w.	6 43	5 42	9 10	7 43
S.	5	Hadryana	6 41	5 44	10 26	8 12

Głucha (3 postu). Pan Jezus wypęda djabła. Łuk. 11.

N.	6	Kolety p.	6 38	5 46	11 38	8 43
P.	7	Tomasza z Akw.	6 36	5 47	rano	9 17
W.	8	Jana Bożego	6 34	5 49	12 45	9 56
Śr.	9	Franciszki wd.	6 31	5 51	1 45	10 40



Cz.	10	40 Męczenników	6 29	5 53	2 38	11 29
P.	11	Pelagii p.	6 27	5 55	3 24	12 22
S.	12	Grzegorza p.	6 25	5 56	4 3	1 19

Śródporna (4 postu). O nakarmieniu 5000 ludzi. Jan 6.

N.	13	Nicefora b.	6 22	5 58	4 36	2 18
P.	14	Zacharyasza	6 20	6 0	5 5	3 20
W.	15	Longina m.	6 18	6 2	5 31	4 23
Śr.	16	Cyryla b.	6 15	6 4	5 55	5 26
Cz.	17	Gertrudy p.	6 13	6 5	6 17	6 30
P.	18	Gabryela arch.	6 11	6 7	6 40	7 35
S.	19	JÓZEFA obl. NP.	6 8	6 9	7 4	8 41

Biała (5 postu). O żydach, chcących Chrystusa ukam. Jan 8.

N.	20	Patrycyusza	6 6	6 11	7 30	9 47
P.	21	Benedykta op.	6 3	6 12	7 59	10 53
W.	22	Bazylego m.	6 1	6 14	8 33	11 57
Śr.	23	Katarzyny w.	5 59	6 16	9 13	rano
Cz.	24	Ireneusza b.	5 56	6 18	10 1	12 59
P.	25	Zwiastow. N. P.	5 54	6 19	10 59	1 56
S.	26	Emanuela m.	5 52	6 21	12 5	2 45

Palmowa (6 postu). O wjeździe P. Jez. do Jeruzaleń. Mat. 21.

N.	27	Ruperta b.	5 49	6 23	1 18	3 28
P.	28	Sykstusa p.	5 47	6 25	2 36	4 6
W.	29	Eustachego op.	5 45	6 26	3 57	4 39
Śr.	30	Kwiryna m.	5 42	6 28	5 18	5 10
Cz.	31	W. Czwartek	5 40	6 30	6 39	5 39

☾ Pełnia: 2-go Marca, o 4 rano. — ☾ Ostatnia kwadra: 9-go Marca, o 2 rano. — ☾ Nów: 17-go Marca, o 7 przed połud. — ☾ Pierwsza kwadra: 24-go Marca, o 11 wiecz. — ☾ Pełnia: 31-go Marca, o 2 po poł.



Sw. Grzegórz.

Grzegórz, Rzymianin wysokiego rodu już w młodości odznaczał się wielu cnotami. Po śmierci ojca złożył wszystkie świeckie godności a z majątku swego wznosił 6 klasztorów w Sycylii i siódmy zrobił ze swojego domu w Rzymie, sam też obłąkł suknie zakonne. Gdy oceniony dla swych wielkich zasług miał być obrany papieżem, uciekł z miasta na pustynię, do jaskini, aby się schować, lecz słup ognisty z nieba wskazał miejsce jego kryjówki. Po trzynastu latach znakomitej działalności na tronie papieżkim Bogu ducha świątobliwego oddał.

Kalendarz słowiański.

1-go Budzislaw. 2-go Radosław. 3-go Sławomila. 4-go Kazimierz ś. 5-go Pakosław. 6-go Wojsław. 7-go Bogowit bł. 8-go Miłogost. 9-go Mścislawa. 10-go Bożesław. 11-go Ludosława. 12-go Światosz. 13-go Nicislaw. 14-go Bożena. 15-go Długomir. 16-go Ojcosław. 17-go Zbigniewa. 18-go Boguchwał. 19-go Bohdan. 20-go Polemir. 21-go Błogosław. 22-go Godysław. 23-go Czci-misław. 24-go Zbislaw. 25-go Lubomira. 26-go Więcy-sława. 27-go Świętobój. 28-go Bohdar bł. 29-go Krze-sław. 30-go Szukosław. 31-go Dobromira.

Jaka będzie pogoda w Marcu?

(podług 100-letniego kalendarza).

Marzec będzie zimnym i ostrym aż do 20-go, następnie będzie także zimno, ale pogodnie.

Zakonnika mądrego tak raz młody niedowiarek zagadnął: „Odpowiedz mi na trzy pytania: Ja nigdy Boga nie widziałem ani nikt, więc nie wierzę, że jest; powtóre człowiek musi być takim, jakim go Pan Bóg stworzył; jakże więc człowieka można sądzić z jego uczynków? Wreszcie mówisz, że czart jest ognisty, jakże więc może cierpieć w piekle, kiedy ogień ognia nie może palić?”

Mnich milczał, ale gdy mu się długo naprzykrzało, porwał bryłę ziemi i uderzył młodzieńca w głowę. Ten skarży, a zakonnik mówi przed sądem: „Ja odpowiedziałem tem uderzeniem na jego pytania. Najprzód ja jego bólu głowy nie widzę, więc nie mogę wierzyć, żeby miał ból; drugie: człowiek musi tak czynić, jak go Bóg stworzył, jakże więc on mnie może skarżyć za mój uczynek? Po trzecie: człowiek stworzony jest z ziemi, jakże więc ziemia ziemię skałczyć może?” — I został uwolniony.

Pewien ksiązę protestancki żył bardzo źle i tak się pocieszał: „Albom' przeznaczony do nieba, to mi grzechy nie nie zaszkodzą; albo do piekła, to mi dobre życie nie nie pomoże.” Pewnego razu zachorował ciężko i wezwał mądrego i pobożnego lekarza prosząc, żeby go ratował. Ale lekarz mówi: „Albo W. Ks. Mości życie przeznaczone, to lekarz i leki nie potrzebne, albo śmierć, to lekarz i leki nie nie pomogą, więc w każdym razie nie tu po mnie.

Mąż święty Opatrzności Bożej wysłannikiem,
Aby był dla narodu swego przewodnikiem.

ZAPISKI.

Dni.		KALENDARZ rzymsko-katolicki	SŁOŃCA		KSIEŻYCA	
			wschód	zachód	wschód	zachód
			g. m.	g. m.	g. m.	g. m.
P.	1	W. Piątek	5 37	6 32	7 59	6 8
S.	2	W. Sobota	5 35	6 33	9 15	6 39

O zmartwychwstaniu Pańskim. Mar. 16.

N.	3	Wielkanoc.	5 33	6 35	10 27	7 13
P.	4	Poniedz. Wielk.	5 30	6 37	11 32	7 50
W.	5	Wincentego w.	5 28	6 39	rano	8 33
Śr.	6	Celestyna pap.	5 26	6 40	12 30	9 21
Cz.	7	Donata i Rufina	5 24	6 42	1 19	10 13
P.	8	Dyonizego b.	5 21	6 44	2 1	11 9
S.	9	Maryi Egipc.	5 19	6 45	2 37	12 9

Kwiecień

Przewodnia. O niewiernym Tomaszu. Jan 20.

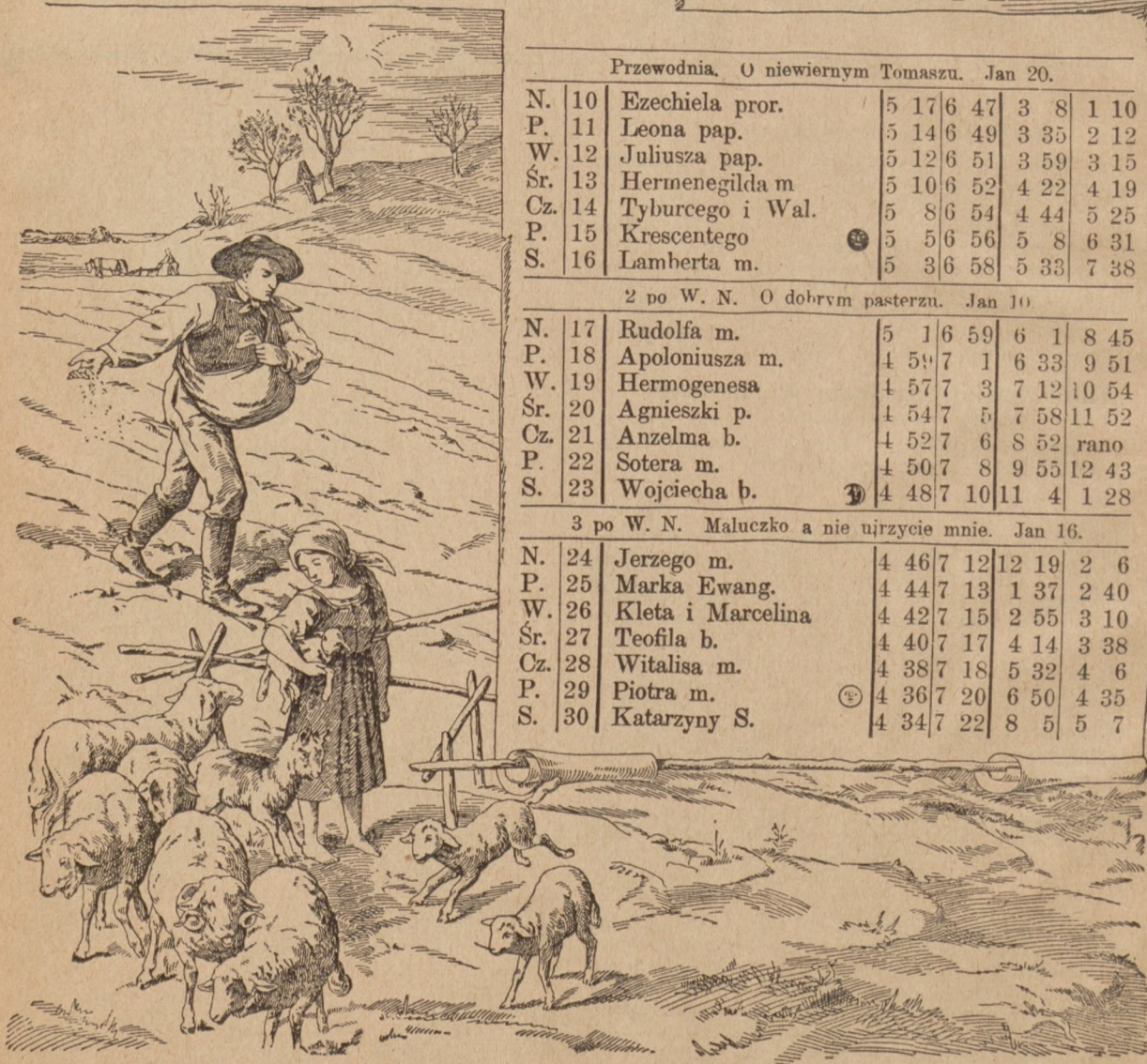
N.	10	Ezechiela pror.	5 17	6 47	3 8	1 10
P.	11	Leona pap.	5 14	6 49	3 35	2 12
W.	12	Juliusza pap.	5 12	6 51	3 59	3 15
Śr.	13	Hermenegilda m.	5 10	6 52	4 22	4 19
Cz.	14	Tyburcego i Wal.	5 8	6 54	4 44	5 25
P.	15	Krescentego	5 5	6 56	5 8	6 31
S.	16	Lamberta m.	5 3	6 58	5 33	7 38

2 po W. N. O dobrym pasterzu. Jan 10.

N.	17	Rudolfa m.	5 1	6 59	6 1	8 45
P.	18	Apoloniusza m.	4 59	7 1	6 33	9 51
W.	19	Hermogenesa	4 57	7 3	7 12	10 54
Śr.	20	Agnieszki p.	4 54	7 5	7 58	11 52
Cz.	21	Anzelma b.	4 52	7 6	8 52	rano
P.	22	Sotera m.	4 50	7 8	9 55	12 43
S.	23	Wojciecha b.	4 48	7 10	11 4	1 28

3 po W. N. Małuczko a nie uirzycie mnie. Jan 16.

N.	24	Jerzego m.	4 46	7 12	12 19	2 6
P.	25	Marka Ewang.	4 44	7 13	1 37	2 40
W.	26	Kleta i Marcelina	4 42	7 15	2 55	3 10
Śr.	27	Teofila b.	4 40	7 17	4 14	3 38
Cz.	28	Witalisa m.	4 38	7 18	5 32	4 6
P.	29	Piotra m.	4 36	7 20	6 50	4 35
S.	30	Katarzyny S.	4 34	7 22	8 5	5 7



☾ Ostatnia kwadra: 7-go Kwietnia, o 7 wiecz. — ☼ Nów: 15-go Kwietnia, o 11 wiecz.
 ☾ Pierwsza kwadra: 23-go Kwietnia, o 6 rano. — ☼ Pełnia: 29-go Kwietnia, o 12 w nocy.



Sw. Anzelm.

Święty ten był Włochem. W piętnastym roku życia już pragnął wstąpić do klasztoru lecz dla młodego wieku, odmówiono jego prośbie. Przez trzy lata tułał się, aż za łaską Bożą spotkał mnicha Lanfranka, który się nim wielce zajął i wstąpienie do klasztoru ułatwił. Rędko drogą doskonałości doszedł św. Anzelm do godności przełożonego w zakonie, miał dużo do zniesienia od swoich podwładnych, ale wszystkich swoją prostotą i słodyczą obejścia sobie zjednał. Spraw świeckich trzymał się jak mógł najdalej, mówił że się ich tak boi jak dziecię, gdy mu mąszkarę szpetną i twarz sprośną ukaza. Umarł roku Pańskiego 1109.

Kalendarz słowiański.

1-go Zbigniew. 2-go Sudomir. 3-go Mnożysław. 4-go Wratysław. 5-go Bożywój bł. 6-go Świętobór bł. 7-go Przesław. 8-go Radosław. 9-go Dobrosława. 10-go Gorysław. 11-go Jaromir. 12-go Lubosław. 13-go Przemysław. 14-go Myślimir. 15-go Waclaw bł. 16-go Nosisław bł. 17-go Krasisław. 18-go Gościsław. 19-go Władymir. 20-go Czesław m. 21-go Drogomił. 22-go Strzeżymir. 23-go Wojciech ś. 24-go Jerzy ś. 25-go Jarosław. 26-go Spitymir. 27-go Bogufał. 28-go Żywisław. 29-go Sogosław. 30-go Chwalisława.

Jaka będzie pogoda w Kwietniu?

(podług 100-letniego kalendarza).

Od początku do 10-go trwają mrozy, potem następuje łagodniejsze powietrze do 23-go, a następnie znowu śron i chłody.

Raz król angielski odwiedzał szkołę wiejską i tak mu się podobał śpiew dzieci i deklamacya, że zawołał: „Jeszcze raz, panie nauczycielu, gdy to panu nie robi trudności.“ Nauczyciel chętnie powtórzył od początku, a król dał mu znaczną sumę pieniędzy. Wtedy nauczyciel rzecze z uśmiechem: „Jeszcze raz, Najjaśniejszy panie, gdy to nie sprawia trudności.“ — Cóż było robić? Król śmiejąc się, kazał mu dać jeszcze raz taką samą sumę.

Oficer butny założył się z kolegami, że szablą zwycięży chłopą uzbrojonego cepem. Gdy chłopą zjednano do tego ciekawego pojedynku, obecni bojąc się o chłopą, żeby go oficer jako dzielny fechtmistrz nie usiekl, wołają: „Chłopie w nogi (to znaczy uciekaj!)“ Chłop zaś myślał, że mu radzą uderzać w nogi; jak machnie cepem, to obie nogi przetrącił oficerowi!

Pewien oficer przyjechał do oberży na pięknym koniu, żyd widząc go rzecze: „Za takiego konia chętnie bym wziął sto kijów, żeby mi go dano.“ A oficer: „Mogę ci go dać, jeśli 20 kijów odemnie chcesz dostać.“ Żyd przystał, ale prosił, żeby zrobić kontrakt notaryalny. To się stało, i żyd kontrakt schował do kieszeni. Wtedy oficer przyłożył mu na siedzenie raz, że aż podskoczył i potem spokojnie zaczął pić piwó. Tak z przerwami dostał żyd 19 i prosił na wszystko o dwudzieste uderzenie, ale oficer bić nie chciał, a w kontrakcie nie stało, że musi uderzyć. Do dziś dnia czeka żyd na -- dwudzieste uderzenie i na konia.

ZAPISKI.

Dni.	KALENDARZ rzymsko-katolicki.	SŁOŃCA		KSIEŻYCA	
		wschód	zachód	wschód	zachód
		g. m.	g. m.	g. m.	g. m.

4 po W. N. O odejściu do Ojca. Jan 16.

N.	1	Filipa i Jakóba	4 32	7 24	9 14	5 42
P.	2	Atanazego b.	4 30	7 25	10 16	6 23
W.	3	Znal. ś. Krzyża.	4 28	7 27	11 11	7 9
Sr.	4	Floryana m.	4 26	7 29	11 57	8 1
Cz.	5	Moniki wd.	4 24	7 30	rano	8 57
P.	6	Jana w Oleju	4 22	7 32	12 36	9 56
S.	7	Domiceli p.	4 20	7 34	1 9	10 57

5 po W. N. O prawdziwej modlitwie. Jan 16.



N.	8	Stanisława bisk.	4 18	7 35	1 37	11 59
P.	9	Grzegorza b.	4 17	7 37	2 2	1 2
W.	10	Izydora oracza	4 15	7 39	2 26	2 6
Sr.	11	Beatryksy p.	4 13	7 40	2 48	3 10
Cz.	12	Wniebowstap. P. J.	4 11	7 42	3 11	4 16
P.	13	Serwacego b.	4 10	7 43	3 35	5 23
S.	14	Bonifacego b.	4 8	7 45	4 2	6 31

6 po W. N. O obietnicy zesłania Ducha św. Jan 16.

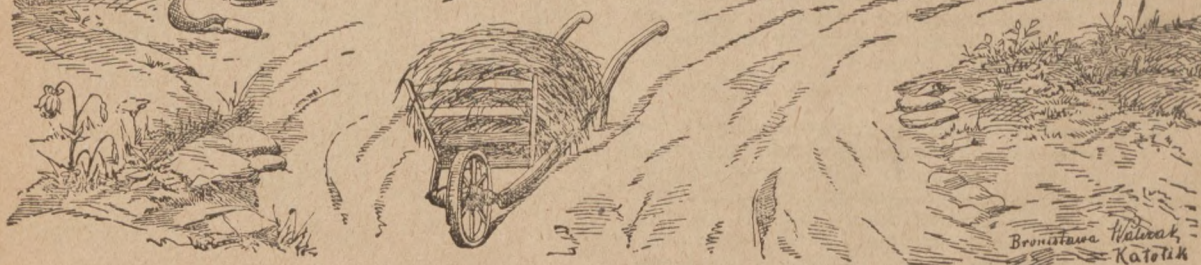
N.	15	Zofii m.	4 7	7 47	4 33	7 40
P.	16	Jana Nepomucena	4 5	7 48	5 9	8 46
W.	17	Antonina b.	4 4	7 50	5 53	9 47
Sr.	18	Wenantego m.	4 2	7 51	6 46	10 42
Cz.	19	Pudencyanny	4 1	7 53	7 47	11 29
P.	20	Bernardyna	3 59	7 54	8 55	rano
S.	21	Julii p. i m.	3 58	7 56	10 8	12 9

7 po W. N. O zesłaniu Ducha św. Jan 14.

N.	22	ZIELONE ŚWIĄTKI	3 57	7 57	11 23	12 44
P.	23	Poniedz. Ziel. Ś.	3 55	7 58	12 40	1 14
W.	24	Joanny wd.	3 54	8 0	1 57	1 42
Sr.	25	Urbana pap. i m.	3 53	8 1	3 14	2 9
Cz.	26	Filipa Ner.	3 52	8 3	4 30	2 37
P.	27	Jana pap.	3 51	8 4	5 45	3 6
S.	28	Germana b.	3 50	8 5	6 56	3 39

1 po Ziel. Ś. (Ś. Trójcy). O władzy danej Chrystusowi. Mat. 28.

N.	29	Teodozyi p.	3 49	8 6	8 2	4 16
P.	30	Feliksa pap.	3 48	8 8	9 0	4 59
W.	31	Petronei p.	3 47	8 9	9 51	5 48



Bronisława Walczak
Katolik

☾ Ostatnia kwadra: 7-go Maja, o 1 po południu. — ☉ Nów: 15-go Maja, o 12 w południe.
☽ Pierwsza kwadra: 22-go Maja, o 11 przed połud. — ☊ Pełnia: 29-go Maja, o 10 przed połud.



Św. Alexander.

(3-go Maja).

Był on szóstym z rzędu po św. Piotrze, plastującym godność papieżką. On to rozporządził aby przy mszy św. mieszano trochę wody do wina, na pamiątkę, że przy śmierci Chrystusa krew i woda z boku płynęła. Wielu pogan pozyskał dla prawdziwej wiary między innymi prefekta Hermesa z całą rodziną. Umarł jako męczennik a obecnie zwłoki jego spoczywają w kościele św. Sabiny w Rzymie.

Kalendarz słowiański.

1-go Lubomir. 2-go Witimir. 3-go Świętosława. 4-go Wienczysław. 5-go Chocisław. 6-go Gościwid bł. 7-go Ludomila ś. 8-go Stanisław ś. 9-go Bożerad bł. 10-go Cierpimir. 11-go Ludowit. 12-go Wszemił. 13-go Cichosław. 14-go Dobiesław. 15-go Strzeżysława. 16-go Wienczysław. 17-go Sławomil. 18-go Wszesław. 19-go Krzesomyśl. 20-go Bronimir. 21-go Przesława błog. 22-go Wisława błog. 23-go Budziwój. 24-go Tomira. 25-go Borysława. 26-go Więcymil. 27-go Rusław. 28-go Jaromir. 29-go Boguchwała. 30-go Sulimir. 31-go Bożesława.

Jaka będzie pogoda w Maju?

(podług 100-letniego kalendarza).

Maj zaczyna się pięknie, lecz 3-go będzie burza i aż do 8-go pochmurno. Potem złagodnieje na trzy dni, a 11-go znowu zimno i śron do 20-go, potem ciepło do 29-go, a 30-go i 31-go znów śron i przymrozek.

W oberży w Kolonii rozprawiło dwóch młodych figlarzy bardzo żywo, nareszcie stanął zakład o 6 butelek starego wina. Gospodarz usłyszawszy to, przybiega i pyta, czy może wino przynieść? „A dobrze” — odpowiadają figlarze, — „ale prędzej go nie zapłacimy, aż zakład się rozstrzygnie.” Przystał na to gospodarz i przyniósł wino, które bardzo wesoło wypili. Potem pyta ich gospodarz, jaki był zakład? a jeden z nich mówi: „Ja twierdzę, że gdyby się obaliła wieża katedralna (słynna wieża kolonińska), toby upadła na prawo, a mój towarzysz twierdzi, żeby upadła na lewo i • tośmy się założyli.” Późno spostrzegł gospodarz, że go w pole wywiedli.

Skazanemu na śmierć zbrodniarzowi zostawiono rodzaj śmierci do wyboru. „Kiedy tak” — mówi tenże — „to niech przeświecny sąd pozwoli mi umrzeć ze starości.”

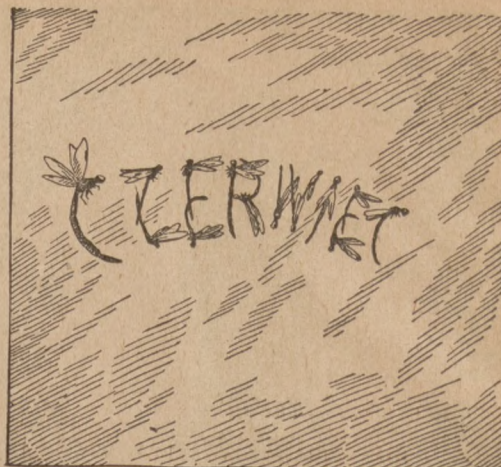
Kilku młodzików niedowarzonych siedziało przy drodze i drwiło z przechodzących chłopków. Jeden z nich zapytał przechodzącego wieśniaka, na co ta Boża Męka (figura) stoi przy drodze? Na to chłopek: „Bo się tu cud stał.” „A jaki?” — pyta drwiąco młokos. „Tu jeden głupi rozum odzyskał, a był taki głupi jak i wy panocku; pomódł się tu, to i wy może rozum odzyskać.” Tak ich zawstydził.

ZAPISKI.

Dni.		KALENDARZ rzymsko-katolicki.	SŁOŃCA		KSIEŻYCA	
			wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
Sr.	1	Nikodema m.	3 46	8 10	10 34	6 43
Cz.	2	BOŻE CIAŁO	3 45	8 11	11 10	7 41
P.	3	Erazma m.	3 44	8 12	11 40	8 42
S.	4	Optata b.	3 43	8 13	rano	9 45

2 po Z. Ś. O wezwaniu na wielką ucztę. Łuk. 14.

N.	5	Bonifacego b.	3 43	8 14	12 6	10 48
P.	6	Norberta b.	3 42	8 15	12 30	11 51
W.	7	Roberta op.	3 41	8 16	12 53	12 55
Sr.	8	Medarda b.	3 41	8 17	1 15	2 0
Cz.	9	Prymusa i Felic	3 40	8 18	1 38	3 6



P.	10	Małgorzaty kr.	3 40	8 18	2 3	4 14
S.	11	Barnaby ap.	3 40	8 19	2 31	5 22

3 po Z. Ś. O zgubionej owcy i o groszu. Łuk. 15.

N.	12	Onufrego w.	3 39	8 20	3 5	6 30
P.	13	Antoniego z Pad.	3 39	8 21	3 46	7 35
W.	14	Bazylego b.	3 39	8 21	4 35	8 34
Sr.	15	Wita i Modesta	3 39	8 22	5 34	9 26
Cz.	16	Benona b.	3 39	8 22	6 41	10 10
P.	17	Adolfa b.	3 38	8 23	7 54	10 48
S.	18	Marka i Marc. m.	3 38	8 23	9 11	11 20

4 po Z. Ś. O obfitym połowie ryb. Łuk. 5.

N.	19	Gerwaz. i Protaz.	3 38	8 23	10 29	11 48
P.	20	Julianny p.	3 39	8 24	11 46	rano
W.	21	Alojzego w.	3 39	8 24	1 3	12 15
Sr.	22	Paulina m.	3 39	8 24	2 18	12 42
Cz.	23	Agrypiny m.	3 39	8 24	3 32	1 10
P.	24	Nar. ś. Jana Chrz	3 39	8 24	4 43	1 40
S.	25	Prospera b.	3 40	8 24	5 50	1 14

5 po Z. Ś. O sprawiedliwości Faryzeuszów. Mat. 5.

N.	26	Jana i Pawła	3 40	8 24	6 51	2 54
P.	27	Władysława	3 41	8 24	7 45	3 40
W.	28	Leona pap.	3 41	8 24	8 31	4 32
Sr.	29	Piotra i Pawła ap.	3 42	8 24	9 9	5 29
Cz.	30	Emilii p.	3 42	8 24	9 42	6 29



€ Ostatnia kwadra: 6-go Czerwca, o 7 rano. — ⑤ Nów: 13-go Czerwca, o 10 wieczorem.

③ Pierwsza kwadra: 20-go Czerwca, o 4 po połud. — ⑥ Pełnia: 27-go Czerwca, o 9 wieczorem.



Św. Klotylda.

Ojca ś. Klotyldy zamordował własny brat aby sobie tron jego przywłaszczyć. Św. Klotylda została żoną Kłodweusza, króla Franków, poganina, i całym jej życzeniem było nawrócenie męża. Potrzebowała dużo pracy i czasu a przekonać go nie mogła, dopiero Bóg cudem jej dopomógł. Gdy we wojnie z Alemanami widział niechybną przegraną i napróżno wzywał bogów swoich, pomny wielkiej ufności, jaką żona jego pokładała w Bogu nieśmiertelnym, wezwał imienia Jezusa Chrystusa i zaraz zwycięstwo przechyliło się na jego stronę. Późem przyjął chrzest wraz z rycerstwem i ludem. Tak za sprawą Klotyldy chrześcijaństwo zapanowało w dzisiajszej Francji.

Kalendarz słowiański.

1-go Światopełk. 2-go Ratysław. 3-go Bratumiła. 4-go Litomił. 5-go Dobromił. 6-go Cichomir. 7-go Wsław bł. 8-go Wyszosław. 9-go Sławój. 10-go Bogumił ś. 11-go Radomił. 12-go Wyszomir. 13-go Chotymir. 14-go Przedzimir. 15-go Wit ś. 16-go Budzimir. 17-go Drogomyśl. 18-go Długosław. 19-go Bożysław. 20-go Bagna św. 21-go Domysław. 22-go Broniwój. 23-go Wanda. 24-go Janisław. 25-go Wlastymił. 26-go Rozmysław. 27-go Władysław. 28-go Zbroisław. 29-go Wyszomir. 30-go Cichosława.

Jaka będzie pogoda w Czerwcu?

(podług 100-letniego kalendarza).

Pochmurno i śron do 9-go, potem ciepło aż do końca.

Idzie podróżny z żydem do miasta wśród skwar-nego dnia; podróżny dźwigał ciężki nowy płaszcz. Nagle mówi do żyda: „pożycz mi talara, a weź w zastaw ten płaszcz; jak ci dziś talara nie oddam, to płaszcz twój.“ Żyd z radością przystał, ciesząc się w duszy, że tak do-bry interes zrobił. Gdy wchodzili do miasta, oddaje po-dróżny talara, bierze swój płaszcz i mówi: „dziękuję ci żydku, żeś mi płaszcz dźwigał.“

Mała Mania bawi się na krześle, a obok niej siedzi głucha babcia. Wtem Mania bęc z krzesła, a gdy po kwadransie matka jej weszła do pokoju, Mania w płacz. „O cóż płaczesz?“ — „Bom spadła z krzesła i bardzo mnie bolało.“ — „A czemużeś wtedy nie płakała, jak cię bolało?“ — „Bo babcia nie słyszy“ — odrzekła Mania.

„Dlaczego za jednego tysiące karzesz?“ pyta Piotr Pana Jezusa. „Potem ci powiem, ale weź ten rój pszczoł do chustki i siadźmy do łódki, aby na drugą stronę rzeki przejechać.“ Jadą; wtem jedna pszczoła ukuła św. Piotra, który rozgniewany cały rój rzucił do wody. „Dlaczego wszystkie pszczoły topisz, kiedy cię tylko je-dna ukuła?“ pyta go Pan Jezus.

Sprzedawał żyd chłopu konia ślepego, kulawego i bez języka. Chłop: „Ale ten koń kulawy.“ Żyd: „Prze-cież do wojska nie pójdzie.“ — „Ale on i ślepy.“ — „Prze-cież gazety czytać nie będzie.“ — „Niema języka.“ — „Co mu po języku, kiedy on nie adwokat?!

ZAPISKI.



Dni.		KALENDARZ rzymsko-katolicki	SŁOŃCA		KSIEŻYCA	
			wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
P.	1	Juliusza m.	3 43	8 24	10 10	7 31
S.	2	Nawiedz. NMP.	3 44	8 23	10 35	8 34

6 po Z. Ś. O nakarmieniu 4000 ludzi. Mar. 8.

N.	3	Heliodora m.	3 44	8 23	10 58	9 38
P.	4	Józefa Kalasantego	3 45	8 22	11 20	10 41
W.	5	Cyr. i Met. ap. śl. ☾	3 46	8 22	11 42	11 44
Śr.	6	Izajasza proroka	3 47	8 21	rano	12 49
Cz.	7	Klaudyusza m.	3 48	8 21	12 6	1 55
P.	8	Elżbiety kr.	3 49	8 20	12 32	3 2
S.	9	Zenona m.	3 50	8 19	1 2	4 9

7 po Z. Ś. O fałszywych prorokach. Mat. 7.

N.	10	7 Braci męczenn.	3 51	8 19	1 38	5 16
P.	11	Piusa pap.	3 52	8 18	2 23	6 19
W.	12	Jana Gwalb.	3 53	8 17	3 17	7 16
Śr.	13	Małgorzaty p. ☾	3 54	8 16	4 21	8 5
Cz.	14	Bonawentury	3 55	8 15	5 34	8 46
P.	15	Rozesł. śś. Ap.	3 56	8 14	6 52	9 21
S.	16	Szkaplerza NMP.	3 58	8 13	8 12	9 52

8 po Z. Ś. O niesprawiedliwym szafarzu. Łuk. 16.

N.	17	Aleksego w.	3 59	8 12	9 32	10 21
P.	18	Szymona z Lip.	4 0	8 11	10 50	10 48
W.	19	Wincent. z Pauli ☾	4 2	8 10	12 7	11 15
Śr.	20	Czesława w.	4 3	8 8	1 21	11 44
Cz.	21	Praksedy p.	4 4	8 7	2 33	rano
P.	22	Maryi Magdaleny	4 6	8 6	3 41	12 17
S.	23	Apolinarego	4 7	8 4	4 43	12 54

9 po Z. Ś. O zburzeniu Jerozolimy. Łuk. 19.

N.	24	Krystyna p.	4 9	8 3	5 39	1 37
P.	25	Jakóba ap.	4 10	8 2	6 28	2 26
W.	26	Anny, matki NP.	4 11	8 0	7 9	3 21
Śr.	27	Pantaleona m. ☾	4 13	7 59	7 44	4 19
Cz.	28	Botwida m.	4 14	7 57	8 13	5 20
P.	29	Marty p.	4 16	7 56	8 39	6 23
S.	30	Abdona m.	4 17	7 54	9 3	7 26

10 po Z. Ś. O faryzeuszu i celniku. Łuk. 18.

N.	31	Ignacego w.	4 19	7 52	9 25	8 29
----	----	-------------	------	------	------	------



☾ Ostatnia kwadra: 5 Lipca, o 12 w nocy. — ☾ Now: 13-go Lipca, o 6 rano.

☾ Pierwsza kwadra: 19-go Lipca o 10 wiecz. — ☾ Pełnia: 27-go Lipca, o 11 przed połud.



Sw. Kilian.

Błogosławiony ten był rodem ze Szkocyi. Wstąpiwszy do klasztoru po niejakiś czasie został przełożonym ale nie chciał pozostać na swem stanowisku widząc więcej pożytku z nauczania w świecie. Puścił się więc z kilku towarzyszami do Wirzburga, głosząc słowa Ewangelii. Nawrócił się między innymi ksiązę Gosbert, który miał żonę brata swego, poganę. Św. Kilian namawiał go aby ją od siebie oddalił. Za to kobieta owa poczęła myśleć o zgubie św. Kiliana i gdy ksiązę Gosbert raz odjechał na wojnę, kazała sługom swoim świętego zamordować, zakopać i na onem miejscu stajnię zbudować, za co na nią i jej sługi straszne kary Bóg zesłał.

Kalendarz słowiański.

1-go Bogusław. 2-go Ojeomir. 3-go Miłosław.
4-go Wielisław. 5-go Prokop. 6-go Izasław. 7-go Krasnorda. 8-go Chwalimir. 9-go Strachota. 10-go Radziwój. 11-go Olchaś. 12-go Tolimir bł. 13-go Radomiła. 14-go Dobrogost. 15-go Radosław. 16-go Dzierżysława. 17-go Dzierżykraj. 18-go Unisław. 19-go Wodzisław. 20-go Czesław. 21-go Stosław. 22-go Bolesława. 23-go Żelisław. 24-go Lubomira. 25-go Sławosz. 26-go Mirosława. 27-go Wszebór. 28-go Świętomir. 29-go Cierpiśława. 30-go Ludomir. 31-go Zdobysław.

Jaka będzie pogoda w Lipcu?

(podług 100-letniego kalendarza).

Lipiec zaczyna się upałami, więc potem burze i deszcze, od 12-go do 28-go pochmurno i dżdżysto.

Dwóch głodnych czeladników odpoczęło niedaleko wsi i jeden mówi: „Idźże do najbliższej chaty i proś co do zjedzenia.“ Ten idzie i wchodzi do izby, nie zastaje nikogo, tylko misę jedzenia przygotowaną dla żeńców. Bez namysłu ją bierze, niesie do kolegi i gdy się posilili, mówi: „Ja przyniosłem, a ty znów odnieś misę i podziękuj za jedzenie.“ Ten odnosi misę próżną, dziękuje, a tu ludzie jak skoczą: „To ty łotrze nasze jedzenie zabrałeś i jeszcze z nas drwiny robisz?!“ I nuż po nim pięściami i kijami, że ledwo z życiem uciekł.

Pewien dowcipny pan wezwał mnóstwo dziadów do siebie, obiecując sutą jałmużnę. Gdy się ich zeszło dużo, kazał im brody ogolić, dał każdemu z nich po nową, porządną suknię, a stare suknie im odebrał mimo zaciętego oporu i precz ich wygnał z pałacu. Potem kazał stare dziadowskie łachmany popruć; pieniądze jak grad się sypały i za oporządzenie dziadów dobrze był nagrodzony! Taką sztuką dziadów tłuka!

Do cesarza Rudolfa przyszedł jeden żebrak i mówi: „Proszę cię N. Panie o hojne wsparcie, bom jest twoim krewnym.“ „A po kim?“ — pyta cesarz. „Po Adamie“ była odpowiedź. Wtedy cesarz mówi: „Idź, przynieś wielki wór.“ Dziad pobiegł z radością i przynosi worek, myśląc, że go cesarz napelni. Ale cesarz rzucił tylko szeląga i mówi: „Idź, niech każdy krewny po Adamie da ci szeląga, to wnet wór będziesz miał pełny.“

ZAPISKI.

Dni.		KALENDARZ rzymsko-katolicki	SŁOŃCA		KSIEŻYCA	
			wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
P.	1	Piotra w okowach	1 21 7 51	9 47	9 32	
W.	2	NMP. Anielskiej	1 22 7 49	10 10	10 36	
Sr.	3	Znal. ś. Szczepana	1 24 7 47	10 34	11 40	
Cz.	4	Dominika w.	1 25 7 45	11 1	12 45	
P.	5	NMP. Śnieżnej	1 27 7 44	11 34	1 51	
S.	6	Przem. Pańskie	1 28 7 42	rano	2 57	

11 po Z. Ś. O uzdrowieniu głuchoniemego. Mar. 7.

N.	7	Kajetana w.	1 30 7 40	12 14	4 0	
P.	8	Cyryaka m.	1 32 7 38	1 2	4 59	
W.	9	Romana m.	1 33 7 36	2 0	5 52	

Sierpień

Sr.	10	Wawrzyńca	4 35 7 34	3 8	6 38	
Cz.	11	Zuzanny p.	4 36 7 32	4 24	7 17	
P.	12	Klary p.	4 38 7 30	5 45	7 51	
S.	13	Hipolita m.	4 40 7 28	7 8	8 21	

12 po Z. Ś. O miłosiernym Samarytaninie. Łuk. 10.

N.	14	Euzebiusza b.	4 41 7 26	8 30	8 50	
P.	15	Wniebow. NMP.	4 43 7 24	9 50	9 19	
W.	16	Rocha w.	4 45 7 22	11 7	9 48	
Sr.	17	Jacka w.	4 47 7 20	12 21	10 20	
Cz.	18	Agapita m.	4 48 7 18	1 32	10 56	
P.	19	Benigny p.	4 50 7 16	2 37	11 37	
S.	20	Bernarda op.	4 52 7 14	3 34	rano	

13 po Z. Ś. O dziesięciu trędowatych. Łuk. 17.

N.	21	Joanny Franc.	4 53 7 12	4 25	12 24	
P.	22	Symforyana	4 55 7 10	5 8	1 16	
W.	23	Zacheusza b.	4 56 7 7	5 45	2 13	
Sr.	24	Bartłomieja ap.	4 58 7 5	6 16	3 13	
Cz.	25	Ludwika kr.	5 0 7 3	6 43	4 14	
P.	26	Zefiryna m.	5 2 7 1	7 8	5 17	
S.	27	Cezarego b.	5 3 6 59	7 31	6 20	

14 po Z. Ś. O służeniu Bogu i mamonie. Mat. 6.

N.	28	Augustyna bisk.	5 5 6 56	7 53	7 24	
P.	29	Ścięcie św. Jana	5 7 6 54	8 15	8 27	
W.	30	Róży p.	5 8 6 52	8 39	9 30	
Sr.	31	Rajmunda w.	5 10 6 50	9 5	10 34	



☾ Ostatnia kwadra: 4-go Sierpnia, o 3 po połud. — ☉ Nów: 11-go Sierpnia, o 2 po połud.

☽ Pierwsza kwadra: 18-go Sierpnia, o 5 rano. — ☽ Pełnia: 26-go Sierpnia, o 2 rano.



Św. Dominik.

Ojczyzną świętego Dominika była Hiszpania. W Walencji nabywał nauk stając się godnym naczyniem mądrości Bożej. Zostawszy kapłanem udał się do Rzymu aby Papieżowi przedłożyć rzecz o zakonie kaznodziejskim. Obrat regułę św. Augustyna z niejaką odmianą i pierwszy zakon w Tuluzie założył. Bóg użył mu wielkiej łaski i darów; kazaniami swemi wiele dusz uratował, a modlitwą niemało umarłych wskrzesił. Umartwiał się i upokarzał, sypiał na gołej ziemi i łańcuszkiem się biczował. Kanonizowany był r. 1233 przez papieża Grzegorza IX.

Kalendarz słowiański.

1-go Rolisław. 2-go Swiatosława. 3-go Letosław. 4-go Ostromir bł. 5-go Stanisław ś. 6-go Chlebosław. 7-go Olech ś. 8-go Niezamysł. 9-go Borys i Chleb. 10-go Wawrzyniec. 11-go Włodzimira. 12-go Sława bł. 13-go Rosław. 14-go Dobrowój. 15-go Jaclaw ś. 16-go Domorad. 17-go Miron ś. 18-go Bronisława. 19-go Bolesław. 20-go Sobiesław. 21-go Kazimira. 22-go Radomil. 23-go Cichomir. 24-go Cieszymir. 25-go Namysław. 26-go Włastymira. 27-go Przedzislaw. 28-go Wyszomir. 29-go Racibor bł. 30-go Szczesny ś. 31-go Świętosław.

Jaka będzie pogoda w Sierpniu?

(podług 100-letniego kalendarza).

Zrana mgliste dni ale ciepło i ładnie aż do końca miesiąca.

Pewien figlarz tak mawiał: „Panie Boże, daj nam łatwiej chleba znaleźć, a uczyni go cięższym; daj dwóm, żeby więcej rady przyjmowały, a mniej radców; daj mądrym potęgę, a potężnym mądrość; daj długie życie, wesołe dni, cierpliwych wierzących, łagodne żony i spraw, żebyśmy się wszyscy do nieba dostali, ale jeszcze nie tak prędko.

Dwóch mieszczan pilo w oberży i zaczęli zwadę. Jeden z nich porywa kielbasę z misy i nią cios jakby sztyletem wymierzył w pierś sąsiada, który się tak przeląkł, że padł trupem. Wdowa go skarży i sąd wydał wyrok, że ponieważ był przyczyną śmierci towarzysza, ma być stracony. Ale jego obrońca tak przemówił: „Kto mieczem zabija, ma od miecza być zabity; ale nigdzie nie stoi, żeby ten kto kielbasą zabił, miał być mieczem ścięty.“ Jednak skazanego wyprowadzają na plac, kat dobywa z pochwy — ogromną kielbasę i uderza z całej siły w obnażoną szyję skazanego, aż się w kałki rozprysła, a on podskoczył wesoło i poszedł do domu.

Jeden człowiek starał się o przyjęcie do służby kolejowej i musiał się poddać badaniom lekarza. Trzeba było osądzić, czy się do tej służby nadaje. Lekarz się pyta: „Widzicie ten zegarek?“ Człowiek: „Tak jest, widzę.“ Doktor: „Słyszycie, jak tyka?“ Człowiek: „O i bardzo wyraźnie.“ Doktor: „Cofnijcie się o trzy kroki w tył (człowiek oddala się) a teraz czy słyszycie?“ Człowiek: „A słyszę.“ Doktor: „No to zaiste słyszycie nadzwyczajnie dobrze, bo ten zegarek już od dwóch tygodni nie chodzi.“

ZAPISKI.

Dni.		KALENDARZ rzymsko-katolicki	SŁOŃCA		KSIEŻYCA	
			wschód	zachód	wschód	zachód
			g. m.	g. m.	g. m.	g. m.
Cz.	1	Idziego op.	5 12	6 47	9 34	11 39
P.	2	Stefana kr.	5 13	6 45	10 10	12 43
S.	3	Joachima	5 15	6 43	10 53	1 46

15 po Z. Ś. O wskrzeszeniu młodzieńca z Naim. Łuk. 7.

N.	4	Rozalii p.	5 16	6 40	11 44	2 45
P.	5	Urbana pap.	5 18	6 38	rano	3 39
W.	6	Zacharyasza	5 20	6 36	12 46	4 27
Sr.	7	Reginy p.	5 21	6 33	1 57	5 9
Cz.	8	Narodzenie NMP.	5 23	6 31	3 14	5 45



P.	9	Gorgoniusza	5 25	6 29	4 36	6 18
S.	10	Mikołaja z Tol.	5 26	6 26	5 59	6 48

16 po Z. Ś. O uzdrowieniu opuchłego. Łuk. 14.

N.	11	Prota i Jacka	5 28	6 24	7 22	7 17
P.	12	Gwidona w.	5 30	6 22	8 44	7 47
W.	13	Eulogiusza	5 32	6 19	10 3	8 19
Sr.	14	Podw. ś. Krzyża	5 33	6 17	11 17	8 55
Cz.	15	Nikodema m.	5 35	6 15	12 26	9 35
P.	16	Kornela i Cypr.	5 37	6 12	1 28	10 21
S.	17	Pięt. ś. Franciszka	5 38	6 10	2 22	11 12

17 po Z. Ś. O najprzedniejszym przykazaniu. Mat. 22.

N.	18	Tomasza z Wil.	5 40	6 7	3 8	rano
P.	19	Januarego m.	5 42	6 5	3 47	12 7
W.	20	Eustachiusza m.	5 43	6 3	4 19	1 6
Sr.	21	Mateusza ap.	5 45	6 0	4 47	2 7
Cz.	22	Maurycego m.	5 47	5 58	5 13	3 9
P.	23	Tekli p.	5 48	5 55	5 36	4 12
S.	24	Gerarda b.	5 50	5 53	5 58	5 15

18 po Z. Ś. O uzdrowieniu powietrzem ruszonego. Mat. 9.

N.	25	Kleofasa m.	5 52	5 51	6 20	6 19
P.	26	Józefata b.	5 53	5 48	6 43	7 23
W.	27	Przen. ś. Stanisława	5 55	5 46	7 8	8 27
Sr.	28	Wacława kr.	5 57	5 44	7 37	9 31
Cz.	29	Michała arch.	5 59	5 41	8 10	10 35
P.	30	Hieronima wyzn.	6 0	5 39	8 49	11 37



☾ Ostatnia kwadra: 3-go Września, o 4 rano. — ☼ Nów: 9-go Września, o 10 wieczorem.
 ☾ Pierwsza kwadra: 16-go Września, o 4 po południu. — ☼ Pełnia: 24-go Września, o 7 wieczorem.



Św. Kornel

był papieżem od 251—252 roku. Z urodzenia był Rzymianinem i nastąpił po papieżu Fabianie. Zwołał konsyl w Rzymie i zostawił ważne listy, które się porozumiewał ze św. biskupem Cyprianem z Kartaginy. Św. Kornel poniósł śmierć męczeńską za cesarza Gallussa i Volusianusa i pochowanym został w katakumbach św. Kaliksta.

Kalendarz słowiański.

1-go Dzierżysław. 2-go Czcibóg. 3-go Przysława ś. 4-go Rościslawa. 5-go Wodzisław. 6-go Drogowit. 7-go Domoslawa. 8-go Radosława. 9-go Sobiebor. 10-go Władydob. 11-go Iścislaw. 12-go Radzimir. 13-go Chronisław. 14-go Ziemomysł. 15-go Budzimił. 16-go Sędzislaw. 17-go Drogosław. 18-go Dobrowit. 19-go Krzepimir. 20-go Myślisław. 21-go Bożydar. 22-go Zelimir. 23-go Bogusław. 24-go Homir. 25-go Świętopelk. 26-go Ładysław bł. 27-go Damian. 28-go Wacław ś. 29-go Dadzibóg. 30-go Imisław.

Jaka będzie pogoda w Wrześniu?

(podług 100-letniego kalendarza).

Wrzesień będzie pięknym aż do 13-go, poczem trochę jesiennego chłodu, ale wkrótce znowu pogoda. Po 28-mym pochmurno i mokro.

Niedawno ukazało się w jednym dzienniku następujące ogłoszenie: „Pani potrzebująca opieki szuka towarzyski, która umiałaby pielęgnować i była pożyteczną. Powinna lubić siedzieć w domu, być uprzejmą, muzykalną, wczesnie wstawać, być ładną i dobrą dozorczynią. Należące do towarzystwa wstrzemięźliwości będą miały pierwszeństwo. Zapłaty nie otrzyma żadnej — tylko dobre utrzymanie i miły dom.“ W kilka dni potem otrzymała owa pani paczkę z poczty z napisem: „nie rzucić.“ Gdy otworzono koszyczek, ukazała się ładna kotka a do jej ogona był przywiązany list następującej treści: „Pani! W odpowiedzi na jej anons cieszy mnie, że mogę pośredniczyć pani w pozyskaniu towarzyski, która posiada wszystkie zalety, jakich Pani wymaga. Bardzo lubi siedzieć w domu, wstaje bardzo wczesnie, jest bardzo miłą, uprzejmą i ładną. Ponieważ już kilka razy była matką, więc ma doświadczenie w pielęgnowaniu i dozorowaniu, a przytem, co do alkoholu, to jest bardzo wstrzemięźliwą. Nie wymaga żadnej zapłaty, tylko dobrego utrzymania i miłego domu.“

Tak ktoś dowcipny dał dobrą nauczkę owej pani, która tak wiele wymagała, a nic zapłacić nie chciała.

Księcia Michała Czartoryskiego prosił pewien obywatel, aby go uczynił sędzią. Książę daje mu zepsuty zegarek i mówi: „Proszę cię, napraw mi ten zegarek.“ A szlachcic: „Nie potrafię tego, bom się w życiu nie uczył zegarmistrzostwa.“ A sędzią chcesz zostać, choć prawa się nie uczyłeś? — zawołał książę. I odprawił go.

ZAPISKI.

Dni.		KALENDARZ rzymsko-katolicki	SŁOŃCA		KSIEŻYCA	
			wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
S.	1	Remigiusza	6	25 37	9 36	12 37

19 po Z. Ś. O szacie godowej. Mat. 22.

N.	2	Aniołów Stróżów	€	6	35 34	10 32	1 32
P.	3	Kandyda m.		6	55 32	11 37	2 20
W.	4	Franciszka Seraf.		6	75 30	rano	3 3
Sr.	5	Placyda m.		6	95 27	12 49	3 40
Cz.	6	Brunona w.		6	105 25	2 6	4 13
P.	7	Marka pap.		6	125 23	3 27	4 44
S.	8	Brygidy wd.		6	145 20	4 50	5 13

20 po Z. Ś. O uzdrowieniu syna królewskiego. Jan 4.

Październik

N.	9	Dyonizego	☉	6	16 5 18	6 13	5 43
P.	10	Franciszka Borg.		6	17 5 16	7 35	6 14
W.	11	Gereona z tow.		6	19 5 13	8 54	6 49
Sr.	12	Maksymiliana		6	21 5 11	10 8	7 28
Cz.	13	Edwarda kr.		6	23 5 9	11 15	8 13
P.	14	Kaliksta pap.		6	25 5 7	12 14	9 3
S.	15	Teresy i Jadw. w.		6	26 5 4	1 4	9 58

21 po Z. Ś. O dłużniku złośliwym i śludze. Mat. 18.

N.	16	Gawła ap.	☿	6	28 5 2	1 46	10 57
P.	17	Wiktora b.		6	30 5 0	2 21	11 58
W.	18	Łukasza ew.		6	32 4 58	2 51	rano
Sr.	19	Piotra z Alk.		6	34 4 56	3 17	1 0
Cz.	20	Jana Kantego		6	35 4 54	3 41	2 3
P.	21	Urszuli p.		6	37 4 52	4 3	3 0
S.	22	Brunona b.		6	39 4 49	4 25	4 9

22 po Z. Ś. O monecie czynszowej. Mat. 22.

N.	23	Jana Kapistrana		6	41 4 47	4 48	5 13
P.	24	Rafała arch.	☿	6	43 4 45	5 13	6 18
W.	25	Kryspina m.		6	44 4 43	5 40	7 23
Sr.	26	Ewarysta m.		6	46 4 41	6 11	8 28
Cz.	27	Fromencyusza		6	48 4 39	6 48	9 32
P.	28	Szymona i Judy		6	50 4 37	7 33	10 33
S.	29	Narcyza b.		6	52 4 35	8 26	11 29

23 po Z. Ś. O wskrzeszeniu córki Jaira. Mat. 9.

N.	30	Edmunda b.		6	54 4 33	9 27	12 19
P.	31	Wolfganga b.	+ €	6	56 4 31	10 34	1 2



☿ Ostatnia kwadra: 2-go Paźdz., o 3 po poł. — ☉ Nów: 9-go Paźdz., o 6 przed poł. — ☿ Pierwsza kwadra: 16 Paźdz. o 7 przed połud. — ☿ Pełnia: 24 Paźdz. o 12 w poł. — ☿ Ostat. kwadra: 31 Paźdz. o 12 w poł.



Św. Pelagia

żyła około roku 450, i znaną była z lekkich obyczajów. Raz wstąpiła do kościoła gdy biskup Nonnus miał kazanie, które ją tak wzruszyło, że od razu pokutę czynić zaczęła. Wszystkie swe kosztowności biednym rozdała i włożywszy włosiennicę opuściła swe rodzinne miasto, Antiochią. W Jeruzalem, przy górze Oliwnej w małej komórcie resztę życia spędziła i umarła jako święta.

Kalendarz słowiański.

1-go Znatysław. 2-go Stanimir. 3-go Siemian. 4-go Bratysław. 5-go Zaslów. 6-go Bronisław. 7-go Rosława. 8-go Wojsława. 9-go Dogomost. 10-go Tomił. 11-go Dobromiła. 12-go Grzmisław. 13-go Ziemisław. 14-go Dzierzymir. 15-go Długosława. 16-go Radzisław. 17-go Zytysława. 18-go Bratumił. 19-go Ziemowit. 20-go Budzisława. 21-go Daromiła. 22-go Przybysława. 23-go Włastymir. 24-go Siemisław. 25-go Samomysł. 26-go Lutostaw. 27-go Witomił. 28-go Włabybóg. 29-go Dalelił. 30-go Przemysława. 31-go Godzimir.

Jaka będzie pogoda w Październiku?

(podług 100-letniego kalendarza).

Październik zacznie się brzydkim powietrzem, od 10-go do 16-go słońce, 17-go dzień zupełnie latowy, do końca ciepło i zimno naprzemiennie.

Na pewną stację kolejową we Francji przybył pociąg z prowiantami dla wojska. Odkomenderowano żołnierzy do przenoszenia pełnych miechów z wagonów aż do koszar. Między żołnierzami znajdował się syn pewnego zamożnego kupca, a jako dozorujący stał nad nim niższy podoficer, który z zawodu był nosicielem miechów u ojca owego zamożnego młodego człowieka. Z wielką powagą i godnością patrzył na syna swego pryncypała, gdy ten się ugiął pod ciężarem i dobrodusznie zakomenderował „drobny krok.“ Gdy młody panicz skąpany w pocie wracał po drugi miech, podoficer krzyknął: „stanąć, halt.“ zdjął hełm i pałasz i oddał je owemu żołnierzowi, mówiąc: „Raz pozwoliłem na to, aby pan przeniósł miech i miałem w tem uciechę — ale teraz zamienimy role, niech pan przez godzinę obejmie moje stanowisko podoficera, a ja za niego miechy będę nosił.“ I tak się stało. Po skończonej robocie znowu nosiciel miechów zamienił się w podoficera, a syn kupca w żołnierza. Ten ostatni oddał hełm i pałasz z temi słowami: „Podoficerze Michale. Te miechy, które dzisiaj dobrowolnie za mnie dźwigałeś, były ostatnimi. Gdy wrócisz do mego ojca, będziesz mianowanym dozorcą magazynu.“

Wierzyciel chciał przynajmniej od dłużnika mieć na piśmie przyznanie długu, który wynosił 10 000 fl. Piszże tedy do niego: „Bądź pan łaskaw oddać mi 20 000, które mi winien. Na to odpisuje dłużnik: „Mylisz się pan, bom ci tylko winien 10 000 fl.“ Złapał go.

ZAPISKI.

Dni.		KALENDARZ rzymsko-katolicki.	SŁOŃCA		KSIEŻYCA	
			wschód g. m.	zachód g. m.	wschód g. m.	zachód g. m.
W.	1	Wszystkich Św.	6 58	4 29	11 47	1 40
Śr.	2	Dzień zaduszny	6 59	4 27	rano	2 13
Cz.	3	Huberta b.	7 14	25	1 4	2 43
P.	4	Karóla b.	7 34	24	2 23	3 12
S.	5	Emeryka kr.	7 54	22	3 44	3 40

24 po Z. Ś. O kąkolu między pszenicą. Mat. 13.

N.	6	Leonarda w.	7 74	20	5 5	4 9
P.	7	Engelberta b.	7 94	18	6 25	4 42
W.	8	4 Koronatów.	7 104	17	7 43	5 19
Śr.	9	Teodora m.	7 124	15	8 55	6 1



Cz.	10	Jędrzeja z Akw.	7 144	1310	0	6 49
P.	11	Marcina b.	7 164	1210	56	7 44
S.	12	5 Braci Polaków	7 184	1011	43	8 43

25 po Z. Ś. O ziarnku gorczycznem. Mat. 13.

N.	13	Dydaka w.	7 204	912	22	9 44
P.	14	Marcina pap.	7 214	712	54	10 47
W.	15	Gertrudy p.	7 234	5	1 21	11 50
Śr.	16	Stanisława Kostki*)	7 254	4	1 45	rano
Cz.	17	Salomei p.	7 274	3	2 8	12 53
P.	18	Anieli Mer.	7 294	1	2 30	1 57
S.	19	Elżbiety wd.	7 304	0	2 52	3 1

26 po Z. Ś. O okropnem spustoszeniu. Mat. 24.

N.	20	Feliksa de Val.	7 323	59	3 15	4 5
P.	21	Ofiarowanie NMP.	7 343	58	3 41	5 11
W.	22	Cecylii p.	7 363	56	4 11	6 17
Śr.	23	Klemensa pap.	7 373	55	4 47	7 23
Cz.	24	Chryzogona	7 393	54	5 29	8 26
P.	25	Katarzyny p.	7 413	53	6 20	9 25
S.	26	Grzegorza	7 423	52	7 19	10 18

1 Adwentu. O znakach na niebie i na ziemi. Łuk. 21.

N.	27	Waleryana	7 443	51	8 25	11 4
P.	28	Rufina m.	7 463	50	9 36	11 44
W.	29	Saturyna b.	7 473	49	10 51	12 18
Śr.	30	Andrzeja b.	7 493	49	rano	12 48

*) Dzień modlitwy i pokuty (Bet- u. Busstag.)

Ⓐ Nów: 7-go Listopada, o 5 po południu. — Ⓓ Pierwsza kwadra: 15-go Listopada, o 2 rano.
Ⓔ Pełnia: 23-go Listopada, o 4 rano. — Ⓔ Ostatnia kwadra: 30-go Listopada, o 9 przed południem.



Św. Andrzej

apostół był uczniem św. Jana Chrzciciela. Po umęczeniu i zmartwychwstaniu Chrystusa, puścił się św. Andrzej do Tatarów aby im nieść światło Ewangelii. Nauczając przebiegł różne ziemie aż wreszcie w Achai spotkała go śmierć męczeńska. Starosta Egeasz chciał zmusić świętego aby uczcił bałwany, a gdy tenże odmówił, kazał go sznurami przywiązać do krzyża i tak długo na nim pozostawić, aż umarł w powolnych męczarniach.

Kalendarz słowiański.

1-go Warcisław. 2-go Witymir. 3-go Chwalisław. 4-go Mściwój. 5-go Sławomir bł. 6-go Wszewład. 7-go Zytomir. 8-go Sędziwój. 9-go Bogodar. 10-go Ludomir. 11-go Spitosław. 12-go Nowosław. 13-go Wszerad. 14-go Wodzimir. 15-go Przebysław. 16-go Radomir. 17-go Zbysława. 18-go Stanisław. 19-go Drogomira. 20-go Sędzimir. 21-go Sław. 22-go Wszemiła. 23-go Miływój. 24-go Darosław. 25-go Chwalimira. 26-go Lechosław. 27-go Tomir. 28-go Gościsław. 29-go Przemyśl. 30-go Ludosław.

Jaka będzie pogoda w Listopadzie?

(podług 100-letniego kalendarza).

Zimno aż do 10-go, od 11-go do 18-go pochmurno, mgły i deszcze i znowu zimno, ale dosyć pogodnie do końca.

Trzech studentów chciało zażartować ze starego, znanego ze szorstkości profesora Holberga w Kopenhadze. Najpierw poszedł do niego jeden z nich, stanął przy drzwiach i rzekł: „Dzień dobry, Ojcie Abrahamie.” Holberg nie odpowiedział i udawał, że wcale nie słyszał. Wkrótce przyszedł drugi student, stanął obok pierwszego i rzekł: „Dzień dobry, Ojcie Izaaku.” Znowu Holberg siedział spokojnie, jakby nie słyszał. Nakoniec przychodzi trzeci student, staje obok dwóch pierwszych i rzecze: „Dzień dobry, Ojcie Jakóbie.” Wówczas profesor wstał, złożył się do owych trzech studentów i tak przemówił: „Coś wam powiem. Nie jestem Abrahamem, ani Izaakiem, ani Jakóbem, tylko Saulem, synem Kisa, który wyszedł na poszukiwanie osła. Cieszę się, że aż trzech naraz znalazłem!”

Włóczędze czarno zarosłemu mówi sędzia: „Twoje sumienie musi być tak czarne, jak twoja broda.” Na to włóczęga: „Jeżeli mamy sądzić według brody, to pan sędzia niema wcale sumienia, bo niema brody.”

Pewien pan wyznania luterskiego, chcąc nakłonić swych katolickich poddanych do przyjęcia wiary luterskiej, obiecał im dać po 10 morgów pola, jeżeli to uczynią. Na to jeden mądry chłop tak się odezwał: „Kto chce się zemną pomieniać na konie i do mego mi dopłaca, to wiem, że mój koń lepszy, niż jego. Tak i nasza wiara lepszą być musi, kiedy pan chce nam dopłacać, abyśmy ją zamienili na waszą.”

ZAPISKI.

Dni.		KALENDARZ rzymsko-katolicki.	SŁOŃCA		KSIEŻYCA	
			wschód	zachód	wschód	zachód
			g. m.	g. m.	g. m.	g. m.
Cz.	1	Eligiego b.	7 50	3 48	12 8	1 16
P.	2	Bibianny p.	7 51	3 47	1 25	1 43
S.	3	Franciszka Ksaw.	7 53	3 47	2 43	2 10

2 Adwentu. O Janie we więzieniu. Mat. 11.

N.	4	Barbary p.	7 54	3 46	4 1	2 39
P.	5	Piotra Chryzost.	7 55	3 45	5 18	3 12
W.	6	Mikołaja b.	7 57	3 45	6 33	3 51
Śr.	7	Ambrożego b.	7 58	3 45	7 42	4 36
Cz.	8	Niep. Pocz. NMP.	7 59	3 44	8 43	5 28



P.	9	Leokadyi p.	8 13	44	9 35	6 26
S.	10	NMP. Loretańskiej	8 23	44	10 18	7 27

3 Adwentu. O poselstwie Jana do żydów. Jan 1.

N.	11	Damazego p.	8 33	44	10 54	8 30
P.	12	Synezyusza m.	8 43	44	11 24	9 34
W.	13	Łucyi p.	8 53	43	11 50	10 38
Śr.	14	Spirydyona b. †	8 63	43	12 13	11 42
Cz.	15	Euzebiusza b.	8 73	44	12 35	rano
P.	16	Adelajdy †	8 83	44	12 56	12 45
S.	17	Łazarza b. †	8 83	44	1 19	1 49

4 Adwentu. O Janie opowiadającym Chryst. Łuk. 3.

N.	18	Gracyana b.	8 93	44	1 43	2 54
P.	19	Nemezyusza	8 103	44	2 11	4 0
W.	20	Pelagii pokut.	8 103	45	2 43	5 6
Śr.	21	Tomasza ap.	8 113	45	3 22	6 11
Cz.	22	Zenona m. ☉	8 113	46	4 10	7 14
P.	23	Wiktoryi p.	8 123	46	5 7	8 11
S.	24	Adama i Ewy †	8 123	47	6 12	9 2

1 po B. N. O proroctwie Symeona i Anny. Łuk. 2.

N.	25	Boże Narodzenie	8 133	48	7 24	9 45
P.	26	Szczepana m.	8 133	48	8 39	10 22
W.	27	Jana ewang.	8 133	49	9 56	10 53
Śr.	28	Młodzianków	8 133	50	11 14	11 21
Cz.	29	Tomasza b.	8 143	51	rano	11 48
P.	30	Dawida kr.	8 143	52	12 31	12 15
S.	31	Sylwestra p.	8 143	53	1 48	12 43



☉ Nów: 7-go Grudnia, o 5 rano. — ☾ Pierwsza kwadra: 14-go Grudnia, o 11 wieczorem.
 ☾ Pełnia: 22-go Grudnia, o 7 wieczorem. — ☽ Ostatnia kwadra: 29-go Grudnia, o 5 po południu.



Sw. Bibianna

była córką Flawiana zanego Rzymianina, który został pozbawiony wraz z żoną szlachectwa i majątku i wygnany z miasta. Dwie młodzietki ich córki, Demetryę i Bibianę namawiał i kusił starosta, aby zostały wierne bogom i sobie zaskarbiły łaskę cesarza. Gdy dziewczeczki opierały się wszelkim namowom wstrącono je do więzienia. Tam Demetria umarła, a Bibianę na śmierć kijami zbito. Papież Symplicyusz kazał wzniesić kościół nad jej grobem.

Kalendarz słowiański.

1-go Samosława. 2-go Szulisława. 3-go Wiślimir. 4-go Lubomila. 5-go Spitosława. 6-go Jarogniew. 7-go Ludomyśl. 8-go Boguwola. 9-go Wyszosława. 10-go Radzysława. 11-go Wojmir. 12-go Wolidar. 13-go Władysława. 14-go Sławibor. 15-go Wolimir. 16-go Zdysław. 17-go Zyrosław. 18-go Wszemir. 19-go Mścigniew. 20-go Bogumila. 21-go Tomisław bł. 22-go Drogomir. 23-go Słowomira. 24-go Godysława. 25-go Grzymisława. 26-go Wróciwój. 27-go Radomyśl. 28-go Godzysław. 29-go Gosław bł. 30-go Ludomił. 31-go Lasota.

Jaka będzie pogoda w Grudniu?

(podług 100-letniego kalendarza).

Z początku mróz, następnie deszcze, 10-go śnieg i zimno do 19, znowu deszcz i zimno do końca.

Anglik, Filip Diknes miał syna, który przez szczęśliwe okoliczności przyszedł do wielkiego bogactwa i nawet godność lorda otrzymał. Pewnego razu stary Diknes będąc w potrzebie, udał się do syna z prośbą, aby go wsparł pieniędzmi, ale twardy syn odmówił. Wtedy ojciec wynajął naprzeciw pałacu syna mieszkanie i nad drzwiami umieścił szyld z napisem: „Tu mieszka Filip Diknes, ojciec bogatego lorda Diknes, mieszkającego naprzeciw i naprawia obuwie po cenach najtańszych.“ Za trzy dni już szyldu nie było, a stary Diknes miał pieniądze w kieszeni.

Nad budą komedyancką był napis: „Tu każdy za małą opłatą może widzieć osobę, którą najwięcej kocha.“ Każdy ciekawy opłacał wstęp i wchodził do środka, gdzie wpuszczano tylko po jednej osobie. W środku nie było, tylko zwierciadło duże, w którym zobaczył swój obraz i rozgniewany na oszusta wychodził, a ten znów wołał: „Niech ten pan powie, czy nie widział tam osoby, którą najwięcej kocha?!“

Do oberży wstąpił pan w czasie mroźnym i znalazł piec w obłączeniu. Wtedy rozkazuje swemu słudze, aby koniom zaniósł pieczonych kurcząt. Wszyscy ciekawi pobiegli patrzeć do stajni, jak też konie kurcząt jeść będą, a pan wygodnie usadowił się przy piecu. Sługa wraca i mówi, że konie kurcząt jeść nie chcą. — Wtedy pan: „To daj kurczęta mnie, a koniom owsa.“

ZAPISKI.



Ważne dni 
dla rodziny.

Nowy Rok.



Znowu Nowy Rok, rodacy!
Cóż nowego nam przynosi?
Jedną starą pieśń nam głosi:
Hej do pracy! hej do pracy!

Niech pracują wszystkie siły:
Czy to pan, czy kmiotek w chacie,
Lub rzemieślnik przy warsztacie...
Ten trud będzie Bogu miły!

Bo co Bogu się podoba,
To i dla nas zyskiem będzie,
Łaskę niebios nam zdobędzie,
W szczęściu każda minie doba.

Niechaj każdy już za młodu
Czyni, co mu Bóg naznaczył,
Jaką pracę mu wyznaczył,
A nie zazna nigdy głodu!

Bo kto się pracować wstydzi,
Kto marnuje ten czas złoty,
Kto nie skory do roboty,
Takim to się i Bóg brzydzi.

Pracujmy więc starzy, młodzi,
Oszczędzajmy, chwalmy Boga,
A żadna nie przyjdzie trwoga,
I nadzieja los ośłodzi...

Wład. Ziel.



OSTATNIE DNI ST. PIERRE.

I.

Jednej z najpiękniejszych ulic Paryża, stała wila p. Garyk, u której zwykło się zbierać eleganckie towarzystwo złożone z różnych narodowości.

Pani Garyk była południową Amerykanką, lecz po śmierci męża nie miała już ochoty wracać do rodzinnego kraju. Bogata, mogła żyć w świetnym Paryżu, otoczona zbytkiem i przyjemnym towarzystwem, więc nie szukała zmiany *l'air*. W jej gościnnym domu znajomi znajdowali zawsze serdeczne przyjęcie, nie brakło też nigdy odwiedzających jej, a między nimi od niedawna bawiła u niej bogata, młoda panna, śliczna i wesoła ulubienica otoczenia, której kaprysy każdy chętnie znosił, zasypując ją grzecznościami. Już ojciec przyzwyczaił swą jedynaczkę do tego, że każde jej życzenie musiało być spełnionem, bo dla czegożby jej miał odmawiać?

Młoda ta osobka nazwiskiem Helena Pikard, pochodziła z wyspy Martyniki, jednej z posiadłości francuzkich na Antylach, położonych między Północną a Południową Ameryką. Ojciec jej miał tam znaczne posiadłości w plantacjach i jako przemysłowiec wybitnie zajmował stanowisko, a bogactwo pozwalało mu znaczną część roku przepędzać dla przyjemności w Paryżu. Matkę straciła Helena bardzo wcześnie więc wychowaną była we wykwintnym pensjonacie między panienkami równie jak ona majątnymi i z dobrego towarzystwa. Po skończeniu pensji oddał ojciec swą córkę pod opiekę p. Garyk, życząc sobie, aby od niej przejęła układne wzięcie i łatwość światowego życia. Na zebraniach u p. Garyk cały rój młodzieży otaczał uroczą Amerykankę, która przygrywała holdy w przekonaniu, że są należne jej wdziękom młodości i fortunie. Darzyła wielbicieli laskawymi uśmiechami, słuchała słodkich pochlebstw, lecz nikogo nie

wyróżniała, dla wszystkich była jednakowo uprzejmą, tak, że każdy mógł się ludzić, że ją w końcu za żonę zdobędzie.

Był między nimi jeden młody człowiek, bardzo poważny i skromny, który odznaczał się w tem towarzystwie lekkim, wesołym i światowem. Zkąd on się wziął na salonach p. Garyk? Dla czego obcował z tymi ludźmi, od których się tak różnił w słowach, w obejściu i w upodobaniach? Jerzy Esparmont, tak się nazywał ów młodzieniec, był profesorem i udzielał lekcji literatury niemieckiej i francuzkiej, w pensjonacie, gdzie się kształciła Helena Pikard. Pani Garyk poznawszy go tam, zaprosiła do swego domu i młody profesor zakochany mocno w pięknej swej uczennicy siedł wszędzie, gdzie miał sposobność ją widzieć. Gdy Helena opuściła pensję, Jerzy tem gorliwiej bywał u p. Garyk, aby chociaż wraz z innymi mógł podziwiać tę postać pełną wdzięku, aby słyszeć jej śmiech srebrzysty i dowcipne słówka, które ze śmiałością zwykłą Amerykankom, umiała wplatać w rozmowę. Jakże o takiej pannie, o której względy ubiegali się wielcy panowie i milionerzy, mógł marzyć on, profesor bez rozgłosu i bez majątku?

Czuł, że jego nadzieje są śmieszne a jednak nie miał siły wyrzec się ich, nie spróbowałszy szczęścia. Postanowił dowiedzieć się napewno, z ust własnych Heleny, czy jego miłość szczerą i głęboką nie może dorównać tym świetnościom, które jej się ślały pod stopy, ze strony próżnego świata. Wyobrażał sobie, że w cichem, spokojnem szczęściu domowem, da swej ukochanej rozkosze więcej warte, jak te zabawy i holdy, jak ten blask brylantów i światła, które przyjemnie odurzają zmysły, ale serca zadowolnić nie zdołają. Biedny Jerzy sądził innych miarą swej dobrej, rzetelnej natury, lecz miał się wkrótce przekonać, że każdy na swój sposób szczęście rozumie; Helena także,

choć zdawało się, że młody profesor był jej bliższym i miłszym od innych.

Pewnego wieczoru, na licznej znowu przyjęciu gości, postarał się o rozmowę z nią, zdala od tłumu i spokojnie, jak człowiek, który jest świadom swej moralnej wartości, wyznał jej swoją miłość, pytając zarazem, czy mógłby liczyć na to, że i ona z czasem odda mu swoje serce.

Z grzecznym ale zimnym uśmiechem podziękowała mu Helena za zajęcie się nią, powiedziała, że go bardzo lubi, że go szanuje, ale co do małżeństwa to ma inne zamiary i że już jest prawie przyrzeczoną jednemu ze swoich rodaków, który właśnie jest w drodze do Paryża.

Jerzy, słuchał z bólem tych słów, które całe jego nadzieje rozwiały w jednej chwili. Właśnie p. Garyk do nich się zbliżyła.

— Cóż to za poufna narada — zapytała z uśmiechem — macie państwo widocznie dużo sobie do powiedzenia.

— O nic ważnego, — odrzekła prędko Helena, — p. Esparmont opowiadał mi tylko o Alzacyi, swojej ojczyźnie, gdzie ma być tak pięknie...

Jerzy milczał, nie mogąc kłamać równie gładko jak ta młoda, światowa panna, którą przed chwilą uważał za tak bardzo godną uwielbienia i podziwu.

Teraz dostrzegł przepaść ich dzielącą, poznał swoją pomyłkę i mimo wielkiego bólu, musiał przyznać, że to nie jest kobieta, stosowna na żonę dla niego.

Uklonił się obu paniom i z kilku słowami pożegnania opuścił progi tego domu na zawsze.

II.

Na Martynice.

Blaskiem południowego słońca opromieniona leży wśród wód morza wyspa Martynika, śliczny kawałek ziemi zdobny bujną roślinnością i obdarzony słodkim, upajającym klimatem. Na kształt wielkiego półksiężyca rozkładało się na zachodnim wybrzeżu wyspy, miasto portowe St. Pierre, na tle pagórków zielonych, na których wznosiły się gdzieś niegdyś śliczne wile otoczone wysokimi drzewami. Nad całą okolicą góruje wulkan groźny, Mont Pelé, który od wybuchu w roku 1851 zachowywał się znów cicho i spokojnie, tylko czasami dymem wychodzącym ze szczytu i przytłumionym wewnętrznym grzmotem, zdradzał, że przechowuje w sobie ogień jeszcze nie wygasły. St. Pierre było najważniejszym miastem wyspy i większym jak jej stolica Fort de France.

Domy miasta były częściowo z drzewa a częściowo z kamieni, z wysokimi oknami i licznymi balkonami. Dużo składów znajdujących się w ulicach, świadczyło o zamożności

miasta a między budynkami widoczne kępy drzew bananów i palm, nadawały krajobrazowi osobliwego uroku. Biała, wysoka katedra strzelała wieżami ku niebu a za miastem drugi dom Boży, mała kaplica, wznosiła się na miejscu, gdzie Kolumb pierwszy raz stopą ziemi Martyniki dotknął. Dalej trochę na wzgórku olbrzymia figura Chrystusa spoglądała na zatokę, a druga prawie równie wielka figura Matki Boskiej zdobiła wierzchołek pagórka Morne d'Orange.

W dolnej części miasta ulice były wąskie i kręcone, ale wyżej, gdzie zamożniejsi mieszkańcy mieli siedziby, było przestronnie i zielono od ogrodów. Malownicza, krzyżami i obrazami świętych ozdobiona droga wiodła do wioski Morne Rouge, która ze swoją ciepłą wiosenną przyrodą, rajem ziemskim zwać się mogła.

Z tamtąd gdzie droga prowadziła dalej na Mont Pelé, roztaczał się prawdziwie, cudny widok: W dole fale morza wiecznie o brzeg się rozbijające, a na północ i na południe zdala zachwycające wzrok wioski rozrzucone na tonącej w bogatej roślinności przestrzeni. W tych gorących okolicach ziemi, panuje prawie ciągle równa temperatura tak we dnie, jak w nocy. W maju po dwutygodniowych deszczach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, od razu zakwitają drzewa i kwiaty, zamieniając całą wyspę w jeden wielki ogród. Piekące gorąco łagodzi wiatr przychodzący od morza i tylko w sierpniu upał staje się dokuczliwym. Około tego czasu następuje drugi okres deszczy i trwa aż do końca października. Potem zaczyna się zima, która tam jest najmiłszą porą roku, odpoczynkiem dla ludzi i zwierząt.

Dawniejsi mieszkańcy szeregu wysp Antylskich Karaibowie byli ludożercami. Dzisiaj już mało jest członków dawnego plemienia, a ci co jeszcze żyją, musieli uleść oświacie europejskiej i ludożerstwa zaprzestać. Murzyni mieszały się z białymi, więc na Martynice widziało się ludzi o wszystkich odcieniach skóry od czarnych, oliwkowych aż do zupełnie białych. Czarni oznaczają się zazwyczaj wielkim lenistwem i od czasu, gdy przestali być niewolnikami, pracują tylko wtedy, gdy ich konieczność do tego zmusza. Murzynki prawie wszystkie są brzydkie i brudne, ale za to między Mulatami napotyka się prawdziwe piękności.

Od czasu jak Martynika jest w posiadaniu Francji, handel wyspy rozwinął się znacznie i oświata zapanowała. Nauczanie leży w ręku duchowieństwa. Kongregacya świętego Ducha także tam miała swój klasztor a należeli do niego Francuzi, Alzaci i Niemcy. W szkole w St. Pierre 20 zakonników prowadziło dzieło oświaty mając 160 uczni. Prócz tego siostry

klasztoru św. Józefa z Cluny wychowywały 200 dziewczynek.

Nie łatwe to zadanie pouczać i wychowywać dzikie i swawolne dzieci przyrody, nieprzywykłe do żadnej pracy umysłowej, ale przyznać trzeba, że murzyni chociaż nie lubią książki, są jednak sprytni i inteligentni, a żywo zajmują się wszystkim, co dla nich nowe. Zakonnice i zakonnicy doznawali od pierwotnych mieszkańców wyspy tak jak i od cywilizowanych przybyszy, jaknajlepszego traktowania a nawet szacunku.

Przed rokiem mniej więcej powiększył brat Anzelm grono zakonników w St. Pierre. Każdy w mieście go znał i widział codziennie, gdy z czarnymi i białymi uczniami udawał się na przechadzkę w pola lub do którego z ogrodów. Brat Anzelm prędko przywykł do swoich nowych obowiązków i do otoczenia, chociaż z początku trochę trudno mu było rozumieć i prowadzić tak różne dzieci. Zresztą Murzyni już dużo przyjęli od swych francuskich zwierzchników a nawet usposobienia mają podobne, bo są weseli, lekkomyślni i łatwi w obejściu. Z niechęcią tylko stosują się do ubrania, gdyż najchętniej chodziliby nago, tak jak dawniej.

Brat Anzelm, którego przełożeni wysłali w te strony, był znanym nam ze wstępu opowiadania, Jerzym Esparmont, który w Paryżu u p. Garyk poznał złudną wartość światowych rozkoszy i którego miłość musiała ustąpić w obec bogactwa i stanowiska wybranej jego serca. Zawsze był poważnym a po tych przejściach więcej jeszcze usunął się od ludzi i pogrążył w rozmyślaniach. W tem skupieniu ducha dojrzało w nim przekonanie, że jego powołaniem jest służba Bogu w zakonnym stanie, a chcąc swoją wiedzę i profesorskie zdolności zużyć dla bliźnich wstąpił do klasztoru, którego zadaniem było nauczanie i wychowywanie młodzieży w misjach. Tym sposobem dostał się na Martynikę.

Jednego dnia, gdy jak zwykle wyszedł na przechadzkę, w towarzystwie jednego z uczniów, między eleganckimi wilami z brzegu lasu zauważył, jeden, który nosił napis „Wila Pikard.“ Zapewne mieszkał tam pan Pikard ojciec tej pięknej panny, którą kiedyś bar-

dzo kochał. Cztery lata upłynęły od tego czasu, a on nie o niej nie wiedział i domyślał się tylko, że musiała wyjść za mąż. Właśnie jedna ze służ jakas stara kobieta, ukazała się przed domem. Brat Anzelm zbliżył się do niej.

— Czy tu mieszka p. Pikard, znany plantator? — zapytał.

Sługa, która była mulatką odrzekła w łamanym francuskim języku:

— Nie, p. Pikard już umarł. Ale jego córka, żona p. Jonsona mieszka teraz w tej wili.

Brat Anzelm byłby mógł łatwo dowiedzieć się więcej o Helenie od starej sługi, ale powściągnął swą ciekawość, bo nie było wolno, jemu, zakonnikowi zajmować się wspomnieniami należącymi do świata i do tych czasów, kiedy nazywał się Jerzym Esparmond.



...kościół zapelnili się coraz większym tłumem. (Str. 62).

Brata Anzelma zawezwano do rozmównicy, gdzie czekała na niego jakaś pani. Nie mało był zdumionym, gdy ujrzał przed sobą Helenę, dzisiejszą panią Jonson.

Łatwo mógł ją poznać, gdyż się prawie wcale nie zmieniła i była równie jak on zdziwioną tem spotkaniem, bo nie spodziewała się znaleźć go w tem miejscu nie wiedząc wcale, że wstąpił do klasztoru. Przyszła tam w sprawie jednego młodego chłopca, którym się opiekowała i chciała braciom św. Duchu oddać na wychowanie.

Przez chwilę brat Anzelm i Helena byli cokolwiek zakłopotani. Ona odezwała się pierwsza:

— Pragnęłam prosić braci, aby przyjęli syna naszego starego służącego, do swego zakonu. Ma on powołanie do stanu duchownego, więc chciałam przyczynić się do tego, aby życzeniu chłopca stało się zadość, niechaj na swój sposób będzie szczęśliwym.

— Z jak największą ochotą — odrzekł brat Anzelm — przyjmujemy miejscowych do naszego zakonu. Staramy się nawet o to, aby murzynów i mulatów pozyskiwać dla naszego powołania, gdyż oni łatwiej i skuteczniej rozszerzaliby religię między swymi współrodakami. Zatem niech ten chłopiec przybędzie, przyjmujemy go z otwartymi ramionami, wychowamy jak najlepiej, a jeżeli wytrwa w swem postanowieniu, będzie mógł księdzem zostać.

Helena była wzruszoną zapałem i gorliwością, jaka przebiegała z każdego słowa tego człowieka, żyjącego tylko myślą o swych bliźnich. Podziękowała mu serdecznie za tak dobre przyjęcie jej prośby i odeszła.

III.

Złe zapowiedzi.

W katedralnym kościele proboszcz przemawiał z kazalnicy do tłumu nabożnych. Było to jak zawsze w niedzielę, kazanie, ale tym razem proboszcz więcej jak zwykle był wzburzonym, z większym jak zawsze mówił przejęciem i z większą, jak zawsze uwagą słuchali go obecni, bo wszyscy wiedzieli, że słowa oburzenia w jakich proboszcz w ten dzień przemawiał, stały w związku ze samobójstwem, którem w ostatnim tygodniu zakończył życie znany ogólnie obywatel w St. Pierre.

— Świat, — wołał ksiądz, — odwraca się od przykładu Chrystusa i ugania się już tylko za szczęściem ziemskim. Gdy to zawiedzie, coż tym zbłąkanym zostaje, gdzie ich podpora, w czym ich siła? Nie im nie pozostaje tylko rozpacz, prowadząca do występku względem samego siebie albo względem innych. Słabe namiętności panują w sercu bezbożnego i przychodzi chwila, gdy wybuchają jak wulkany. Biada tym, którzy się odwracają od religii. Im większe grozi niebezpieczeństwo od ich własnych, zgubnych namiętności, jak od tego wulkanu, który może każdej chwili zasypać nasze miasto, gdy wyrzuci ze siebie gorący popiół i lawę.

Kazanie to uczyniło na słuchaczy głębokie wrażenie i każdy mimowoli, wyszedłszy z kościoła, spojrzął w stronę wulkanu, jakby dla zapewnienia się, czy im od niego nie grozi.

I oto, rzeczywiście dym gęsty, czarny, wznosił się ze szczytu góry, jakby ostrzeżenie dla mieszkańców wyspy. Lecz czegoż się obawiać, przecież już od setek lat nie było wybuchu, już wulkan dawno nie pracował, z kądzęby naraz?! Chociaż dreszcz trwogi niejednego przeszedł, jednak nikt na prawdę nie wierzył w niebezpieczeństwo.

Kilka dni przeszło spokojnie. Raz po raz dochodził jakoby lekki odgłos grzmotu, raz po raz wznosił się obłok dymu, ale nikt na to nie zważał.

Następnego piątku było to 2-go maja około północy obudził mieszkańców jakiś straszny huk. Wszyscy w jednej chwili wytrzeźwieli ze snu, wybiegli na ulicę i o zgrozo! ujrzeni kłęby czarnego dymu i ogromne czerwone płomienie, wydobywające się z krateru (otworu) wulkanu. Z wnętrza dochodził odgłos głuche go łoskotu. Wulkan ożywił się znowu, jak

przed lat setkami. Czyżby prawdą być miało to, co przepowiedziała stara wróżbiarka przed dziesięciu laty? Powiedziała, że w głębi morza utworzy się szczyt, przez którą woda weśśnie się do wulkanu i pobudzi go do nowej czynności, a gdy nadejdzie ta chwila, wybuchnie i pogrzebie całą wyspę pod popiołem, lawą i ogniem. Nie potrzeba było wróżki przepowiedni wspominać, skoro sam wulkan dawał ostrzeżenia ludziom.

W sobotę spadł na miasto jakby deszcz z popiołu i okrył ulice szarą powłoką. Wulkan zasłonięty był zupełnie czarnym dymem i nikt nie odważył się wyjść za miasto, aby się bliżej przekonać, co się dzieje.

Mieszkańcy mniejszych sąsiednich miejscowości i wiosek przerażeni, zbiegali do St. Pierre, myśląc, że tam będą bezpieczniejsi.

W dzikim nieładzie widać było białych i czarnych mężczyzn, kobiety i dzieci, jak wlekli za sobą pościel do miasta na przyszłą noc.

W St. Pierre zapanowała złowroga cisza. Ustał ruch handlowy, sklepy pozamykano a za to tłoczyli się ludzie do kościołów, aby Boga błagać o odwrócenie klęski. Księża dzień cały byli zajęci i brat Anzelm już wiele godzin siedział w konfesjonale i słuchał spowiedzi, chociaż czuł, że zawładnęła nim febra, której podlegają obcokrajowcy w tych stronach.

W zakładzie Braci św. Ducha zapanował popłoch między uczniami. Zakonnicy tłumaczyli im, że dym i ogień już nie raz ukazywały się z wulkanu i na tem się skończyło.

Po rannym pacierzu brat Anzelm miał do dzieci dłuższą przemowę:

— Wulkan może się stać przyczyną naszej zagłady, — rzekł, — ale gdziekolwiek człowiek jest, wszędzie śmierć go dosięgnie, jeżeli tak Bóg przeznaczy. W dniu zwyczajnym można stracić życie przez cegłę spadającą z dachu nam na głowę, a na otwartym polu rolnik, idący spokojnie za plugiem może nagle upaść nieżywy, ruszony paralizem. Zawsze jesteśmy na śmierć narażeni a życie nasze w ręku Boga. Dla tego powinniśmy zawsze być gotowymi stanąć przed obliczem najwyższego Sędziego.

Niedziela przeszła w trwodze i oczekiwaniu; kościoły zapełniały się coraz większym tłumem.

Nieznośne duszące gorąco panowało w mieście, a na rozkaz policji straż ogniowa bezustannie polewała wodą ulice.

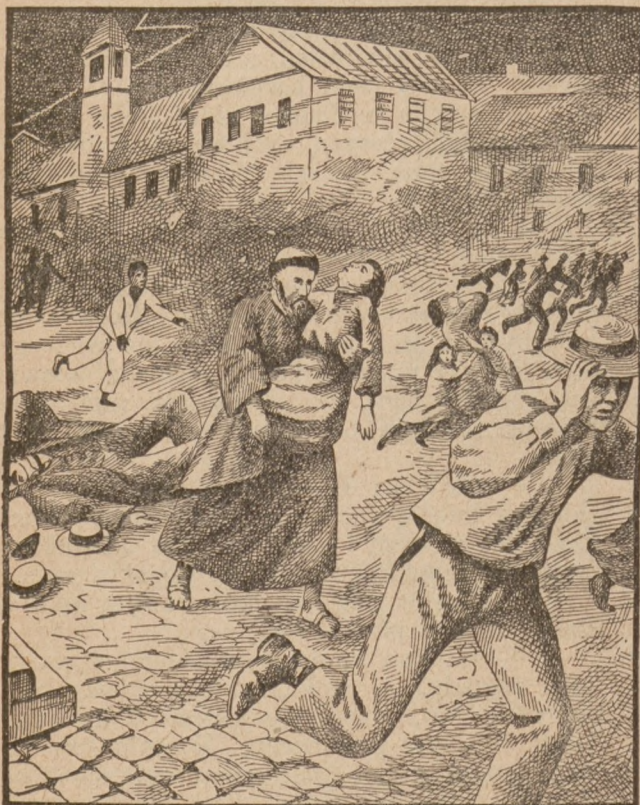
Wielu stało gotowych do ucieczki do portu albo na wyższe południowe pagórki, gdzie lawa by ich tak łatwo nie dosięgła. Czekali tylko, aż niebezpieczeństwo będzie nieuniknionem, gdyż chciwość zawsze w człowieku

się odzywa, więc nie chcieli bez koniecznej potrzeby swego mienia i domów porzucić.

Prócz tego była trudność wyjazdu, bo prawie wszystkie okręty stojące w porcie były tylko dla towarów urządzone a nie dla ludzi, i tylko nie wielu mogło się na nich pomieścić.

Tymczasem w poniedziałek wytrysnął z wulkanu olbrzymi strumień lawy z taką siłą, że wznosił się w górę na 20 stóp wysoko a szerokością obejmował pół mili.

Z niesłychaną szybkością toczyły się gorące fale po stokach góry; w trzech minutach



...chwycił ją w ramiona i uniósł ku morzu. (Str. 65).

przebyły pięć mil, aż do morza, niszcząc i zabierając wszystko, co stało w drodze.

W jednym miejscu wznosiła się wielka fabryka cukru; lawa przewróciła ją i zburzyła grzebiąc w gruzach wszystkich, którzy się tam znajdowali wraz z synem właściciela.

W krótkich odstępach czasu dochodził odgłos podziemnych grzmotów, które było słychać 300 mil daleko. Sądono, że na tym wybuchu się skończy, lecz w nocy na wtorek znowu okropne czerwone płomienie, jak ogniście słupy strzeliły ku niebu i ryk podziemny powtarzał się dalej. To trwało z przestankami do środy rana, kiedy wulkan zdawał się uspo-

kajać. Naczelnik Martyniki starał się ludności dodać otuchy i ażeby dać przykład odwagi, wraz z żoną przybył z Fort de France do St. Pierre, i pozostał w zagrożonem mieście. Wydał odezwę, w której zapewniał, że podług zdania uczonych już niebezpieczeństwo minęło.

IV.

Zagłada w St. Pierre.

Brat Anzelm wracał od chorego staruszka, który straszliwymi wrażeniami ostatnich sił pozbawiony, już podnieść się nie mógł z łóża boleści. Spełniwszy swój obowiązek pasterski, wracał młody zakonnik do domu. Właśnie gdy mijał dom Pikardów, okropny huk wstrząsnął powietrzem i całą wyspą. Niebo zczerniało zupełnie i tylko rażące błyskawice rozdzierały ciemności.

Nastąpiła okropna chwila ostatecznego zniszczenia. Gazy i para zebrane we wnętrzu wulkanu, nagle z wściekłością wydarły się z uwięzi a wraz z niemi buchnęła lawa i ogień. Lał się szlam i płomienie na nieszczęsne miasto, które w jednej chwili stało się pastwą pożaru. Wila Pikard uległa temu samemu losowi, co inne. Jonson z Heleną z okrzykiem zgrozy wybiegli z domu. „Wulkan, wulkan! Sądny dzień! Skończenie świata!“ wołano zewsząd pośród okropnego, ogłuszającego łoskotu, jaki wybuch sprawiał.

Brat Anzelm biegł także. Ciemności oświecała tylko łuna pożaru i te żywcem palące się postacie uciekających. Widział, jak nieszczęśliwi padali i wili się w bólach a żadna ludzka pomoc w tem piekle ziemskim ulgi przynieść im nie mogła, bo ciągle więcej lawy, ciągle więcej ognia zsyłała góra ze swej wyżyny. Nadto szalony wichur dopomagał spustoszeniu rozniecając płomienie z tem większą szybkością, zrzucając dachy, wyrывая drzewa, unosząc tumany popiołu, świszcząc i wyjąc pieśń pogrzebową nad tymi ludźmi obłąkanymi z rozpacz i trwogi. Znikąd ratunku, nigdzie schronienia, żadnej nadziei! Okręty w porcie najwięcej wabiły ku sobie, ale jak się do nich dostać!

Brat Anzelm już niedaleko był od brzegu, ale myślał, że lada chwila zaduszą go dym i gazy, które powietrze było przepełnione. Chustkę trzymał przy ustach, aby nie wdychać straszliwego gorąca, które aż do gardła przenikało. Gdyby tylko dostać się na okręt i na pełne morze!

Nagle usłyszał krzyk przenikający tuż obok siebie. Spojrzał: to Helena, która w tej chwili padła z bólu omdlała na ziemię. Bez namysłu brat Anzelm rzucił się na jej ratunek,

przytłumił własnym płaszczem płomienie, które ogarnęły jej suknie, potem chwycił ją w ramiona i uniósł ku morzu. Mąż Heleny tymczasem już martwy został na miejscu. Zbliżali się do zatoki, ale i tutaj panowało zniszczenie, zgroza i popłoch. Morze wyglądało jak kocioł gotującej wody. Na wzburzonych falach okręty chyliły się na wszystkie strony, jak łupinki kruche, maszty ugięły się jak kłosa zboża, a większa część statków już pogrzebaną była na dnie morskiem.

Widok ten straszny oświecała krwawa luna płonącego miasta. Przy pomoście trzymał się jeszcze jeden statek. Do niego cisnęli się wszyscy ci, których w biegu śmierć nie za-skoczyła. Brat Anzelm wniósł tam Helenę, której nie puścił, chociaż poparzony cały, chociaż pełno ran miał na głowie i rękach, chociaż mógł być krzyknąć z bólu.

Mimo tego czuł w duszy wielką podniosłą radość, że uratował życie kobiety, którą niegdyś kochał i że mógł jak prawdziwy chrześcijanin poświęceniem się odplacić za krzywdę, której od niej doznał, gdy miłością jego wówczas wzgardziła.

Bogatszy o jedną zasługę więcej stanął przed Bogiem, gdyż nim okręt dopłynął do bezpiecznego portu sąsiedniej wyspy, już brata Anzelma nie było między żyjącymi. Umarł z ran poparzenia, które odniósł ratując Helenę.

V.

Miasto umarłych.

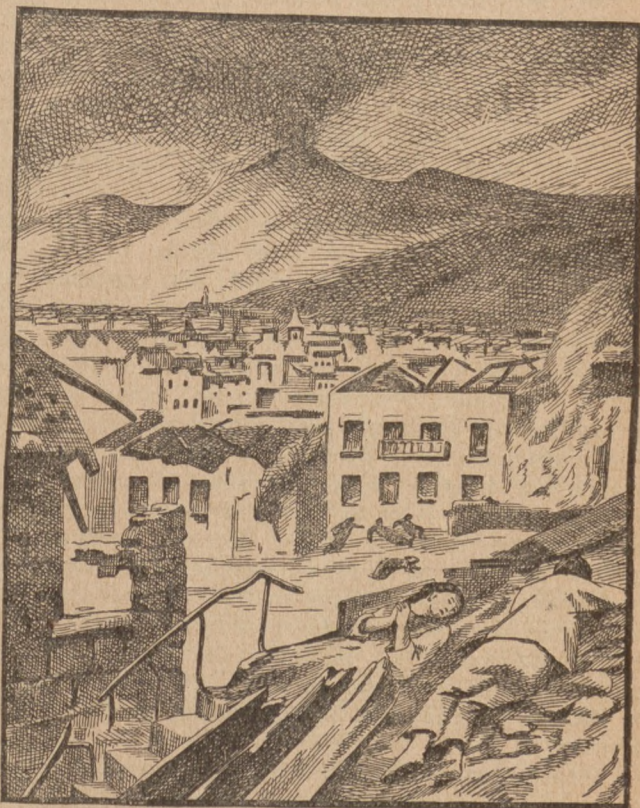
Wiele dni potem jeszcze Martynika zasłonięta była gęstą mgłą. Na morzu pływały szczątki rozbitych okrętów i mnóstwo trupów. Wiele z nich stało się żerem łakomych rekinów i innych morskich ryb, a także unoszącego się nad falami ptactwa. Okropny to był widok.

Dopiero dziesiątego dnia po nieszczęściu, można było znowu stanąć na gruncie Martyniki, która stała się jakoby jednym wielkim grobem, dla ludzi i zwierząt.

Pustka wszędzie, ani jednego żywego stworzenia jak okiem sięgnąć i cisza wokoło. W katedrze leżały stosy ciał ludzkich, tam bowiem nieszczęśliwi w ostatniej chwili najchętniej dążyli. Między zdruzgotanymi szczątkami zegar szpitala utrzymał się w całości i wskazywał na godzinę siódmą z minutami.

Z kwitnącej i wesołej siedziby ludzkiej nie nie pozostało. Całe miasto stało się stosem gruzów, z których gdzieś niedługo nagi mur wystawał. Siedlisko życia przemieniło się w siedlisko śmierci. Z tych którzy 8-go maja żyli jeszcze w kilku dniach zostały tylko martwe szczątki z wyjątkiem kilkunastu, którzy na okręcie odpłynęli.

Płynna lawa, gorący popiół, duszące wyziewy siarczane i zabijający żar dokonały w jednej chwili takiego dzieła zniszczenia. Walka ze śmiercią była krótką ale straszliwą, w kilku minutach niezmierzone cierpienie przeszło przez wyspę. Trwało dość długo, zanim przybyli ludzie z sąsiednich wysp i północnej Ameryki, aby zająć się pochowaniem zmarłych i zaprowadzeniem porządku. Ale pochowanie tylu tysięcy trupów, psujących się już, było niepodobniestwem, więc układano z ciał stosy i podpalano. Okropna to była praca, ciężka i wstrętna ale konieczna. Niestety, obok dowodów wielkiego poświęcenia, zdarzyły się również wy-



Siedlisko życia przemieniło się w siedlisko śmierci.

padki zdzieczenia i spodlenia. Na miejsce nieszczęścia nadciągnął niejeden nędznik, węszący sposobności rabunku. Jak hyjeny przesuwali się przez szeregi trupów i gdzie zabłysnął jakiś klejnot, tam się rzeźmieszek schylał, odrzynał palec z pierścieniem, lub wyjmował zegarek z łańcuszkiem, odcinał ucho ze lśniącem kolczykiem lub wyciągał spinak ze zamulonej odzieży. Aby temu świętokradzkiemu rabunkowi kres położyć wojsko otrzymało rozkaz chwytania i aresztowania każdego kogo przy tem niegodnym zajęciu zobaczy.

Katastrofa na Martynice przywiodła światu przed oczy obraz znikomości rzeczy ludzkiej

a ci, którzy uszli z życiem z tej klęski, nigdy już nie otrząsnęli się z wrażenia jakie ta okropna chwila zostawiła w ich umyśle. Helena Pikard oplakując stratę męża i biednego brata Anzelma, osiadła znowu w Paryżu, ale już nie wróciła między dawnych swoich wesołych

znajomych, tylko w skupieniu i w ciszy oddała się pełnieniu dobrych uczynków.

Z bliska przekonała się i zrozumiała, co to jest nieszczęście, więc pełna współczucia starała się ulżyć cierpieniu innych, gdzie tylko jej się zdarzyła sposobność.

• GŁUCHONIEMI. •

Dśród wielu kalek i nieszczęśliwych, jacy codziennie przesuwają się nam przed oczyma, jednym z najbardziej nieszczęśliwych jest głuchoniemy. Dla niego życie nie przedstawia żadnej wartości, on widzi, ale nie mając żadnych wyobrażeń, z niczego nie zdaje sobie sprawy: całe życie pozostaje dziecięciem, dla którego wiedza, przyjemności, szczęście stale zamknęły swe podwoje.

Co to znaczy właściwie głuchoniemy; czy rzeczywiście łączy on w swej osobie te oba rodzaje kalectwa? Wielu ludzi nie zastanawiało się nad tem nigdy i dlatego nie mogą sobie odpowiedzieć na podobne zapytanie. Głuchoniemy nie jest niemym we właściwym tego słowa znaczeniu, wszystkie organa, potrzebne do wydawania głosu ma prawidłowo rozwinięte. Nie może zaś mówić dlatego, że nigdy nie słyszał głosu innych ludzi, że sam nie słyszy swojego głosu. Aby to lepiej zrozumieć przyjrzyjmy się dziecku, które dopiero zaczyna mówić. Słyszy ono wyrazy najrozmaitsze, zrazu powtarza je nieświadomie, potem poznaje ich znaczenie, uczy się nazywać przedmioty i osoby. Wrodzoną ma tylko zdolność do wydawania głosu, mówić uczy się powoli. Od otoczenia, w jakim się znajduje, zależy, jakiej mowy się wyuczy.

Otóż głuchoniememu brakuje tej zewnętrznej pobudki do używania narządów głosowych, głuchota robi go niemym.

Ale ludzkość posuwając się ciągle naprzód w kulturze, aby przynieść ulgę cierpiącym, nie zapomina też i o głuchoniemych. Dziesiątki cichych pracowników poświęcają całe życie dla zbadania chorób i ułomności człowieka, praca ich przynosi ludzkości często więcej pożytku niż najślawniejsze odkrycia w innych gałęziach wiedzy. Wielu metod używano już, aby głuchoniemym dać możność porozumiewania się z otoczeniem, ciągle jeszcze powstają nowe, coraz doskonalsze. Wspomnę tylko o dwóch, jednej używanej dawniej i drugiej, jaką posługują się dzisiaj w zakładach dla głuchoniemych.

Pierwsze, to metoda staro-francuska. Polega ona na mimice, każdą literę oddaje się znakami; złożenie dłoni w pewien oznaczony spo-

sób, zakrycie ust lub oczu przedstawiają mimiczną rozmowę. Całkiem dobra metoda — powie czytelnik. O tyle, o ile. Trudno wymagać, aby wszyscy ludzie uczyli się znaków mimicznych, dlatego głuchoniemy jest ograniczony do porozumiewania się z najbliższymi mu, względem ogółu pozostaje głuchoniemym. Tak więc metoda ta tylko częściową ulgę przynieść może, w każdym jednak razie i ona była już znakomitym krokiem naprzód. Ale nauka nie dała za wygraną, badanie narządów głosowych u głuchoniemych, sprawdzenie, że są normalnie rozwinięte, pełnęło metodę na nowe tory. Dzisiaj głuchoniemy może się rozmówić z każdym człowiekiem, może się uczyć pracować. Głuchoniemy mówiący, oto tryumf ducha nad prawami fizycznymi. Zadaniem mojem będzie zapoznanie czytelnika ze sposobem nauczania i bliższe wytłómaczenie faktu, który w pierwszej chwili wydaje się nieprawdopodobnym, niemożliwym.

Mowa ludzka składa się z pewnej ilości głosek (dźwięków zasadniczych), które łączone w różny sposób tworzą słowa, zdania i wyrażają czynności i myśli. Wydobyciu każdego dźwięku odpowiada jakieś złożenie ust, zębów, silniejszy lub słabszy prąd powietrza. Stosownie do tego podzielono nawet spółgłoski na wargowe, zębowe, nosowe itp. Zależnie od złożenia wspomnianych części jamy ustnej rozmaite są dźwięki, wychodzące z ust naszych. Słuchający zwraca uwagę tylko na dźwięk, nie zastanawia się zaś nad położeniem języka, warg, zębów itp. przy mowie.

Głuchoniemy jest ograniczony tylko do wzroku i czucia, możemy więc powiedzieć, że gdy człowiek zwyczajny słyszy mowę, głuchoniemy widzi ją i czuje.

Do zakładów dla głuchoniemych przyjmuje się dzieci w wieku 6—8 lat. Są one cieleśnie i duchowo bardzo mało rozwinięte, szkoła więc ma przed sobą olbrzymie zadanie. Jeżeli w szkole elementarnej nauczyciel ma dość trudu, zanim dzieci się uspokoją, tutaj panuje cisza, tylko od czasu do czasu przerywana nieokreślonym wykrzykiem. Najpierw zapoznaje nauczyciel dzieci z czynnościami narzędzi głosowych, uczniowie muszą poznać rozmaite po-

łożenia warg, języka i naśladować je. Drugą bardzo ważną rzeczą jest przedstawienie różnicy między oddechem a głosem. Przy oddychaniu powietrze przechodzi swobodnie przez otwór krtani, zwany głośnią, przy wydawaniu głosu pobudza ją do drgania, które można poczuć, położywszy rękę na gardło. Nauczyciel musi po kolei z każdym uczniem powtarzać naukę pewnej głoski, i uświadomić go o wymawianiu jej. Nie można tu wprowadzić żadnych reguł co do porządku głosek, nauczyciel musi się kierować zdolnością ucznia.

Szczególną wagę kładzie się na czyste wymawianie samogłosek, tych zasadniczych dźwięków mowy. Weźmy np. na uwagę „a“ przy wymawianiu którego, narzędy głosowe znajdują się w najprostszym położeniu. Uczeń naśladuje złożenie ust nauczyciela, ręką zaś położoną na gardle odczuwa drganie. Często dzieci otwierają usta prawidłowo, ale brakuje najważniejszego czynnika, głosu. Nieraz dopiero po upływie długiego czasu dziecko potrafi wydać ze siebie głos, ale kiedy już raz przejdzie ten okres, nauka zaczyna się szybciej posuwać.

Zdarza się często że dzieci, w najlepszym zamiarze psują usiłowania nauczyciela. Chcąc bowiem wymawiać poruszają język i zatracają czystość samogłosek; w takim razie uczeń w lustrze musi porównywać swoje narzędy głosowe z narządami nauczyciela. Jeżeli język jest zwiniony, nauczyciel prostuje go kościanną łopatką. Skoro uczniowie poznają i wyćwiczają poszczególne głoski, zaczynają je łączyć w wyrazy, poznając zarazem znaczenie wymawianych słów.

Po upływie pół roku dzieci znają już wszystkie głoski i pewną ilość słów. Teraz więc zaczynają tworzenie małych zdań, które mają zastosowanie przy dalszej nauce. Prócz tego uczą się także różnych prośb do użytku w szkole i w domu. Równocześnie z wymawianiem i odczytywaniem z ust uczą się dzieci pisać i czytać. Wszystko co umieją wymówić, odczytują z ust nauczyciela i współuczni, a równocześnie piszą i odczytują z zeszytów.

W ten sposób nauka posuwa się coraz dalej. Zwięzłe zdania rozwijają się coraz bardziej, zaczyna się nauka rachunków, religii, geografii i innych przedmiotów. Nie wszyscy naturalnie do równych rezultatów dochodzą, jak wszędzie tak i tu zdolności grają ważną rolę.

Po ukończeniu nauki głuchoniemy mają taki zasób słów, że z mniejszą lub większą łatwością może się z każdym porozumieć, umie czytać i pisać, ma wiadomości z rozmaitych gałęzi wiedzy.

Oto skutki pracy ludzkiej nad głuchoniemymi. Nieznany pracownikom cześć i chwała.

W r. 1789 umarł w Paryżu ks. de l'Epee, wynalazca nauki głuchoniemych. Świat, który więcej zważa na głośnych krzykaczy, niż na mężów, co w cichej skromności działają, zapomina łatwo o imionach swych dobroczyńców, a zazdrość i nienawiść ludzi niewiernych i niesprawiedliwych, stara się z umysłu zasługi ich zmniejszyć lub zabić.

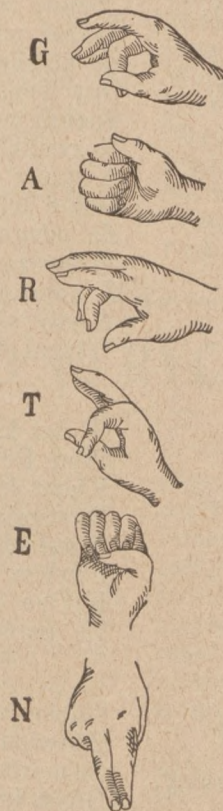
Karol Michał de l'Epee, urodzony w Wersalu, był kanonikiem w Troyes, a po śmierci przyjaciela swego, biskupa troajskiego, mieszkał w Paryżu. Pewnego razu zawezwano go do domu jednej pani dla spełnienia obowiązku kapłańskiego. Pani owej, nie było, ale gdy wszedł do pokoju, wyszła naprzeciw niemu córka jej, która na powitanie nie dała odpowiedzi. Kapłan zapytał wchodzącą matkę o przyczynę tego zachowania się córki i odebrał odpowiedź, że córka jej jest głuchoniemą, a zatem na zawsze życia duchowego pozbawioną, a jednak zdawało się, że w tem ciele mieszka duch szlachetny.

Współzucie podało kapłanowi myśl, czyby nie było możliwem, uczyć głuchoniemych, i czyby im przez wzrok nie można podawać myśli, które za pomocą słuchu przyjmujemy. Z litości przyjął gorliwy ten kapłan kilku głuchoniemych na własny koszt do siebie i starał się im za pomocą znaków, myśli swych udzielić.

Ta mowa za pomocą znaków, to jego wynalazek, którą jego następca, ks. Sivard, tylko bardziej uprościł,

uwybrał i w pewien system i metodę ujął. Postępy głuchoniemych powiększały jego gorliwość i ofiarność i pozyskały mu pomocników i dobrodziei gdyż aż dotąd sam ich żywił i utrzymywał.

Wkrótce zakład taki powstał w Wiedniu. Ludwik XVI urządził w Paryżu narodowy zakład głuchoniemych. W innych miastach powstały inne, których nauczyciele kształcili się wszyscy przy księdzu l'Epee. Warto zaznaczyć że tym dobrodziejem głuchoniemych, był kapłan katolicki.



Znaki francuskiej metody mimicznej.

LEGENDA O KRÓLU POLSKIM MICHALE.

Dwieście lat płynie,
Kraj nasz pięć wojen musiał prowadzić,
Ale największą na Ukrainie,
Trudność to było temu poradzić;
Jednakże jakoś kraj wyszedł cało,
Tylko narodu stracił niemało;
Bo mór dwukrotny, głód i pożogi
Cios mu wśród wojen zadały srogi,
Bo gromiąc wrogów liczne zagony,
Utracił ludu trzy miliony.
Więc, gdy kraj zewsząd tak był szarpany,
Ponieśli klęski i możliwe pany.
Wśród nich pan wielki na Ukrainie,
Książę Wiśniowiecki, co w dziejach słynie, —
Pierwsza podpora króla przy tronie,
Stracił swe mienie w kraju obronie;
A gdy odumarł syna Michała,
Jedna w spuściźnie chwała została,
Lecz młody książę, choć mienie stracił,
W cnoty się przodków swoich bogacił,
I żyjąc wśród nich w ubóstwie, z młodu
Wzrastał już w chwale swojego rodu. —
Raz, młody książę Michał, wieczorem
Powracał konno do domu, borem.
Byłato zima, śnieżne zawaly
Co chwila konia bieg tamowały,
Pośród zamieci nie widać świata;
Wtem dźwięk go czysty dzwonka dolata,
I coraz bliżej — i coraz głośniej —
I coraz dźwięczniej — coraz donośniej
Odgłos się srebrny dzwonka rozlega...
Książę zabłysnął, — książę spostrzega
Starca kapłana, któremu biała
Stuła ku ziemi z ramion spływała;
W ręku świętości, krzyż i patyna,
A przed nim dzwoni zziębły chłopczyna.
Książę zsiadł z konia, i nachylony
„Niech będzie Chrystus,” rzekł, „pochwalony,
Widzę, że pełniąc swe powołanie,
Z Panem Jezusem spieszysz, kapłanie!
I mimo śnieżny wieher na dworze,
Chcesz do chorego przyjść jeszcze w porze,
By słowem Bożem ulżyć konanie.
Racz więc na konia usiąść, kapłanie!
Ja go prowadzić będę, bo w boru
W noc ciemną, śnieżną, nie widać toru,
Zbłąkać się łatwo; zresztą, ja młody
Isć mogę, starcom trzeba wygody“.
„Dzięki ci”, kapłan rzekł do młodziana,
„Wprawdzie noc ciemna, śnieg po kolana;
Wiara mię tylko święta krzepiła,
Bo w starych latach wąła już siła...
Oby tak wszyscy czynili młodzi!
Lecz twą uczynność Pan Bóg nagrodzi:
Zaprawdę, wielka radość jest w Niebie,
Jeśli kto starca wesprze w potrzebie“.
Więc milcząc, dążą spodem, a z góry

Książę twarz jasną wychylił z chmury,
I trzech podróжных mile oświeca,
I błogą jasność po drodze wznieca,
Kapłan na koniu duma schylony,
Wiatr cichy włos mu pieści zbielony;
Książę ku ziemi głowę nakłania,
Chłopczyk na czele w komży podzwania.
Gdy z krajem lasu migła dąbrowa,
Kapłan się ocknął z dumy i słowa
W proroczej myśli rzekł młodzianowi:
„Synu! racz ucha skłonić starcowi,
Jakieś przeczucie mówi mi skrycie,
Ze pośród chwały skończysz twe życie.
Oby Ten, co Mu świat cały służy,
Spełnił to, co dziś serce me wróży“.
Rozwazał książę ubiegłe lata,
A wtem przed nimi czerni się chata,
Gdzie leżał wieśniak śmiertelnie chory.
Za odsunięciem u drzwi zapory,
Wchodzą — z schylonem u łóża czołem,
Z kapłanem książę modlił się spodem;
A gdy się z Bogiem pogodził chory,
Wracał znów książę z księdzem przez bory.

* * *

W lat kilka potem osierocony
Tron Polski został po Kazimierzu,
Który wśród wojen, ciężar korony
Dźwigając, gdy kraj widział w przymierzu
Z sąsiady, wśród łez wyrzekł się tronu
I żył w zakonnej celi do zgonu,
Kraina cała była stroskana,
Bo naród nie miał władcy i Pana.

* * *

Gdzie pod Warszawą rozległe pola,
Zdawien się zdawna zowiące Wola,
Szlachta się tłumnie z kraju zjechała,
Gdyż króla obrać nowego chciała.
Już pod chorągwie województw stają,
Już różni różnych na tron podają,
I radząc długo tak zwodzą spory,
Panowie, szlachta i senatory.
A książę Michał stał smutny z boku,
Na bratnie zwady patrzy z łąz w oku,
I nie dostrzega, jak nad nim w koło,
Rój pszczoł wśród brzęku krąży wesoło,
Potem na dachu szopy usiada,
Gdzie była panów z Prymasem *) Rada.
Szlachta ztąd różne wróżby wywodzi,
Jakaś otucha w sercach się rodzi.
Aż tu wykrzyknie ktoś, co miał siły:
„Patrzcie na szopę, tam owad miły,
Bo swojski, daje znak dla nas drogi:
Ze kto ma swoje domowe bogi,

*) Prymas w czasie bezkrólewia rządził krajem.

Grzeszy, gdy obcych szuka wśród świata.
I myśl ta iskrą obszar przelata.
Więc głoszą: „królem miejmy rodaka,
Bo widać wola niebios jest taka!“
Zapał się szerzy, a okrzyk wzrasta,
„Chcemy mieć Piast! chcemy mieć Piast!“
I niespodzianie dają w ustronie,
Gdzie księżę Michał w zadumie tonie.
„Wojewodzie!“ krzyknęli spodem:
„Od dziś przed tobą bijemy czołem,
Tyś jest latorośl Jagiellów rodu,
Ty w enotach przodków rosłeś od młodu,
Tyś godzien, by twe książęce skronie
Błysły w królewskiej złotej koronie!
Więc przyjmij berło, synu rycerza!
Króluj, nie zdejmuj hełmu, pancerza,
Bowiem dziec krymska*) grozi szponami,
I ostrzy dzioby tam za stepami:
Więc ty je pogrom, spędź na pustynie!“
Książę zapłakał, padł na kolana:
„Niechaj mnie,“ rzekł, „ten kielich ominie,

*) Tatarzy.

Bracia! ja wam się nie zdam na pana.“
I długo oczy łzami zroszone,
Miał wśród modlitwy w niebo zwrócone,
Powstając, dodał: „ja namaszczenia
Nie mam na króla, nie mam ramienia
Tyle silnego, by żyć wśród boju,
Jam przywykł żywot pędzić w spokoju.“
I długo nie chciał przyjąć korony,
Lecz gdy był zewsząd o to proszony,
Gdy widział, że kraj pokojem darzy,
Przyjmuje wybór ze smutkiem w twarzy.
Krzyk się radosny wzbął w górne strony:
„Viwat król Michał! z szlachty zrodzony!“
Tylko niektórzy panowie w dali,
Zapału tego nie podzielali.
Lecz ledwo królem go obwołano,
Więcej na szopie pszczoł nie widziano.
Za to gołębie dwa śnieżnopióre,
Chyżo się nad nim uniosły w górę,
I gdy ubogi książę stroskany
Na polu w pojazd siadł pożyczany,
Wciąż nad pojazdem w górze krążyły,
I aż w stolicy go opuściły.

LEGENDA O ULRYCHU ZABÓJCY.

Niedaleko Moguncyi nad Renem u stóp skalistego wzgórza leżą ruiny jakiegoś potężnego, starożytnego budynku. Prawdopodobnie są zabytkiem bardzo odległych czasów, kiedy to dumni a okrutni burgrabiowie byli panami życia i śmierci swych poddanych. Przewoźnicy z nad Renu chętnie opowiadają podróżnym historię pewnego okrutnego hrabiego, który za zabójstwo skazany był na długie życie.

* * *

Było to w tych czasach, gdy podobno żyli ludzie o wiele silniejsi i wyżsi od dzisiejszych, którzy bez trudu dźwigali broń tak ciężką i wielką, że teraz wzbudziłaby w nas zdziwienie i przestach. Otóż najwyższym i najsilniejszym ze wszystkich ludzi swego czasu był Ulrych hrabia na Frankenthalu. Nikt mu nie dorównywał w sztuce władania mieczem. Miecz ten był większy od najwyższego dzisiejszego człowieka, a ostrze jego tak szerokie, jak dwie złęczone dłonie dorosłego mężczyzny. Miał dobrą niezmiernie, zamek warowny nie do zdobycia i dwór wspaniały.

Śmierć ojca, Winibalda Niedźwiedzia, w pojedynku z sąsiednim baronem, uczyniła Ulrycha w 19-tym roku życia jedynym władcą całej prowincyi. Młody pan rządził nią jak tyran; znienawidzony przez poddanych, wzbudzał przestach i trwogę.

W dwudziestą piątą rocznicę swego życia, Ulrych ogłosił wspaniałe turnieje, na które zjechali się najslawniejsi rycerze z całej Europy. Straszliwy hrabia nigdy dotąd nie walczył pomyślniej. Przez cały czas trwania zabaw zwyciężył pięćdziesięciu przeszło najwaleczniejszych rycerzy; sam widok hrabiego przerażał najodważniejszych. To też dumny z odniesionych tryumfów, urósł w pychę bezmierną.

Tymczasem ostatniego dnia turniejów, którym miano już zakończyć uroczystości i ogłosić Ulrycha bohaterem, zjawił się rycerz jakiś nieznan. Zbliżywszy się do Ulrycha, dotknął delikatnie jego piersi końcem swej włóczni. Ulrych, tak zaczepiony, patrzył w mileczeniu na rycerza, dziwiąc się jego postaci podobnej do swojej i zdradzającej podobną jemu siłę. Następnie skoczył na swego rumaka, przywdział olbrzymi pancerz i hełm srebrny i z bronią w dłoni stanął na arenie. Nieznajomy już go tam czekał, gotowy do walki.

Ozwały się głośnie trąbki, herold dał sygnał i obaj olbrzymi rycerze natarli na siebie. Słychać tylko było szeceł lanc, uderzających po srebrnych pancerzach. Po chwili, obecni walce rycerze, dotąd nieruchomi i milezący, wydali jednogłosny okrzyk zdziwienia, gdyż hrabia Ulrych, którego pękły nagle strzemiona, spadł ciężko z konia na ziemię, z okrutnym trzaskiem złamanej broni.

Drżący ze wstydu i złości, hrabia kazał sobie podać swą szpadę niewycięzoną. Nie nie mówiąc, nieznajomy też wyciągnął swoją, również długą i mocną. Ale walka była krótka. Po kilku jak błyskawica szybkich i gwałtownych natarciach, nieznajomy cofnął się nagle i podniósł miecz swój ponad głowę Ulrycha. Hrabia odbił cios, ale przytem potężna szpada pękła jak słaby kijek na dwoje, a on z twarzą skrwawioną upadł na ziemię. Uległ po raz pierwszy w życiu!

Nieznajomy rycerz, krokiem pewnym i spokojnym opuścił broczącego we krwi przeciwnika, i wezwawszy swego masztalera, oddalił się swobodnie, nie przemówiwszy do nikogo ani słowa.

* * *

Ale Ulrych nie umarł. Z trudem podniósł się z ziemi, i odrzucając przybiegłych mu na pomoc koniuszych, wygłosił straszną, zbrodnię przysięgę:

— Przekleństwo tobie, któryś mnie pokonał! Obym cię ujrzał czołgającego się po ziemi, błagającego o łaskę! Przysięgam na herb mój, że na miejscu twego upadku wybuduję kościół wyższy od wszystkich dzwonic na świecie!

To powiedziawszy, Ulrych pozwolił opatrzyć ranę i chwiejnym krokiem poszedł do zamku.

W kwadrans później wbiegł zbrojny żołnierz na podwórze zamkowe, krzycząc donośnie, że rycerz nieznajomy, spadłszy z konia, ranił się ciężko. Podobno pędząc galopem po lesie, na zakręcie drogi uderzył gwałtownie o drzewo i teraz leży bez życia.

— Chwała Bogu! — zawołał hrabia — jeżeliś powiedział prawdę, niech ci wyliczą tysiąc talarów. Prowadź mię tam!

Gdy hrabia Ulrych stanął przed nieznajomym rycerzem, zemsta i radość miotaly nim naprzemian. Więc najprzód zelżył rannego okrutnie, następnie, chwyciwszy miecz, strącił mu kask z głowy, krzycząc z dzikiem gniewem:

— Piękny rycerzu, psy moje są głodne, więc dam im twą głowę na pożarcie!

Umierający, wsparłszy się nieco na łokciu, z ożywieniem na chwilę okiem, rzekł:

— Jesteś nędznikiem, hrabio Ulrychu, ja się zemszczę!

Lecz w tej sekundzie trysnęła krew i głowa nieznajomego, odcięta jednym uderzeniem miecza, potoczyła się po ziemi. Ulrych, podniósłszy ją za włosy, rzucił swej psiarni. Ale psy nie tknęły jej nawet i głucho wyjąc, pobiegły w głąb lasu.

— A więc nawet psy go nie chcą! — ryknął hrabia.

Potem zwróciwszy się do przejętych zgromadzonych giermków, rozkazał:

— Pilnujcie ciała, chcę zeń coś zrobić!

* * *

Ulrych dotrzymał słowa: wybudował kościół naprzeciw zamku, i tak wysoką dzwonicę, że na jej złotym krzyżu nieraz chmury się opierały. Na rozkaz hrabiego przedewszystkiem wykopano rów głęboki, do którego wrzucono ciało nieszczęsnego rycerza, jako pierwszy kamień fundamentu.

Potem na ten pierwszy kamień położono wiele, wiele innych, zebranych ze skał okolicznych. Zbudowany z granitu i twardych kamieni, spojonych cementem i klamrami żelaznymi, kościół ten podobny był do fortecy. Wieża granitowa gotowa była przetrzymać wieki całe.

Budowa kościoła trwała lat pięćdziesiąt. A tymczasem hrabia Ulrych postarzał. Jakkolwiek i teraz jeszcze przed nim kornie się schylano, jednak już nie był zdolny, jak niegdyś, przeciąć jednym uderzeniem miecza, którego z ciężkich stołów dębowych w zamku.

Kiedy już nakoniec czterech ludzi śmiałych i zręcznych umocowało krzyż bronzowy na wieży nowego kościoła, hrabia Ulrych wzniosł w górę ramiona, i zawołał głośno:

— Chciałbym żyć tak długo, dopóki potrwa ten kościół!



Olbrzymi rycerze natarli na siebie... (Str. 74).

Następnej nocy usłyszał Ulrych swe imię w ciemnościach, a potem głos jakiś mówił:

— Hrabio Ulrychu na Frankenthalu, życzenie twoje będzie spełnione. Będziesz żył tak długo jak twój kościół. Nie obawiaj się żadnych pogroźek śmierci aż do dnia, kiedy zjawi się taki, kto kościół ów obali sam jeden.

Nazajutrz Ulrych zebrał całą swoją drużynę i opowiedział jej przepowiednię, a wszyscy, bojąc się gniewu pana, ukłękli przed nim, niby w cud uwierzywszy.

Tylko najmłodszy szeptali sobie w duchu:

— Hrabia miał sen niezawodnie.

A starsi, znając próżność pana, pomyśleli:

— Skłamał napewno.

* * *

Tymczasem Ulrych dożył stopięćdziesiątego roku.

Nie mógł już chodzić o własnej sile i choć się opierał na lasce, najsłabsze dziecko mogłoby było go przewrócić jednym paluszkciem. Już od pół wieku chodził zgarbiony, nie mogąc nawet unieść swej potężnej włóczni. Wszyscy jego rówieśnicy, towarzysze zabaw i bojów pومیerali oddawna. Tych, którzy teraz wojowali i wstawiali się, nie znał zupełnie. A i oni sami mało widywali swego pana.

Synowie jego dawno pomarli, ba, nawet synowie synów; dla prawnuków był tylko starcem bezsilnym, niedołężnym, i czuł, że ciężarem im była ta jego długa starość.

Sąsiedzi, tak dawniej bojący się jego gniewu i siły, teraz wzrosli w potęgę, nie sobie nie robiąc ze słabego starca. Nieraz jawnie go lżyli i naigrawali się bezczelnie, wiedząc, że to im ujdzie bezkarnie, że hrabia Ulrych znieść wszystko musi w milczeniu.

Więc gdy zrozumiał jasno, że już nie jest dawnym Ulrychem Srogim, lecz starcem bezsilnym i zniechęconym, chciał umrzeć.

Umrzeć! Nareszcie przestać cierpieć, nie czuć swego niedołęstwa, swego upadku i poniewierki, to było szczęście, o którym marzył. Gdy się już jest przedmiotem pośmiewiska dla żyjących, najlepiej uciec do umarłych. Są cierpienia, na które niema lekarstwa, a wtedy śmierć jest najlepszą pociesicielką i wybawicielką.

Cóż kiedy śmierć, ścinając naokół swą kosą bezlitością i starców i młodych, oszczędza siwą głowę hrabiego-zabójcy.

Wówczas Ulrych zrozumiał, że przepowiednia, z której tak był dumny, była jeno zemstą i karą.

Gdy innych skazywano za zabójstwo na śmierć, hrabia Ulrych był skazany — na życie!

* * *

Potężny i niewzruszony panował kościół nad okolicą, świecąc krzyżem brązowym gdzieś

hen w obłokach. A hrabia z trwogą myślał, że próżno chyba czekać będzie na tego, kto kościół obali, i uwolni go od życia. Czyż podobna, aby się znalazł człowiek tak silny, aby mógł sam jeden zburzyć tę fortecę z granitu i żelaza!

Zwoływał wszystkich silaczy świata.

Wezwał najwaleczniejszego z baronów, rycerza Czarnego, dotąd niezwalonego.

— Synu — rzekł mu, — wzywam pomocy twej broni. Przewróć ten kościół, a zrobię cię spadkobiercą całego mego hrabstwa.

Przywołał strzelca Weghausera:

— Ty powstrzymujesz w biegu odynca srogiego i dusisz w jednym uścisku niedźwiedzia. Czemuż ta kupa kamieni tak cię przeraża?

Przywołał drwala Baumgartnera:

— Czyż nie obalasz potężne deby, przez Boga samego sadzone, które już wieki przetrwały?

Przywołał kowali i murarzy:

— Toż równi wam wzniesli te mury i dzwony. Czyż nie możecie zburzyć ich roboty?

I obiecywał im skarby wielkie i tyle złota, ile unieść zdołają.

Lecz nikt nie chciał próbować szczęścia.

— Umieć bić się z ludźmi — odpowiadał rycerz Czarny. — Ostrze mej włóczni stępi się o kamień.

— Wszystkie moje topory poszczerbią się — mówił Baumgartner, drwal, — nie uszkodziwszy nawet murów.

A strzelec, murarz i kowal wzruszali desperacko ramionami.

I wszyscy odchodzili, kręcąc głowami. Wieść się rozniosła, że hrabia Ulrych dostał pomieszczenia zmysłów, bo żąda rzeczy niepodobnych.

A hrabia Ulrych codziennie od lat pięćdziesięciu błaga Boga lub Mu bluźni, wzywając śmierci. Kilkakrotnie już chwycił za sztylet, chcąc nim ugodzić się w piersi, ale zawsze jakaś siła nadnaturalna wstrzymywała jego rękę i broń wypadła z bezwładnych palców. Co rano, od lat pięćdziesięciu świeci jasno krzyż brązowy w złotych promieniach słońca, a stary Ulrych, prawdziwy męczennik, w niemocy i pogardzie, żyje ciągle.

* * *

I znowu upłynęło lat pięćdziesiąt.

Pewnego wieczoru — a było to w połowie XIV wieku — jakiś człowiek chudy i bladej, czarno ubrany, stanął na progu pokoju nieśczęśliwego i smutnego starca.

— Hrabio Ulrychu — powiedział — pozdrawiam cię. Jestem tym, kogo oczekujesz. Ja obalę kościół i krzyż brązowy.

Starzec zadrżał; poraz pierwszy od stu lat przeszło usłyszał te upragnione wyrazy. Pod-



Chwycił miecz i strącił mu kask z głowy. (Str. 76).

niósł niespokojnie głowę. Lecząc, ujrawszy przybyłego, skrzywił pogardliwie usta:

— Zartujesz — westchnął. — Najsilniejsi rycerze, najsprawniejsi młodzi żołnierze i olbrzymi z całego świata nie wazyli się podjąć tego dzieła. A ty słaby, mały i nędzny.

— Hrabio Ulrychu — odpowiedział nieznamy stanowczym głosem — ja obalę kościół. Oto moje warunki. Pewien mnich z Moguncyi zna cudowny piasek. Otóż za każdy przyniesiony worek tego piasku, daj mi worek złota. I pozwól mi działać.

Ton głosu tego człowieka był jakiś szczególny i silnie sprawił na starcu wrażenie.

Podniósł się z siedzenia i, wzięwszy nieznanego za rękę, pokazał mu loch podziemny. Tam leżały miliony przeróżnych monet: guldenty z czasów Karola Wielkiego, i złote sztuki cesarza Fryderyka II, i monety złote i srebrne z czasów Henryka Lwa i Fryderyka Rudobrodego i jakieś z dziwnymi napisami wschodnimi, zdobyte na Arabach przez przodków Ulrycha.

Trzęsącą ręką wskazał hrabia na wszystkie te skarby w podziemiu:

— To wszystko twoje... wszystko twoje; tylko obal kościół

Nie nie mówiąc, czarny człowiek wziął pełen worek złota i odszedł, obiecując wkrótce powrócić. Istotnie po trzech dniach ukazał się znowu z pełnym workiem cudownego piasku, który umieścił w jednej z wież zamku, — w zamian zabrał także worek złota i znów poszedł. Przez trzy miesiące robił to samo: przynosił worek piasku, a zabierał złoto, dopóki go nie nie zostało w podziemiu. Wówczas powiedział:

— Hrabio Ulrychu, pracowałem dla ciebie, zadowolony jestem z zapłaty i z mego dzieła.

Postąpił kilka kroków ku drzwiom. Wtem obrócił się gwałtownie i ukazując hrabiemu twarz oliwkową, chudą, z błyszczącymi jak czarne diamenty oczami, szepnął głosem szyszczym:

— A, panie hrabio, to jutro, jak mi się zdaje, kończysz dwieście pięćdziesiąt lat. Będziemy obchodzili wspólnie tę rocznicę, nieprawdaż?

Wyszedł, a hrabia Ulrych usłyszał śmiech jego po drugiej stronie muru.

Po chwili w ciszy nocnej rozległ się ogromny huk.

Przybiegli strwożeni wieśniacy i ujrzeni w jednym z murów kościoła olbrzymi wyłom spowodowany wybuchem podłożonego prochu.

Stary hrabia Ulrych stał przed nim, ale już nie schylony i niedołężny, podpierający się laską, jakiego z dawien dawna znano, lecz prosty, ukazując swą postać potężną i wysoką, jakby wydłużoną przez nadzwyczajną chudość ciała.

W kwadrans po pierwszym wybuchu dał się słyszeć drugi. Jakiś posąg drewniany zapalony padł na słomianą strzechę, wzniecając ogień. Wielu wieśniaków zginęło pod walącymi się kamieniami, wielu schroniło się na pobliski pagórek i tam, padłszy na kolana, modliło się do Boga, myśląc, że nadszedł koniec świata.

A wybuch następował jeden po drugim z taką szybkością, że wkrótce zburzoną została cała nawa kościelna. Hrabia Ulrych z rękami opuszczonemi wzdłuż ciała i z głową w górę wzniesioną, sam jeden na placu zniszczenia, czekał aż runie niewzruszona dzwonica, stojąca dotąd wśród ruin. Tymczasem pożar objął całą wioskę ze straszną szybkością. Nagle runęła z łoskotem dzwonica, a wielki dzwon zadzwieczał złowrogo.

Wtedy z pod gruw kościoła wyłoniła się jakaś postać dziwna, fantastyczna; pośród hałasu i ognia ozwał się śmiech głośny, szy-

derezy, a do uszu hrabiego doszedł głos surowy:

— Hrabio Ulrychu, już się zemściłem!

Hrabia Ulrych Zabójca zrozumiał teraz, przypomniał sobie ten głos.

Ze szczątków kościola powstało ciało ludzkie bez głowy, zbliżyło się do hrabiego, podniosło rękę. I gdy ciężka pięść rycerza-

widma spadła na głowę Ulrycha, przypomniał sobie, iż niegdyś, wiele, wiele lat temu, on sam podniósł rękę na człowieka bezbron- nego.

I padł trupem na ziemię.

Taką to legendę o hrabi Ulrychu Zabójcy opowiadają dotąd nad Renem, między Moguncją a Koblencją.

S I Ł A W O L I .

Cambronne, jeden z najsławniejszych generałów Napoleońskich rozpoczął służbę wojskową od najniższych stopni. W 1795 r. był on kapralem w Nantes. Mimo bardzo młodego wieku (miał zaledwie 20 lat) oddawał się nałogowo pijaństwu, i często bardzo zdarzało się mu być w stanie nietrzeźwym, a ponieważ zuchowi nie zbywało na odwadze, nie było zatem bezpiecznie stawiać mu wtedy opór.

Pewnego dnia zapomniał się do tego stopnia, że uderzył oficera dającego mu rozkaz. Oddano go naturalnie pod sąd wojenny, który go skazał na śmierć.

Pułkownik pułku w którym służył Cambronne, umiał jednakże ocenić energią, waleczność i męstwo młodego winowajcy. Udaje się zatem zacy pułkownik do komisarza rządu, będącego na ten czas w Nantes i prosi go o ulaskawienie Cambronna.

— Niemożliwe — odpowiada mu komisarz. — Musimy dla ukarać dla przykładu innych. Co się stanie z armią, jeżeli nie będzie rygoru w wojsku. Kapral Cambronne będzie rozstrzelony.

Mimo tak stanowczej odmowy pocziwy pułkownik nie traci nadziei i tak usilnie prosi i nalega, że w końcu otrzymuje ulaskawienie kaprała, ale pod jednym warunkiem, a mianowicie, że już nigdy w życiu więcej Cambronne się nie upije. Uradowany pułkownik spieszy do więzienia i temi słowy przemawia do więźnia:

— Bardzo ciężko zawiniłeś, kapralu.

— Prawda mój pułkowniku, ale też okupię to mojem życiem.

— Może, — odrzecz pułkownik.

Jakto może? Znam surowość prawa wojskowego. Nie oczekuję łaski, jestem gotów na śmierć.

— Nie, mój przyjacielu, nie umrzesz jeszcze: przynoszę ci twe ulaskawienie, które otrzymałem po wielu, wielu trudnościach od komisarza rządu. Zostawia cię on przy życiu, ale pod jednym warunkiem.

— Pod jakim warunkiem? Mów pułkowniku, wszystko uczynię, aby ocalić mą głowę, a jeszcze więcej aby odzyskać utracony honor.

— Pod tym warunkiem, że już nigdy więcej w życiu się nie upijesz.

— Panie pułkowniku, to niemożliwe...

— Jakto niemożliwe? ażeby ująć śmierci; pomyśl tylko, przecież jutro będziesz rozstrzelony!

— Otóż, widzi pan pułkownik, ażeby się nie upijać, muszę nigdy więcej wina ani wódki nie pić: a Cambronne z buteleczką tak się kochają, że jak się raz zacznie, to trzeba ją koniecznie skończyć, niemożliwe się zatrzymać. Nie, nie mogę obiecać, że się już więcej nie upiję.

— Ależ nieszczęsny — rzecze pułkownik, — zastanów się, tu chodzi o twoje życie, czy naprawdę nie możesz mi obiecać, że więcej wina, ni wódki nie będziesz pił?



Po chwili rozległ się huk ogromny... (Str. 80).

— Czy zupełnie nie, pułkowniku?

— No zapewne.

— Hm! to bardzo ważne, czego odemnie wymagasz, mój pułkowniku. Nigdy wina nie pić, już nigdy! — I smutnie zwiesił głowę na piersi.

— Panie pułkowniku, gdybym ci obiecał, że się więcej nie upiję, kto ci za mnie zaręczy?

— Twe słowo honoru. Niczego innego nie wymagam od ciebie. Znam cię dobrze i wiem, że jak raz obiecasz, to słowa dotrzymasz.

A ponieważ skazaniec ciągle jeszcze milczał, smutnie zwieszając głowę, rzekł:

— No i cóż Cambronne? Co wybierasz śmierć czy życie?

— Panie pułkowniku, jesteś dla mnie za dobry, — odpowiedział mu w końcu Cambronne głosem poważnym i przejętym. — Dzięki ci serdeczne składam za okazane mi zaufanie, które więcej cenię niż łaskę, którą mi przynosisz. Bóg nas słyszy (i podnosząc rękę w górę): „Ja, Cambronne, przysięgam, że nigdy kropla wina lub wódki nie przejdzie przez moje usta“. Czy jesteś zadowolony ze mnie, panie pułkowniku?

— Tak, tak, mój przyjacielu, — odrzecze tenże uszczęśliwiony i wzruszony tem, co usłyszał. — Tak, jestem zadowolony z ciebie zupełnie. Jutro będziesz wolny. Bądź dzielnym żołnierzem i tego życia, które ci dziś ojczyzna zostawia, używaj zawsze w jej obronie.

Nazajutrz kapral Cambronne został wypuszczony na wolność i powrócił do swego dawnego pułku.

W dwadzieścia pięć lat po tym wypadku kapral Cambronne został generałem. Dowodził on starą gwardyą cesarską pod Waterloo i dokazywał cudów waleczności w tej strasznej a pamiętnej bitwie.

Po upadku ostatecznym Napoleona Cambronne osiadł w Paryżu i żył sobie w kółku

rodzinnem szanowany i kochany od wszystkich.

Jego dawny pułkownik złamany wiekiem a więcej jeszcze może trudami wojennymi także usunął się w zacisze domowe.

Wiedział on, że Cambronne jest w Paryżu i pewnego dnia zaprosił go na obiad wraz z kilku dawnymi towarzyszami broni.

Miejsce honorowe przy stole było naturalnie dla generała Cambronne po prawej stronie gospodarza domu. W czasie obiadu częstuje pułkownik generała kieliszkiem doskonałego wina zachowywanego skrzętnie na wielkie uroczystości. Cambronne mocno zdziwiony zawołał: „Co mi pan podajesz?“

— Ależ wino, mój generale, wyborne wino reńskie, ma ono więcej niż sto lat, podobnego nie znajdziesz w całym Paryżu.

Cambronne nic nie odpowiadał, ale widać było, że te słowa mocno go rozdrażniły.

— Generale, — ciągnie dalej gospodarz domu, — zaręczam ci, że to jest doskonałe wino. Skosztuj go a sam osądzisz najlepiej.

— A moje słowo honoru, pułkowniku, a moje słowo honoru, — wybuchnął w końcu Cambronne, uderzając pięścią w stół, — a Nantes, a więzienie a ulaskawienie a moja przysięga. Czy już o wszystkim zapomniałeś. Za kogo bierzesz Cambronna? Od tego pamiętnego dla mnie dnia ani jednej kropli wina nie wypilem. Przysięgłem ci i dotrzymałem obietnicy.

Pułkownik przypomniawszy sobie to całe zajście, już nań nie nalegał, lecz podziwiając tę wierność w dotrzymaniu raz danej obietnicy, czuł się szczęśliwym i dumnym, że takiego męża swoim wstawieniem się zachował dla Francji.

Kto silną ma wolę, może się poprawić ze swych występnych nałogów.

TRZY ŻYCZENIA.

Był to sobie dziad i baba, bardzo starzy, bardzo biedni,

Nie mieli dzieci, przyjaciół, żyli sobie sami jedni; Dziad drwa rąbał, wodę woził, baba patrzyła kądzieli I tak o chłodzie i głodzie pchali biedę jak umieli. Zła rzecz starość, gorsza nędza, lecz gdy z biedą niemoc idzie,

To już nie wiesz w czym frasunek czy w starości czy też w biedzie.

Więc oboje narzekali, siedząc w wieczór przed ogniskiem, Nad okropnym swoim stanem, i nad złych losów igrzyskiem:

»Ah!« zawoła dziad ze smutkiem: »miałem w życiu zachceń tyle,

Ale wszystkie me zachcenia, zmarniały jak życia chwile.«

»Ah!« zaszlocha płacząc baba: »gdyby chociaż z życzeń jedno

Spełniając się w mej starości, mogło mnie pocieszyć biedną!«

Wtem wiatr świsnie, drzwi wywali, a na progu nędznej chatki

Stoi wróżka, która wszystkie losów ludzkich zna wypadki:

»Słuchaj babo, słuchaj dziadzie trzy życzenia waszej woli,

Trzy życzenia, lecz nie więcej los wypełnić mi pozwoli: Z zachceń waszych, wybierajcie to, co lepsze da korzyści, Lecz pominijcie, że życzenie wyrażone wnet się zściści«



Sw. Jadwiga błogosławi syna swego Henryka Pobożnego na wyprawę przeciw Tatarom.

Znikła wróżka, wiatr drzwi zaparł i zaszumiał za jej śladem,
Tylko bladzi, wystraszeni, patrzą na się baba z dziadem.
Wreszcie rzecze stary z cicha: »trzeba dobrze obrachować

Co nam trzeba, by w pośpiechu swej prędkości nie żałować.«

A więc myślą, na kominku, drzewo trzaska, ogień płonie,
Lecz myśl ciężka, odrętwiała, w błogiem zapomnieniu tonie:

Babie widok ognia pędzi w głowę żarłoczne wspomnienia,

Raz wątróbka miga złudnie, znów stoi w oczach pieczenia;

Wszystko to się w jej dumaniach smaży, praży, swędzi, piecze,

Że aż babie wygłodniałej z ust po brodzie ślinka ciecze.
»Ah!« zawoła mimowolnie, »jakże by to dobrze było,
Gdyby się tu tak od razu kółko kielbasy zjawilo!«
Ledwie baba w zapomnieniu wyrzekła niebaczne słowa,
Gdy kielbasa buch z komina, leci na nią stułokciowa.
Dziad się porwie drżący z gniewu: »o przekłete nasze losy!

Otóż to mieć babę w domu: krótki rozum, długie włosy.
Z trzech darów przez wróżkę danych, już dwa tylko pozostały,

A dla czego? bo łakomej się kielbasy jeść zachciało.
Oby za twoje życzenie, któreś tak szalenie wzniosła,
Ta kielbasa, ot ta sama, do nosa ci wnet przyrosła!«
Ledwie wyrzekł, wnet kielbasa hyc z podłogi podskoczyła,

I babie jak trąba słońca u nosa się uwiesiła.
Straszny widok! spojrzeć smutno, boć, na świecie różne nosy,

Ale takich stułokciowych najgorsze nie dadzą losy.
Cóż więc czynić, gdy niebacznie dwa życzenia zmarnowali,

A w dodatku dziwowskiem między ludźmi pozostali?
Nic innego, tylko życzyć aby niefortunne brzemię
Rozstało się z babim nosem, i odpadło znów na ziemię.

Po namyśle, po wyrzutach, spełniło się to życzenie;
A z trzech darów dobrej wróżki, zostało tylko wspomnienie.

Gdym wam bracia opowiedział bajkę znanej dawno treści,

Dodam jeszcze i naukę, jaką bajka w sobie mieści;
Na świecie człek zawsze pragnie przeznaczeń swych zmienić postać,

A gdy los mu się uśmiechnie, nie umie szczęśliwym zostać.

POD BIEGUNEM PÓŁNOCNYM.*)

Połowie grudnia, jak gdyby na gwiazdkę, rozesłanych było przez wydawcę, pierwszych 4,500 egzemplarzy książki księcia sabaudzkiego Ludwika, opisującej wyprawę pod biegun Północny, na którą z towarzyszami swymi okrętem „Gwiazda Północna“ wyruszył z Archangielska w lipcu 1899 roku, a powrócił na brzeg norweski we wrześniu 1900 r. Na książkę tę, zajmującą, bardzo pięknie wydaną, opatrzoną wielu rycinami i mapami, złożyła się praca trzech ludzi: ks. Abruzzów, kapitana okrętowego Humberta Cagni i doktora Cavalli, towarzyszącego wyprawie.

Właściwym bohaterem tej niebezpiecznej wyprawy nie jest jednak książęcy autor, ale jego tęgi współpracownik, komendant Cagni, który też, dzięki twardemu organizmowi, har-

towi i sile woli, uratował jej znaczenie. On to bowiem z zimowych leżysk na ziemi arcyksięcia Rudolfa wyruszył saniami, zaprzężonymi w psy, w ciemną, lodową północ i dotarł do szerokości geograficznej, dotąd nie osiągniętej.

Najważniejszą zatem częścią książki i najwięcej zajmującą jest opowiadanie Cagniego o tej niebezpiecznej wycieczce ku biegunowi Północnemu. Książę Abruzzów na ziemi arcyksięcia Rudolfa odmroził sobie dwa palce z lewej ręki i te mu odciał w części lekarz Cavalli. Wprawdzie także i Cagni odmroził sobie palec wskazujący u prawej ręki, ale wytrzymałszy — rzeczywiście podobno jest dziwnie twardej natury, przypominającej naszych zuchołów, — puścił się ze zmrożonym, zamartłym palcem pomiędzy lodowe stopy bieguna.

Książę Abruzzów wysła więc Cagniego na tę wycieczkę w dniu 21 lutego (1900 r.) organizuje ją, jak dalej zobaczymy, sam zaś z kilku towarzyszami zostaje przy statku „Gwiazda Północna“, uwięzionym w lodowcach zatoki Teplitza na wyspie arcyksięcia Rudolfa, w szerokości geograficznej mniej więcej 81°.

Wyprawa podzieloną jest więc na trzy oddziały, którymi dowodzić będą Cagni, porucznik marynarki Quarini i doktor Cavalli. Po-

*) Biegun północny jest to punkt rozumie się najczęściej wysunięty w kierunku północnym na kuli ziemskiej. Środkiem kuli ziemskiej, tam gdzie słońce najczęściej pada i gdzie najgoręcej — jest równik. Bieguny północny i południowy jako najwięcej od równika oddalone, najmniej otrzymują promieni słonecznych i ciepła czyli są najzimniejszymi okolicami ziemi i całe pokryte są lodowcami. Te strony niezamieszkałe, mało są jeszcze zbadane, więc zaciekawiają odważnych ludzi nauki i raz po raz tworzą się wyprawy naukowe, które niejedną już przypłacił życiem.

ręcznik i lekarz mają tylko za zadanie dostarczanie żywności Cagniemu, pomaganie mu aż do pewnej odległości i wrócenie z drogi do stanowisk.

Ksiązę towarzyszył podróżnikom w dniu 21 lutego na jakie dwanaście wiorst, potem ich pożegnał i wrócił do chaty, wybudowanej opodal okrętu „Gwiazda Północna“.

„Widząc nas oddalających się — pisze komendant Cagni — tem silniej odczuwał ksiązę boleść, iż nie znajduje się na naszym czele i musiało to być wielkim dla niego ciosem, kiedy widział obrócone w niwecz marzenie swego życia i umysłu odważnego i przedsiębiorczego.“ Ale ksiązę Abruzzów nosił lewą rękę zawieszoną w dwóch parach rękawiczek, rękawku z pierza, wsuniętym w zarękawek z renifera.

Pierwsze dwa dni wycieczki trzech powyższych oddziałów były straszne. Mróz spadł do pięćdziesięciu dwóch stopni (Celsjusza) niżej zera; czas okropny: lodowce, wreszcie stłuczenie sobie ręki przez jednego z górali alpejskich doliny Aosty, wziętych przez ks. Abruzzów, skłoniły Cagniego do powrotu, aby nieza długo potem drugi raz puścić się w tę karkołomną podróż.

Tym sposobem wszyscy w d. 23 lutego znaleźli się znowu w chacie a w d. 11 marca puszcza ją się ponownie — i ostatecznie.

Cagni opisuje te straszne trudności, jakie mu zagradzały nieustannie drogę po lodzie ku biegunowi, wały lodowców, wielkie zwałiska, ostro zakończone, tak, że kilofem otwierano sobie przejście; ciągle zatrzymywanie się, mróz, który się utrzymuje przy — 45°, i wolne posuwanie się przez pierwszych dziesięć dni. Nadeszła więc chwila, aby odesłać do chaty pierwszy oddział. I tenże oddzieli się do ekspedycji w dniu 23 marca: są to Querini, góral, przewodnik alpejski Ollier i Norwegczyk Stoecken.

Cagni i Querini ściskają się wzruszeni, żegnają się, potem zdala jeszcze powiewają sobie chustkami.

„Biedni towarzysze! — pisze Cagni — w swej chwili myśli nasze nie mogły ustrzedz

się od uczucia zazdrości, kiedyśmy ich widzieli, wracających ku życiu, ku wygodzie i ziemi.“

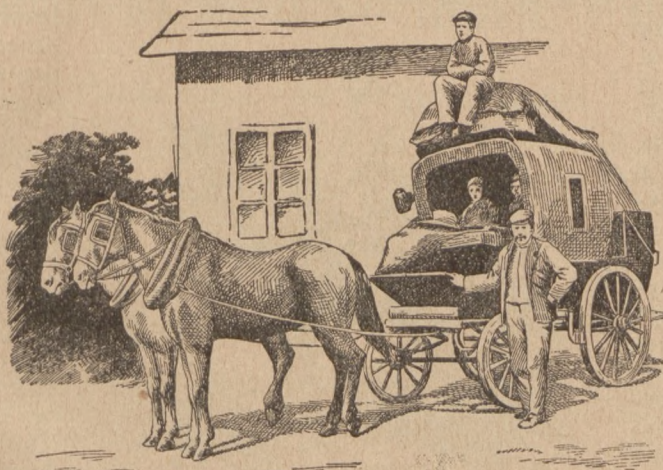
W dwa miesiące potem, w dniu 23 czerwca, Cagni, wróciwszy do chaty księcia Abruzzów, miał dowiedzieć się o smutnym losie Querini i jego dwóch towarzyszy. Przepadli, zginęli w tej powrotnej drodze i nikt już więcej o nich nie słyszał!

W tydzień po Querinim 30 marca, także doktor Cavalii odłącza się, aby wrócić do stanowiska z Alpejczykami: Cardenti i Savoie. Cadni zostaje więc sam, zgubiony w lodach północy, z czterema towarzyszami. Czas jest pogodny, świeci słońce, iskrzą się lodowce i śniegi. Czworo sań, zaprzężonych w psy, zaczyna szybko pomykać naprzód: Cagni, dwóch alpejskich przewodników: Petigax i Perciollet i majtek Canepa. Mają z sobą 49 psów. Za-

równo ludzie, jak i psy, odznaczają się wytrzymałością; alpejscy górale przyzwyczajeni do lodowców; Canepa silny marynarz, odważny, jak bywają nimi pracownicy morza. Co do psów, to te pocciwe zwierzęta zasługiwałyby na oddzielny rozdział w opisie; czasem niesforne, buntujące się, ale ciągnące dobrze, inteligentne — nieźrównani współpracownicy tam, gdzie chodziło o wydobyćcie sani z przepaści lodów. A jednak trzeba było zaprznać

ich wiele, prawie wszystkie, aby odżywiać nie tylko te, co pozostały, ale i także czworo ludzi, walczących z brakiem żywności. Jeden z tych psów nazwany „Meksykańczyk“ tak jest opisany:

„Jest to małe zwierzę kudłate, z wielkimi, bardzo sprytnymi oczyma, biegnący na przedzie, któremu daliśmy to nazwisko z powodu długich kudłów, jakie ma na nogach w rodzaju spodni, rozszerzających się u spodu. Od chwili wyruszenia z zatoki Teplitza, szedł zawsze na przedzie w pierwszych saniach dla tego, że on najlepiej szedł za człowiekiem, będącym na czele karawany; posłuszny, kiedy miał zatrzymać się lub ciągnąć, choć mniej silny od innych, zawsze wyprzedza i rzuca się na psy z innych sań; wygląda zupełnie, jak gdyby czuł powagę swego stanowiska i był o to bardzo zazdrosny.“



W Bretanii. Pocztylion pełniący służbę pocztową między Paimpol a Tréguier.

„Z chwilą, kiedyśmy już wracali, przewodnik, przeznaczony do pierwszych sań, kroczy za nami, zostawiając psu staranie szukania śladu.

„Meksykańczyk“ galopuje z pyskiem, zwieszonym ciągle nad śniegiem. Czasem zgubi węch, wtedy zwalnia i ogląda się na nas, jak gdyby chciał pomocy; krzyczą tedy na niego: „a Messicano!“ Stara się, zapobiega w sposób prawdziwie zabawny, biega w zygzak ze zwieszonym językiem, póki śladu nie odnajdzie. Wtedy pędzi naprzód, przez długie przestrzenie, tam, gdzie nam byłoby całkiem niemożliwym odnaleźć jakikolwiek znak naszej poprzedniej jazdy.“

Pierwsze dni pochodu naprzód odbywają się wśród ruchu lodowców, otwierania się i zamykania kanałów, ściskania lodów; wielkie „hummocks“, bryły lodu utrudniają przejścia. Podróżni odżywiają się pemikanem (suszonem mięsem w proszku), który nabawia ich bólów żołądka.

Wiatr, śnieżycę, psują im drogę. Od czasu do czasu jednak spotykają duże, gładkie płaszczyzny lodu, po których biedz mogą szybciej, tak, że nabierają odwagi.

Ale żywność? Czy wystarczy teraz, kiedy rzeczywistość pokazała, że do posunięcia się dalej ku biegunowi, więcej dni potrzeba, niż obliczono? Komendant Cagni — w dniu 21 kwietnia — gromadzi swoich ludzi i przedstawia im zapytanie: czy nawrócić, czy też posunąć się jeszcze naprzód, zmniejszając porcjeienne do połowy, do ostatecznego wysiłku.

— En avant! — krzyknęli przewodnicy (w dolinie Aosty mówią góralo po francusku).

— Jedźmy! mówią wszyscy — póki nie osiągniemy 87-go stopnia szerokości.

Tyle wytrwałości doznaje powodzenia. W dniu 22 kwietnia osiągają 86°. Chodzi o to, aby prześcignąć Nansena, a ten doszedł do 86° 16' i ochota ta staje się niemal szaleńcem.

Upłynęło już kilka godzin, jak nie do siebie nie mówiliśmy. Podałem towarzyszom rękę i ścisnąłem dłonie. Podziękowałem za to, co dotąd zrobili, chciałem powiedzieć, że moja dłoń jest dłonią wdzięcznego przyjaciela, ale już nie wiem nawet, co im powiedziałem i czy dobrze usłyszeli. Słyszałem tylko wyrazy, że zrobili to, co było ich obowiązkiem, a głosy nasze były stłumione przez wzruszenie i oczy nasze świeciły od łez.

— Dajcie chorągiew! — powiedziałem i wyszliśmy z rozbitego namiotu, nie myśląc o kuchni.

Poszukaliśmy chorągwi, przywiązaliśmy ją do kija, a ja, powiewając nią, zawołałem:

— Eviva l'Italia! Niech żyje król! Niech żyje król Abruzzów! — na co tamci odpowiadali okrzykami, w których czuć było radość ich duszy.

Posuwają się jeszcze kilka dni. Lód stał się łatwym i gładkim, jak gdyby chciał uwieść śmiałków po za wszelkie granice. Ale ostrożny komendant umie oprzeć się gorączkowej pokusie owych 87° i przy 86° 31' honorowym napitkiem obchodzi zwycięstwo.

Było to 23 kwietnia.

Powrót na południe nie był tak łatwy i bezpieczny; znowu lodowce, otwierające się wody i obawa zbłąkania, a wtedy brak żywności i śmierć głodowa. I tak porcje jedzenia zeszły prawie do zera. Zmęczenie zbija z nóg przewodników, psy zwalniają biegu, czują głód.

Podezas tej drogi powrotnej, Cagni zaczyna więcej, niż kiedykolwiek odczuwać bóle w palcu odmrożonym przed pół rokiem, w końcu marca utworzył mu się był bąbel. Kiedy go pokazał doktorowi Cavallemu, ten powiedział, iż mu palec odejmie, skoro wróci do chaty w zatoce Teplitza. Nareszcie 15. kwietnia Cagni, który palec nie odkrywał z obawy infekcji, czując coraz silniejsze darcie, postanawia

go obnażyć, opatruje, ale po dwóch tygodniach ból staje się niemożliwy. Całe ramię jest zbolełe, w pachwinie czuje zapalenie. Kiedy więc oddział odpoczywa pod namiotem, dowódca postanawia dokonać auto-operacji. Ustęp ten najlepiej maluje człowieka:

„Odwiązuję sobie palec; napuchł, gruby jest bardzo, a koniec zmarzły jest czarny. Lancetem, który trzymam w lewej ręce, odcinam całą część poczerniałą. Zaledwie naciąłem ciało, wychodzi niemożliwa ilość materii, co mi sprawia wielką ulgę. Odkrawam wierzeh palca zmarły, tak, że zostaje tylko kostka, która także wygląda na martwą. Naciskając na kość, czuję ból w całym ramieniu. Myślę wtedy, że jeśli zostawię wystającą kość, każde uderzenie będzie mi ból sprawiało, więc chciałem ją odkrajać, ale mam tylko nożyczki, a mała kostka jest bardzo twarda, dla tego muszę się namęczyć, zanim swego dokonam. Do małej



Pocztylion korsykański.

operacji, do której doktor byłby był potrzebował trzech minut, użyłem całych dwóch godzin. Majtek Canepa w pewnej chwili nie mógł już wytrzymać, patrząc na to, więc uciekł z namiotu pomimo mrozu i śniegu.“

W końcu maja żywność zaczyna się już wyczerpywać, porcejeienne są maleńkie. Mięso w konserwie wyczerpane, jest tylko jeszcze „pemnikan.“

Dnia 9 czerwca nareszcie ujrzeli ziemię. Są to wyspy Królewska i Harley.

Mało kto kiedy tak się ucieszył, jak owi czterej zabłąkali w lodach północy. Ale lód jest strasznie poszarpany, pochod zład wolny dopiero w dniu 23 czerwca po rozmaitych nowych przygodach podróżnicy znaleźli się na wyspie arcysięcia Rudolfa.

O godzinie 8 mgła się rozchodzi i u stóp lodowca widać chatę księcia i statek „Gwiazdę północną!“

Zobaczyli ich towarzysze! Powiewają chustkami i czapkami, wołając:

— Hura! Hura!

Po chwili wpadamy sobie w objęcia. Dr. Cavalli mówi potem Cagniemu:

— Wiesz, Querini nie wrócił!

Patrząc na niego zdumiony. Spuścił głowę.

* * *

Kiedy wylądowują na brzegu norweskim 12 września 1900 r., pierwsza wiadomość, jaką im przynoszą:

Król Humbert został zamordowany.

Rzym, w grudniu 1902 r.

Wędrowki listu po lądzie i morzu.

List! Ta drobna ćwiartka papieru ileż często zawiera rzeczy ważnych: radość lub smutek, nędzę lub bogactwo! Niekiedy przynosi wiadomość oczekiwaną, przyczynę nadziei lub rozpacz; nieraz znowu przychodzi niespodziewanie, przebiegłszy na nasze spotkanie dużą przestrzeń. Wiele nadziei niszczy nadejście tych kilku liter drobnych! Wiele powoduje nieszczęść! Wiele zmian nagłych!

Ludzie, odbierający stale i często listy, mają już co prawda przytępioną wrażliwość na podobne zdarzenie. Ale pomyślmy o tych wszystkich, dla których otrzymanie listu stanowi wypadek wyjątkowy! Żołnierz na wojnie, majtek żeglujący na dalekim morzu, jakich doświadcza wróż silnych, wyczekując całe miesiące na nadejście łodzi pocztowej, która im przynosi nowiny z kraju! A ile to pracy poważnej wymagało otrzymanie listu za czasów, gdy jeszcze poczta nie była tak urządzona, jak obecnie; gdy nie było stałej komunikacji, gdy list podróżował wiele dni, odbywając wędrowkę z rąk do rąk pocztylionów, narażonych na tysiące niebezpieczeństw. Jeszcze w teraźniejszych czasach są okolice, w których przenoszenie listów odbywa się przy wielu trudnościach i przeszkodach. Niemalże przeto ciekawości przedstawia przegląd tych „poczt“ obrazowych, dziwnych, przygód pełnych, zarówno z czasów ubiegłych, jak i współczesnych.

Najszybsza sztafeta. — Niezwykły egzamin zawodowy.

Pierwszym pośrednikiem przy przenoszeniu listów był człowiek. W Grecji, krainie górskiej, dostawa poczty odbywała się pieszo; historia przechowała nam sławną pamięć o żołnierzu Maratońskim, który biegł tak szybko do Aten z wiadomością o zwycięstwie Greków, że przybywszy, padł martwy.

W starożytnej Gallii szybkobiegacze byli ustawieni na stacyach, skąd jeden drugiemu podawał posłannictwo, które rychło obiegło w ten sposób całą odległość. W tym celu Rzymianie urządzali we wszystkich krajach podbitych szosy kamienne ze stacyami. Drogi te szły przez lasy, równiny i góry, ciągnąc się w prostym kierunku, nie zatrzymując przed wzgórzami, ani żadną przeszkodą. Zależało



Przenoszenie listów na Kaukazie.

przedewszystkiem na tem, żeby załatwić się szybko. I w istocie list z głębi Bretanii dochodził do Rzymu przez szybkobiegaczów w przeciągu dni dwudziestu sześciu. W niecały miesiąc przeszedł całą Gallię, pasmo gór Alpejskich i połowę Włoch! Wiadomo zresztą, że niema szybszego biegacza od człowieka, odpowiednio do tej czynności przygotowanego. W Turcyi w wiekach średnich sultan miał gońców, którym dla ułatwienia biegania i uniknięcia zadyszki, powycinano nawet śledziony.

Biegaczami są obecnie murzyni w Nubii, gdzie pełnią służbę pocztową. Biegają, bręcząc dzwonkiem w jednej ręce, a drugą dźwigają kij palmowy, na którego końcu wisi torbka, zawierająca listy.

Pocztylioni japońscy o żółtej skórze, biegają również i dzwonią także brzękadłem. Noszą kapelusze szerokie, okrągłe, który ich chroni zarówno przed słońcem jak i deszczem. Jedni posiadają lekki wózek ręczny, który wloką za sobą po gościńcach i ścieżkach urwistych. Inni dźwigają paczki pocztowe w dwóch koszach,



Pocztą w krainach podbiegunowych. Pocztylion lapoński w swych saniach z reniferami.

zawieszonych na końcach żerdzi, noszonej na plecach. Każdy przechodzień musi im ustępować z drogi, choćby nim był nawet sam cesarz japoński. W roku 1883, w Japonii, która obejmuje 43 miliony kilometrów obszaru, służbę pocztową na 36 milionach kilometrów pełnili wyłącznie tacy posłańcy piesi.

Ich sąsiedzi, Chińczycy, mają również takich posłańców-biegaczów, zwanych „siłaczami” lub „końmi na 500 kilometrów”. Noszą oni w jednej ręce latarnię, w drugiej parasol z dzwonkiem. Listy mają na grzbiecie w torbie płóciennej. Wybiera się takich pocztylionów z pośród ludzi najsilniejszych, a zarazem najodważniejszych, ponieważ nie wolno im zatrzymywać się nigdzie, nawet na noc, muszą więc być ludźmi nieobawiającymi się ani złodziei, ani żadnych strachów. Obawa przed widmami i duchami jest bowiem w Chinach tak powszechna, że posłańca trzeba koniecznie z góry wypróbować, gdyż w przeciwnym razie tchórz chiński za najmniejszym poruszeniem się czegoś nieznanego w ciemnościach, rzuci w tej chwili na ziemię pakunek pocztowy,

aby się czempredziej ratować ucieczką przed widziadłem urojonem. Wreszcie celem upewnienia się, że pocztylion chiński będzie mógł bronić się skutecznie przeciw napastnikom istotnym, namacalnym, — poddaje się egzaminowi wielce dziwnemu: Musi stanąć wśród tych toreb i kolejno podrzucać każdą w górę za pomocą silnego uderzenia pięścią, pilnując się jednocześnie, żeby żadna z nich nie zawadziła o niego ani z przodu, ani z tyłu: każda torba wyobraża nieprzyjaciela. Jeżeli jedna z toreb dotknie raz człowieka, to już on staje się niezdolnym do służby pocztowej.

Konna pocztą.

Z upływem czasu powzięto myśl zupełnie naturalną obdarzenia pocztyliona czemś do przewożenia listów. Jednym z pierwszych środków, jakich mu dostarczono, był drugi człowiek. Gdy Hiszpanie przybyli do Ameryki południowej, zastali tam urządzenie pocztowe dosyć dziwnego rodzaju: na stacyach umyślnie wyznaczonych znajdowały się warty, złożone z tragarzy, którzy na plecach dźwigali pocztylionów od stacyi do stacyi.

Tragarz, przybywszy do kresu swego rewiru, bezzwłocznie składał żywy pakunek na grzbiet oczekującego na następnej stacyi kolejnego towarzysza, a ten w dalszym ciągu zanosił go szybko do trzeciego tragarza, dopóki pocztylion nie dostał się na właściwe miejsce.

Wszędzie indziej zresztą używano w tym celu koni, jako najwłaściwszych pomocników przy służbie pocztowej. Kiedy w 18 wieku Marko Polo, Wenecyanin, słynny ze swych podróży do odległych krajów, udawał się na dwór pekiński do wnuka Dżingis-Chana, zastał tam pocztylionów konnych, którzy byli czynni po całych Chinach. Prowincye chińskie dostarczały dla tych stacyi pocztowych 200.000 koni. W obecnych czasach główne biuro w Pekinie, przeznaczone wyłącznie dla listów cesarskich, utrzymuje 500 koni i 250 pocztarków. Konie te nazywa się oficjalnie „nieśmiertelnymi”, co znaczy, że ich liczba musi zawsze być pełna i że nigdy nie wolno rozgłaszać o zdechnięciu jednego z tych zwierząt.

O poczcie perskiej opowiada p. Edmund Dutemple, świadek naoczny, że przedstawia niezwykle widowisko. Nadejście konwoju pocztowego słyszy się już z bardzo daleka; z hałasem zbliżają się krzykliwi jeźdźcy i żołnierze piesi, należący do eskorty; rzenie koni cwałujących towarzyszy temu tumultowi. Wszytko, co się nawija po drodze, wozy, ludzie,

zwierzęta, — musi niezwłocznie usuwać się na bok, bo inaczej może uleść obaleniu i stratom. Gdy konwój jest już blisko, słyszy się wyraźnie jednostajne wykrzykniki „a—ul a—ul“, którymi odzywa się kolejno każdy z orszaków jeźdźców, by w ten sposób stwierdzić, że żaden z nich nie usnął na koniu. Tuż przy poczie będąc, widzi się tylko tuman kurzu, w którym niepodobna prawie rozróżnić przedmiotów ani ludzi, chyba gdy się ich dotyka niemal zblizka. Na przedzie idzie awangarda: sześciu żołnierzy w zielonych mundurach, wysokich butach, z pałaszami, rewolwerami i strzelbami; te ostatnie noszą przy lewej nodze. O dwadzieścia metrów za nimi idzie konwój: konie zaprzęgnięte po cztery w jednym rzędzie, a takich rzędów bywa często po ośm lub dziesięć; każdy koń nosi po obydwóch bokach zawieszane dwie, trzy lub cztery torby, mocno uwiązane sznurami. Na końcu posuwa się naczelnik karawany, tatarzyn w szerokich spodniach, haftowanym kaftanie i pasie wełnianym, w którym sterują jatagany i kolby pistoletów. Siedzi w ogromnym siodle czerkieskim i ani na chwilę nie odrywa wzroku opiekunczego od całości konwoju, za który jest odpowiedzialny. W największym galopie pali jednak bezustannie małe cygara. Orszak przelatuje jak trąba powietrzna, w obłoku piasku. W ten sposób przez przeszło miesiąc trąba pocztowa przebiega całą Turcyę azyatycką, zatrzymując się tylko na stacyach oznaczonych na czas ściśle określony. Konie się zmieniają, jak również jeźdźcy, tylko jeden tatarzyn odpowiedzialny zostaje cały czas, jakby przyśrubowany do kulbaki.

Oprócz konia, zwierzęciem najbardziej użytecznym przy służbie pocztowej jest wielbłąd. Jego używają pocztylioni we wszystkich krajach, położonych na południu morza śródziemnego. W Egipcie po przez międzymorze Suezkie przed przebieciem kanału, pełnił najprzód całkowitą służbę pocztową „okręt pustyni“ (wielbłąd). Obecnie siedzi na nim pocztylion Indyi angielskich; wielbłąd dźwiga tutaj dwa tłumoki po bokach, trzeci na karku, pocztylion między garbami, a na grzbiecie ma jeszcze siedlisko dla jakiego podróżnika.

Najdziwniejsze oraz najmniej wygodne przewozy.

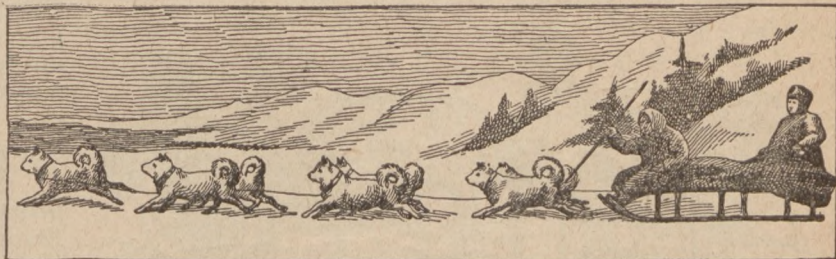
Niektórzy pocztylioni hinduscy posiadają dla przewozu poczty koła, lecz nie takie, jak nasze ze świetnej stali giętej, tylko z drzewa. Jest to przyrząd gruby, który może się toczyć

po najgorszych drogach, na których nasze koła połamałyby się bezwarunkowo, nie przejechawszy dziesięciu metrów.

Takie koło drewniane, używane w Indyach od dawien dawna, jest najbardziej pierwotnym przyrządem wśród nieskończonego szeregu wozów pocztowych.

Na Węgrzech używano małego wózka drewnianego wielce prostej budowy, na niskich kołach, do którego zaprzęgają dwie szkapy chude. Podróżnicy siedzą w tych wózkach na wiązkach kukurydzy. Pocztylion w szerokim kapeluszu pilśniowym na głowie, porusza ciągle ustami, rozmawiając z końmi, które zachęca do jazdy wyrazami dobitnymi i zmusza do galopowania przez stępy.

W Norwegii mają bryczki, złożone z dwóch holobli, dwóch kół i dwóch tarcie; na jednej z nich siada podróżnik ze zwieszonymi nogami. W Finlandyi istnieją na niektórych traktach pocztowych szyny drewniane, po których wozy zaprzęgnięte w konie niezwykle silne, mogą przebieść 70 mil na dobę. W Rosyi są nie-



Zaprząg psów na Syberyi.

zliczone odmiany: jest najprzód zaprzęg o trzech koniach z wielkim chomątem w pośrodku, gdzie dzwonek odzywa się melancholijnie; na Kaukazie pocztylion w towarzystwie zbrojnego żołnierza jedzie wolno na bryczce, którą ciągną cztery woły. Gdy trzeba przebyć parów lub wawóz górski, i nie można nawet tych bryczek używać, wtedy kozacy biorą na plecy ogromne paki listów i przeprowadzają się z nimi przez taką miejscowość. Na południu Azji rosyjskiej spotykamy znowu wielbłądy, ale zaprzężone parami do wózka niskiego i płaskiego; za to na Syberyi północnej w gubernii Archan-gielskiej i na Kamezatee, używa się prawie wyłącznie sanek. Tutaj pocztylioni przebiegają 4,000 i więcej kilometrów na „nartach“. Są to wąskie sanki, podobne do długiego pudła prostokątnego. Ciągną je renifery lub psy. Renifery karmią się same mchem lub widłakami, jakie odgrzebuja z pod śniegu. Dla psów jednak pocztylion musi wozic żywność w postaci ryb suszonych, które służą także jemu za pokarm. Do każdych sanek pocztowych zaprzęga się dwanaście psów, które poprzedza

pies-przewodnik. W takich warunkach spiesząc, odbywa się podróż po 200 kilometrów dziennie: jest to szczególne zestawienie z pocztą wołową na Kaukazie. Taką pocztę wołową spotyka się jeszcze w Brazylii. W Syamie pocztyliona wożą zwierzęta zebu, gdzieindziej, osły. Przestrzeń, jaką przebywają wszelkie wozy pocztowe na całym świecie, wynosi, przerażając liczbę 450 milionów kilometrów!

Na tem wyczerpaliśmy opis wszelkich stworzeń zwierzęcych, służących za przewodników wszystkich wozów pocztowych na świecie.

Podczas pory deszczowej. — Wylewy rzek. Pocztylioni wodoziemni.

Ale istnieją kraje, gdzie przyroda zdaje się nagromadziła wszystkie przeszkody przeciw nieszczęsnemu zwiastunowi cywilizacji, gdzie każdy pocztylion musi zacząć od tego, żeby się stać stworzeniem prawie wodnym.

W istocie bowiem po części są wszędzie



Wóz z wołami, pełniący służbę pocztową na Kaukazie.

jakieś wody, przeszkadzające w komunikowaniu się bezpośrednim. Nawet w Paryżu przed stu pięćdziesięciu laty jeszcze pocztylion chcąc się dostać na plac Ludwika XV, obecnie nazwany placem Zgody, musiał się przeprawiać przez rzekę Sekwanę w łódce i umieć wiosłować sam od jednego do drugiego brzegu rzeki. Tak samo w krajach, gdzie nie istnieją mosty lub gdzie są liczne rzeki, pocztylion musi być nie tylko tegim piechurem, lecz jeszcze wprawnym wioslarzem, jeżeli nie chce mieć za wiele przeszkód po drodze. Dzieje się tak naprzykład w Indjach.

Pocztylion, pełniący tę służbę, ubrany w czerwony strój angielski, stanowi prawdziwe biuro pocztowe ruchome. Nosi torby naładowane listami do oddania, a zarazem puste pudło do listów, do którego każdy przechodzień może wkładać swoją korespondencję. Nie dosyć na tem: na plecach ma tornister, zawierający naczynia i żywność, ponieważ często idzie dzień cały nie spotykając żywej duszy.

W rękę trzyma kij okuty w żelazo, zaopatrzony w dzwonek, który dzwoni bez przerwy, służąc zarówno jako zwiastun zbliżającego się pocztyliona, jak w Japonii, i jako postrach dla gadów jadowitych, rojących się, jak wiadomo, wszędzie w Indjach. Letnią porą przebywa wszelkie strumienie po mostach, utworzonych z pnących się roślin, lub na tratawkach, płynąc na dyniach wysuszonych. Kiedy jednak nadchodzi pora deszczowa, kiedy najmniejszy strumyk zamienia się w rzekę, trzeba się posilkować innymi sposobami.

Pocztylion bierze wtedy inny mundur, składający się tylko ze zwyczajnego stroju kąpielowego. W okół bioder przypasuje na sznurkach pęcherze nadymane, które mu pomagają pływać po wodach; bez tego utonąłby niezawodnie pod ogromnym ciężarem pakietu pocztowego, który spoczywa na karku pocztyliona, uwiązany do głowy silnym sznurem. W takiej „uprząży“ ludzkiej posłaniec rzuca się śmiało do wody, ile razy zachodzi potrzeba. Zaledwie ubranie zdążyło na nim obeschnąć, musi się znowu zabrać do pływania. Uważa się jeszcze za szczęśliwego, gdy nie spotyka po drodze jakiego zwierza dzikiego, z którym walczyć może jedynie kijem w żelazo okutym, bo na inną broń władza angielska nie wydaje zezwolenia.

W Peru, w Ameryce południowej, pocztylion zamienia się w istną rybę. Tam już strumienie wszelkie nie stanowią dlań przeszkody, są owszem drogą zupełnie naturalną, pływanie przestaje być czemś wyjątkowym dla pocztyliona, a jest przeciwnie zajęciem zwykłym. Oto co opowiada

Humboldt w swej słynnej podróży po Peru. Lasy dziewicze, mówi, są nie do przebycia, to też plemiona krajowe nie mają innego środka podróżowania oprócz pływania. Mężczyźni, kobiety i dzieci przebywają wpław rzeki i strumienie. To samo czyni pocztylion. Aby sobie ulżyć nieco trzyma pod ręką gałąź z drzewa wyjątkowo lekkiego. Z wody wychodzi tylko wtedy, gdy napotka wodosпад lub wir listy. Obszedłszy to miejsce po ścieżce wytkniętej zwykle obok w lesie dziewiczym, rzuca się wnet napowrót do wody.

Inną odmianę pocztyliona wodnego spotykamy w Chinach, których część znaczną, jak wiadomo, pokrywają wody i przecinają niezliczone strumienie. Pocztylion posiada wprawdzie łódkę, ale tak szczupłą i drobną, że podczas przebywania pół ryżem zasianych, może ją dźwigać na plecach. Zostaje mu zaledwie tyle miejsca w łódce, aby mógł tam pomieścić worek z listami. Jest to coś w rodzaju trumny pływającej, w której trzeba wiosłować nogą!

Skrzynka pocztowa na pełnym morzu.

Na krańcach Ameryki południowej, pomiędzy Patagonią a ziemią ognistą, tak nazwaną z powodu dawnych wulkanów, które ją niegdyś zapęłniały lawą, — znajduje się straszne przejście: jest to cieśnina Magiolańska, która łączy ocean Atlantycki ze Spokojnym. Tutaj dwa oceany stykają się i uderzają o siebie bałwanami; tu przypływy wód sięgają dwudziestu metrów wysokości. Miejscowość to okropna, jakiej podobnej niema chyba wcale; otaczają ją szczyty górskie śniegiem pokryte i wieczne lodowce. Jedynymi jej mieszkańcami są wynędzniali Indianie, nawpół nadzy, ginący w powietrzu zimnem nad brzegiem morza niegościnnego. Wszystkie jednak okręty, między jedną a drugą połową Ameryki, przechodzą tędy i przechodzić będą dopóty, dopóki nie przebiją słynnego kanału Panamskiego. Dotąd więc ruch żeglarski trwa w całej pełni, a przeto, jak na każdym punkcie krzyżowania się wielkich traktów lądowych lub morskich, należało i tutaj urządzić biuro pocztowe, gdzieby można było załatwić nadchodzące z daleka listy.

Ale gdzie tu urządzić takie biuro pocztowe? Na lądzie? Czem w takim razie odżywiałyby się nie szczęśliwi, zmuszeni doglądać tej poczty? Jedyna przystań, jaką tu usiłowano założyć, nosi miano znamiennie Przystani głodu. Zresztą pośród tych bałwanów burzliwych niepodobno często zarzucić kotwicy, jeśli się nie chce uleść rozbiciu... Ale w pobliżu Przystani głodu, tylko na morzu, jest skała wydająca, czarna rafa, na której tkwi chorągiew, ostrzegająca żeglarzy przed niebezpieczeństwem. W szczelinie tej opoki umieszczono grubą belkę, do której przybito łańcuch żelazny. Na tym łańcuchu wisi beczka, a na niej mieści się biuro pocztowe, po angielsku nazwane Post Office; Anglicy postarali się też o napis odpowiedni ogromnymi literami czerwonymi. Samo się przez się rozumie, że w takim biurze niema urzędników; ono samo sobą zawiaduje. Wieko beczki jest zaopatrzone w zawias ruchomy; niema tam klódek ani rygli, tylko zatrzask prostej budo-

wy, dosyć silny, ażeby go bałwany nie otwierały, i dosyć prosty, aby każdy człowiek mógł sobie z nim poradzić łatwo. Każdy okręt przejeżdżający zatrzymuje się tu chwilę, wysyła łódkę z kilku majtkami, którzy zbliżają się do beczki, wyjmują z niej listy, dla nich do zabrania przeznaczone, i wkładają swoje, aby je zabrał następny okręt, idący w przeciwnym kierunku. Jest to skład nietykalny; listy zawsze dochodzą do rąk właściwych nienaruszone. Jak człowiek będący na odludnem miejscu, odczuwa silniej potrzebę bratania się z ludźmi, tak przedmiot wrzucony do tej dziwnej skrzynki pocztowej, doznaje większej opieki



Pocztylion norwesk w zimie.

Tajemnica lodów. — List, który doszedł po trzynastu latach.

Takie samo zaufanie do ludzi nieznanych, którzy niewiedzą kiedy się zjawią, mają podróżnicy podbiegunowi. Oni zostawiają również listy wśród pustyni lodowych Laponii lub Grenlandyi, pod stosem kamieni, zwanym „kaïrn“, a zaopatrzoną w jakikolwiek znak widoczny. Listy te wyjmuje się niekiedy dopiero po kilku miesiącach, a nawet latach.

Dzięki właśnie takiemu listowi, złożonemu w kaïrnie, zdołano uratować załogę Inrestigatora, okrętu, który Anglia wysłała w r. 1850 na poszukiwanie wyprawy podbiegunowej Jana Franklina. Okręt utknął w lodowcach, które więziły go trzy lata. Drugiego roku kapitan Mac Klem z uwięzionego okrętu wyjechał na saniach, celem poszukiwania pomocy. Przebrnął przez ogromne pustynie lodowe, ale statki, które spodziewał się spotkać, już były odpłynęły. Musiał więc wracać tą samą drogą do okrętu uwięzionego. Po drodze jednak pamiętał o włożeniu pod kaïrn listu zamkniętego w skórzanym futerale, a zawierającego w zakończeniu te słowa: „Ktokolwiek znajdzie to pismo, niech będzie łaskaw przesłać je do kapitana administracyi. D. 12 kwietnia 1852 r.“ Następnego lata przeszło bez upałów, wskutek czego lody nie tajały; 20 sierpnia było 15 stopni mrozu. Nastąpiła trzecia zima, a z nią temperatura 42 stopni poniżej zera. I wiosna nie przyniosła żadnego polepszenia, żadnej pomocy. „Nagle, 6 kwietnia,

widzimy ukazujący się niespodziewanie punkcik czarny od strony północnej. Zdawał się raczej toczyć, niż biedz po lodzie. Przygotowaliśmy się na jakieś spotkanie i ujrzelśmy potem ręce poruszające się w powietrzu, usłyszeliśmy krzyki. „Kto jesteście? Skąd przybywacie?” zaczęliśmy wołać także w prawdziwym szale... Zbliżyło się nasze zbawienie; odnaleziono nasze pismo, aczkolwiek leżało o tysiąc mil zdala od siedziby ludzkiej!

Mniej szczęśliwie powiodło się listom, pozostawionym przez biednego Franklina. Zagiął bez wieści w r. 1845, a na ślady jego natrafić się udało dopiero w roku 1859, czyli wtedy, gdy już nie żył dawno. Jeden kałrń zniszczyły niedźwiedzie, a po części Eskimosi; dwie butelki, które w nim leżały, były stłuczone, a z listów został tylko kawałek papieru żółtkłego z jakimś pismem niewyraźnym, wytartym. W drugim kałrnie był list pisany na pergaminie i zamknięty w blaszanym pudełku; stwierdził, że dnia 8-go maja 1845 r. wszystko szło dobrze. Trzeci wreszcie list zaznaczył, że dnia 12-go września 1846 r.

lody uwięziły wyprawę. Ubiegło tedy lat trzynaście od czasu napisania tego listu. Ile przez ten czas wyprawa przeżyła chwil wstrząsających, okropnych rozpacz, powolnego konania! A jednak dzieje poczty znają wypadki jeszcze straszliwsze; są bowiem listy, które piszą ludzie, pozbawieni nawet ostatniej iskry nadziei.

Pocztą rozbitków.

Istnieje naprawdę skrzynka pocztowa dla ludzi umierających; jest nią butelka morska. Okręt żegluj na pełnym oceanie; burza łamie raptownie maszty, porwya ster okrętu. W nieszczęśliwych rozbitkach budzi się myśl ostatnia: chcą uwiadomić tych, których nie zobaczą już nigdy, jak, gdzie i kiedy zginęli. Kapitan zapisuje na papierze wypadki, które spowodowały nieszczęście; gdy miał spełnić posłannictwo naukowe, zaznacza pożyteczne spostrzeżenia, jakie zdołał zebrać, poczem wkłada cenny papier do butelki, zapieczętowaną ją i puszcza na morze.

Za pomocą takiej butelki świat otrzymał jedyne wiadomości istotne o Szwedzie André, nierozważnej ofierze bieguna północnego, który

on chciał odkryć w wycieczce balonem. Odjechawszy dnia 11-go lipca 1897 r. popołudniu, wieczorem tegoż dnia wrzucił do morza butelkę z listem takiej treści:

„Butelka No. 7. Butelkę tę wyrzucił balon Andréego dnia 11-go lipca o godzinie 10-ej minut 55 wieczór, na 82 stopniu szerokości geograficznej północy i 25 stopniu szerokości wschodniej. Zeglujemy na wysokości 600 metrów. W balonie wszystko idzie dobrze. Podpisano: André, Steindberg, Fränkel.”

Butelkę znaleziono na północnym wybrzeżu Islandyi dnia 14-go maja 1899 r.

Wreszcie po upływie czterech miesięcy rybacy norwescy pochycili wielką butlę, którą André rzucił zapewne, będąc już blisko bieguna. Sądzono, że tajemnica bieguna kryje się w tej butelce, uszkodzonej od uderzeń bałwanów i lodowców. Niestety! Butla była próżna. A będzie ona może ostatnim szczątkiem po rozbitkach.



W Norwegii. Pocztylion letnią porą.

Przygody poczty francuskiej.

Przewóz listów przedstawia nawet w Europie niesłychane trudności. Na 350 milionów kilometrów, które obsługuje tutaj mniej więcej kolej żelazna, zostaje dla służby pocztowej 150 milionów, dla pocztylionów pieszych, a prawie 200 milionów wymaga jeszcze gońców konnych, lub odbywających służbę na wozach. Dzieje się tak między innymi w Owernii, prowincji Francji południowej. Na dworcu kolejowym Saint-Flour stoi szereg wózków pomalowanych na żółto,

których konie mają przy dyszlach dzwonki. Oczekują codziennie nadejścia pociągu z Paryża. Pocztylioni odbierają torby zapieczętowane, dla nich przeznaczone i trzaskając z bicia, puszczaają się w drogę przez góry i doliny, bez względu na porę roku. W zimie, gdy śnieg pokrywa wysokie płaskowzgórza, po których droga prowadzi, pocztylioni muszą często porzucać wózki i odbywać dalszą podróż konno. Tylko wysokie słupy granitowe, sterczące z pod śniegu, wskazują drogę, której należy się trzymać, by nie zabłądzić po tych pustyniach, będących wówczas równie bezludnymi i strasznymi, jak stepy syberyjskie. Miejscami urządzono dla nich stacyjki pomocnicze, gdzie z nastaniem

nocy odzywa się co pięć minut dzwon stacyjny, który nazywają: Dzwonem zatraconych. Zdarza się bowiem, niestety, że podczas wichury, która oślepia i ogłusza jeźdźców i konie, obaj o dwa kroki od takiej stacji, padają i nie wstają już więcej. Dopiero kilka lat temu odbył się taki dramat między Espalion a Saint-Flour, w górach Aubrac. Człowiek ze stacji pomocniczej znalazł nazajutrz rano po burzy zwłoki pocztyliona i jego konia o kilka metrów zaledwie od swego domku. Trupy były nawpół zagrzebane pod całunem śniegu zmarznętego.

Na górach skalistych departamentu Lozère, pocztyliona oczekuje inne niebezpieczeństwo. W żadnej prowincyi francuskiej nie uderza tyle piorunów podczas burzy, ile tutaj, gdzie one przecięciowo zabijają jednego człowieka na 1,300 mieszkańców. Na miejscu, gdzie pada rażony piorunem nieszczęśliwy pocztylion, wznoszą małą piramidę z krzyżem na szczycie, mającym taki napis skromny: Tu spoczywa X***, pocztylion, rażony piorunem.

W Pirenejach wschodnich pełni jeszcze służbę pocztową ogromny dyliżans, idący do Hiszpanii. Posuwa się powoli w górę całemi godzinami, dochodząc do 2,000 metrów wysokości; przechodzi zaś w ten sposób od temperatury upalnej stopniowo do zimnej, jaka panuje zwykle na wysokich szczytach. Wyjeżdżając, ludzie i konie nie mogą się wlec z powodu skwaru przysnigającego, później zaś drżą od zimna. W takich warunkach następuje niekiedy kongestia (uderzenie krwi do głowy), pocztylion pada pod koła wozu, który go miażdży.

Nawet dzikie biuro pocztowe w cieśninie Magielańskiej ma we Francji podobną przedstawicielkę. Jest to poczta, urządzona w stronach morskich krańcowej Bretanii, niemniej przerażająca. Tutaj znajdują się istotnie straszliwe dwie wyspy: Ouessant, wyspa Trwogi i Sein, wyspa Śmierci. Trzy razy tygodniowo, jeżeli pogoda na to pozwala, pocztylion na łódce udaje się do każdej z nich wśród raf o kantach ostrych. Często bywa, że podczas odjazdu pogoda jest piękna, a nagle burza się zrywa straszna. Chcąc się wówczas dostać do Ouessant, pocztylion napróżno krąży koło jego skał urwistych, granitowych, bo nie może wylądować; musi więc wracać, nie nie załatwi-

szy. Dobrze jeszcze temu pocztylionowi z Ouessant, który ma do rozporządzenia stateczek parowy. Natomiast pocztylion z Sein musi się zadowolnić czółnem żaglowem. Jest on jednocześnie majtkiem, żeglarzem, pocztylionem i... piekarzem, bo wraz z listami przywozi mieszkańcom tej wyspy chleb powszechni gdyż tam się nie nie piecze.

Wiele jeszcze obrazów malowniczych spotyka się na różnych pocztach francuskich, poczynawszy od pocztyliona alpejskiego, zaopatrzonego, jak pocztylion norweski, w szerokie „rakiety“ (łyżwy do chodzenia po śniegu), — do pocztyliona z departamentu wandejskiego; ten ostatni trzyma kij długi, niepozwalający mu utknąć w bagniskach, a skończywszy wreszcie na pocztylionie z Landes, który chodzi na ogromnych szczydlach.

A za tyle trudów i niebezpieczeństw ci niezmordowani ludzie pracy i obowiązku jakąż pobierają zapłatę? Do niedawna jeszcze otrzymywał po 7 centimów (około 3 kopiejki) od kilometra, lub też po przeszło 2 franki (1,60 mk.) za przeciętną dniówkę 30-o kilometrową, czyli nie całe 800 franków (640 mk.) rocznie. Przed trzema laty podwyższono im nieco pensję we Francji. Pobierają teraz stałą zapłatę roczną, wahającą się między 700 a 1,500 franków.

Jak widzieliśmy, cały postęp nowoczesny nie mógł usunąć przeszkód, jakie napotyka praca, pozornie tak nieznaczna, jak przewóz listów. Zdaje się bowiem, że

nie łatwiejszego i prostszego, jak list zaadresować i wrzucić do skrzynki, a już dojdzie do miejsca przeznaczenia. Tymczasem ta skromna czynność społeczna ma jeszcze dotąd swoich bohaterów i zabiera corocznie wiele ofiar.

Poczta w dawnej Polsce.

Najdawniejszy ślad poczty w Polsce spotykamy za panowania Bolesława Chrobrego, który postanowił, żeby wszystkie miasta dawały konie lub ludzi pieszych do rozwożenia poleceń władzy. Pod następcami jego rozciągnięto te obowiązki pod nazwiskiem podwód i na wsie, za wynagrodzeniem pieniężnem. Stałe urządzenie podwód nastąpiło za Zygmunta Augusta (w roku 1564), który utrzymywał także własnym kosztem pocztę zagraniczną, szczegó-



Pocztylion japoński.



Pocztą w Natalu. Pocztylion-krajowiec.

niej z krajami włoskimi. Stefan Batory w r. 1583 nadał przywilej na pocztę zagraniczną Sebastianowi Montelupi; w jego rękach została odtąd bez przerwy, a spadkobiercy mieli ją jeszcze za panowania Jana Kazimierza.

Zygmunt III wszystkie dochody z podwód przeznaczył na urządzenie poczt w Koronie i na Litwie w 1620 r., ustanowił dozór, zaprowadził administrację i przepisał porządek, aby miasta główne odbierały co tydzień wszelkie zawiadomienia i listy. Przepisy te uzupełnili synowie jego: Władysław IV w r. 1647 i Jan Kazimierz w r. 1659. Jan III Sobieski w latach 1677 i 1678 rozwinął więcej w szczególności prawa i obowiązki poczty w całym państwie, a August II wstąpiwszy na tron, rozszerzył zakres jej działania. Lecz wojna szwedzka w r. 1702 wszystko to zniszczyła; wznowił wprawdzie zakłady pocztowe August III, właściwie jednak dopiero Stanisław August zaprowadził pewien ład i porządek pod tym względem, ustawami 1766 i 1777 roku, dokładając wszelako z własnych funduszy na utrzymanie poczty.

Za rządu pruskiego zaprowadzone zostały pierwszy raz sztafety, ekstrapoczty, kurjery i listowi w roku 1796, a za księstwa Warszawskiego powstały dylżanse w r. 1808, przynosząc znaczny dochód skarbowi.

Podług ustaw polskich nie wolno było zabierać koni bez listu podwodnego, oznaczającego opłatę od każdego konia, wozu i przewodnika. Zabroniono wymijać odmian podwodnych (stacyi) pod karą zapłacenia podwójnej szkody.

Podwozy rozwoziły po kraju osoby i listy urzędowe. Do prywatnych korespondencji mogli panowie utrzymywać posłańców konnych, którzy z nadzwyczajną szybkością rozwozili listy. Pomiędzy Wilnem a Warszawą, oraz Krakowem była już w r. 1583 stała poczta, która przychodziła co dni dziesięć. Później urządzono trakty stałe z Grodna do Lublina i po całej Rosji. Wszystkie poczty wewnątrz kraju musieli odbywać pocztylioni, konno nie pieszo.

Stanisław August szeregiem przepisów zapewnił wygodę dla podróżnych, ustanowił także od listów i koni. Kazał drukować instrukcje, polecił wydawać kwity za wszelkie opłaty. Domy pocztowe uwolnił od wszelkich kwaterek i załóg żołnierskich, zabezpieczył od gwałtów; jadącym kazał przed pocztą ustępować z drogi, mosty i drogi utrzymywał w dobrym stanie. Poczta przychodziła codziennie z wyjątkiem czwartków i niedziel, odchodziła cztery razy tygodniowo: w poniedziałek, środę, czwartek i sobotę.

Pierwsze skrzynki pocztowe zawieszono w Warszawie w r. 1806: na ulicy Długiej przy domu Elerta, na Senatorskiej w domu Blanka, oraz na Nowym Świecie. W r. 1815 powiększono liczbę poczt; dwa razy na tydzień, w środę i niedzielę, zaczęła odchodzić poczta wozowa do Berlina na Poznań. Przy traktach, mających drogę brukowaną, stały wygodne domy pocztowe dla podróżnych. Przepisano mundur i znaki dla poczty i założono szkołę dla pocztylionów, gdzie się uczyli jazdy konnej i gry na trąbce.

W r. 1829 pierwszy raz zaczęła odchodzić karetka kurierska do Kaliszy i Słupcy, początkowo tylko raz na tydzień, co wtorek, a następnie codziennie.

➤ Pod bukiem Najświętszej Panny Maryi. ➤

Sasiad Rupert był dobrym robotnikiem, ale za to miał w sobie coś ponurego. Z tego powodu o ile chętnie brano go do roboty, o tyle go unikano w stosunkach sąsiedzkich, a on sam unikał również

ludzi. Nawet Boga niepochwalił, przechodząc przed figurą Męki Pańskiej, pacierza w domu nie odmawiał, a do kościoła nigdy nie chodził. Kiedy jego nabożna żona Regina namawiała go do spełniania obowiązków religijnych, już

dla tego samego, aby dawał dobry przykład swemu dziesięcioletniemu synowi Adamowi, odpowiadał Rupert:

— Nie bluźnię Bogu, nie mówię nic złego o Kościele ni o księżach, nie ganię też nikogo. Jestem prawym w obejściu, trzeźwym, oszczędnym i pilnym, więcej może jeszcze od wielu, którzy chodzą często do kościoła.

Żonę swoją i syna kochał z całego serca. Pilnował też, aby syn chodził regularnie do kościoła i do szkoły, karek, jak syn co złego zrobił, w ogóle spełniał obowiązki rodzica z całą sumiennością.

Pewnego dnia zawołano Ruperta od roboty do domu. Przeląkł się biedny ojciec, kiedy zobaczył swoje dziecko w łóżku. Ze łzami w oczach opowiadała Regina, iż Adama znaleziono okrwawionego w pobliskim lesie pod bukiem P. Maryi i bezprzytomnego przyniesiono do domu. Natychmiast posłała po doktora.

— Pod bukiem P. Maryi! — powtórzył Rupert z głuchym jękiem, a bledność pokryła jego oblicze.

— Nie gniewaj się, ojczulku — błagał Adaś słabym głosem. — Matka posłała mnie do sąsiedniej wioski, a kiedy już był w drodze z powrotem i znajdowałem się w lesie, spostrzegli mnie dwaj chłopcy, Henryk i Aleksander, którzy są dla mnie bardzo złośliwi. Ponieważ są silniejsi odemnie, boję się ich bardzo, dla tego poczałem przed nimi uciekać, przyczem potknąłem się o korzeń buku Panny Maryi, upadłem i zraniłem się w głowę.

— Pod bukiem P. Maryi! — powtórzył jeszcze raz głucho strapiiony ojciec, a ciało jego przeszły dreszcze.

Nadszedł nareszcie lekarz, mieszkający w tej samej miejscowości, zbadał stan chorego chłopca, oświadczył, iż nie ma żadnego niebezpieczeństwa i zapisał stósowne lekarstwo.

Po odejściu lekarza podprowadził Rupert żonę swoją do okna i rzekł do niej wzruszonym głosem:

— Poślubiłem cię z dalekich stron. Czy wiesz co o wypadku, jaki się wydarzył przed wielu laty przy buku P. Maryi?

— Tak jest, — odpowiedziała zapytana — głęboko w drzewie znajduje się obrazek w ramce, przedstawiający Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus. Właśnie Dzieciątko Jezus uszkodzone zostało kamieniem, a nawet podobno pożgane nożem.

— Ja jestem tym łotrem, który się dopuścił tak ciężkiej zbrodni! — zawołał Rupert z rozpaczą — wtedy byłem jeszcze zarozumiałym młokosem. Ludzka sprawiedliwość mnie nie dosięgła, lecz tem straszniej dotknęła mnie ręka Boża. Przeszło dwadzieścia lat dręczą mnie wyrzuty sumienia i nie dają spokoju. Nie mogę przejść obok buku P. Maryi, ani

bywać w kościele na nabożeństwie. Na widok obrazu świętego lub też przy pogadance religijnej treści burzy się we mnie krew, a myśl o spowiedzi i Komunii św. jest prawdziwą męczarnią dla mego zboląłego serca. Teraz zabija P. Marya moje dziecko, ponieważ w bluźnierczym zamiarze znieważyłem Ją i Jej Dzieciątko. Jam jest więc zabójcą własnego dziecka!

— Królowa niebios nie odmawia łaski i wstawienia się do tronu Najwyższego za grzesznikiem, który żałuje za grzechy i ma silną wolę poprawy, — pocieszała Regina zrozpaczonego męża.

— Dla mnie nie ma litości, ja już nie mogę się modlić — odezwał się Rupert.

Obawa nieszczęśliwego ojca o życie drogiego mu synka zdawała się ziścić. Stan chorego tak się nagle pogorszył, że Rupert co żywo pobiegł po lekarza. Nie zastał go jednak w domu, ponieważ lekarz wyjechał do chorego w sąsiedniej wiosce i mógł powrócić dopiero za kilka godzin. Powróciwszy do domu zastał nieszczęśliwy ojciec dziecko w gorączce, a matkę modlącą się na kolanach przy łóżku.

— Adam jest dla nas straconym, — rzekła zapłakana Regina — chyba Pan Bóg ulituje się nad nami i cud uczyni.

— Chyba Pan Bóg ulituje się nad nami, — powtórzył Rupert, zamyślając się głęboko, a następnie uchwycił rękę małżonki i rzekł:

— Ja idę do lasu, tam rzucę się na kolana przed wizerunkiem N. P. Maryi i błagać będę o przebaczenie.

— Rupercie, przecież to noc — zauważyła Regina.

— Wszakże to piękna noc letnia — odparł mąż — ale chociażby była i największa burza lub mróz trzaskający, poszedłbym, gdyż tu chodzi o życie mego drogiego dziecka!

Po tych słowach wypadł z domu, a doszedłszy do lasu, rzucił się na kolana przed bukiem P. Maryi. Ze łzami w oczach modlił się gorąco:

— O Jezul! zmiłuj się nademną i przebacz obrazę, jaką wyrządziłem Tobie i Twej Najświętszej Matce, kalecząc Twój wizerunek i prowadząc grzeszne życie. Przyrzekam Ci poprawę, stanę się innym człowiekiem i wiernym chrześcianinem. O Maryo! wstaw się za mną niegodnym grzesznikiem do Boga i do Syna Twego, ubłagaj dla mnie przebaczenie grzechów, siłę i wytrwałość w mem przedsięwzięciu poprawy, uprosz również życie i zdrowie mego kochanego syna!

Pokrzepiony na duchu powstał Rupert i powrócił do domu, gdzie mu powiedziała żona, że Adaś zasnął, co go niezawodnie pokrzepi.

Ojciec pochylił się nad swoim ulubieńcem i słuchał regularnego oddechu.

— Królowa niebios nie odmawia swego orędownictwa skruszonemu grzesznikowi — mó-

wił Rupert wzruszonym głosem. — Marya pomogła memu zboląlemu sercu, a teraz poddaje się woli Stwórcy i Pana. Jeżeli Adaś wyzdrowieje, dzięki Ci o Boże i Ojczel! Jeżeli dziecko nasze umrze: Bóg dał, Bóg wziął! Imię Jego niech będzie chwalone na wieki!

— Amen! — dodała Regina, wznosząc w niebo załzawione oczy.

Kiedy lekarz przybył, oświadczył, iż u Adasia wszelkie niebezpieczeństwo minęło i wkrótce wyzdrowieje. Tym razem sprawdziła się zapowiedź lekarza ku wielkiej radości stroskanych rodziców.

Jakże się atoli zadziwili sąsiedzi, kiedy następną niedzielę ujrzeli Ruperta przy kon-

fesyonalne, a następnie przyjmującego Przenajświętszy Sakrament. Odtąd też regularnie nie tylko w niedziele i święta, ale i w dnie powszednie chodził do kościoła, co miesiąc przystępował do Stołu Pańskiego, a w obejściu z ludźmi zupełnie się zmienił. Nie był to już dawniejszy odludek, lecz przeciwnie odzyskał humor, był rozmowny i uprzejmy dla każdego.

Najczęściej spotykali go kłęczącego pod bukiem P. Maryi w lesie. Zapytany o powód tak nagłej zmiany, odpowiadał skromnie:

— Dzieciatko Jezus i Jego Matka Przenajświętsza uratowali dziecko moje od śmierci, duszę moją od wiecznego potępienia, jakże nie mam im za te wszystkie łaski dziękować!

PRZECIWNKO PIJAŃSTWU.

Zarówno wódce, jak i piwu przypisujemy własności pożywne. Tymczasem ani jedno ani drugie bynajmniej takich własności nie posiada.

Szklanka czyli kufel najsilniejszego piwa zagranicznego, za które płacimy po 15—30 fen., zawiera w sobie tyle części pożywnych, ile kawałek sera za 2 fen.

Ożywienie i podniecenie sił żywotnych, jakie uczuwamy po użyciu napoju alkoholowych (piwo też zawiera w sobie pewną część spirytusu), nie polega na przyroście siły żywotnej, tylko na sztucznym podnieceniu. Wogóle ci, którzy spijają napoje alkoholowe, przy pracy są niewytrzymałymi i nie wykonują jej z radością; do chorób są także więcej skłonnymi i umierają przeciętnie wcześniej, niż wstrzemięźliwi. Władze wojskowe w Ameryce północnej, Anglii i Niemczech czyniły rozmaite spostrzeżenia i przyszły do przekonania, że żołnierze tak na wojnie, jak w czasie pokoju, we wszelkich strefach wśród upałów, zimna, śloty i śnieżyce, wytrzymałymi są na największe trudy i marsze, i to wtedy najwięcej, gdy im się weale alkoholowych napoju nie daje. To samo doświadczenie zrobiono przy wyprawach do bieguna północnego; majtkowie na okrętach teraz już nie otrzymują ani kropli trunków wyśkokowych.

Napój alkoholowy tak samo nie rozgrzewa, jak nie pożywia człowieka; przeciwnie zmniejsza on ciepło w ciele ludzkim. Tak, jak znieczuła znużenie, tak też czyni ciało nieczułem na uczucia zimna. Z tego powodu większa część ludzi, którym odjęto członki zmarzłe, nie czuło po napiciu się wódki, że ich ciało drętwiało z mrozu; było to tylko chwilowe ubezwładnienie uczucia zimna, a oni mając je za istotne uczucie ciepła, zaniechali

środków ochronnych przed zmarznięciem członków.

Angielski mąż stanu, Gladstone, powiedział, że za dni naszych największą plagą jest pijaństwo, które ludzkości więcej przyniosło szkody, niż wszelakie klęski: wojny, moru i głodu.

A co powiedzieć o materyalnym uszczerbku! Pijaństwo sprowadza ruinę poszczególnych rodzin, mnoży obłąkanych. Ofiary alkoholizmu zalegają szpitale i więzienia. A gdzie strata dni pracy i zarobku? Ogromne straty kraj ponosi przez pijaństwo.

Rząd zarządził środki zaradcze, utworzył monopol, wszelako w tym kierunku potrzebna jest i pomoc innych. Duchowieństwo w Poznańskim zachęca działalność do podjęcia zobowiązań wstrzemięźliwości w dniu pierwszej Komunii św., ale tu wszyscy muszą sobie podać ręce: przemysłowcy i majstrzy, obywatele i ich rządcy, a i armia powinna uczestniczyć w działalności ratunkowej.

Więcej jednak nad wpływ przełożonych, bodaj nad same zakłęcia kapłanów, oddziaływały mogły niewiasty w walce z alkoholizmem. „Gdyby wszystkie niewiasty zrozumiały obowiązki wyraźny, nie potrzebowały wypowiadać walki tej zarazie“ — pisze jeden z najpierwszych lekarzy współczesnych. — Trzeźwość żon i matek, ład domowy, uprzyjemnienie życia małżonkom staraniem i schludnem utrzymaniem własnej izdebki, zastosowaniem wszystkiego, co zacieśnia węzły rodzinnego życia, a zatrzymuje robotnika w domu, powstrzymałoby go od uczęszczania do karczmy.

Człowiek z natury nawet wstrzemięźliwy, pijąc codziennie regularnie, chociaż małą ilość wina, wódki, lub piwa, powoli przyzwyczaja się do jednego z tych płynów i to przyzwyczajenie staje się powoli tak silnem nawy-



Św. Józef z Panem Jezusem przy pracy.

knieniem, że ów człowiek nie może chęci picia pokonać w sobie, lubo sam widzi i uznaje, że mu nie służy na zdrowie. Dla tego strzeżmy się pilnie przed nawyknięciem, gdyż łatwo przy słabszem usposobieniu charakteru, przy braku panowania nad sobą, możemy się stać nałogowymi pijakami.

Nie wyklucza to wszakże, iżbyśmy zupełnie powstrzymać się mieli od picia przy nadarzonej sposobności obchodu uroczystości w rodzinie, lub życiu społecznem. Napoji alko-

holowych zupełnie zaniechać też nie trzeba, jeżeli są one skutecznym środkiem lekarskim w rozmaitych przypadkach chorobliwych, jakim ciału podlega.

Jeśli tedy, panując nad namiętnościami swemi, i pod względem picia zachowamy miarę, to rozbratu zupełnego z tymi napojami brać wcale nie potrzebujemy; lecz pamiętajmy, że im mniej trunków, tem więcej przedłużamy sobie życie. a szczęście tu na tej ziemi, o ile ono stałem nazwać można, będzie naszym udziałem.

Pożycie św. Franciszka z przyrodą.

 rajskim ogrodzie żyło jagnię w spokoju z wilkiem, bez obawy przed jastrzębiem, śpiewała sobie ptaszyna, tańczyły muszki w około pająka i żaby żyły w przyjaźni z bocianem.

Jednak posłuszne na rozkaz Boski zwierzęta woli człowieka się poddają, jelenie towarzyszą mu w pochodzie, lew i tygrys ulega jego przewadze. On daje wszystkiemu nazwę, on jest panem i królem całej przyrody.

Chwał, Adamie, Stwórcę Twego, który cie tak wielce zaszczycił. Ponad wszystkie swe stworzenia postawił ciebie, tyś odblaskiem twego Boga, który ulepiwszy cie z ziemi, chwałą i dostojnością cie otoczył. Uznaj Jego łaskę, rzuć się na twarz przed tronem Boga, wysławiaj moc Stworzyciela, bo z prochu cie powołał.

Wszehświat słaui święte rządy Boskie, Jemu ku chwale jaśnieją słońca, Jemu ku chwale gwiazd miliony przepisany wiernie pędzą torami, dla Niego wszystko żyje i oddycha; człowiecze, prochu, ty masz tej chwały być duszą, zapach twej miłości powinien razem z kadzidłem wszehświata ku Niemu się unosić.

Szczęście się zapadło, uciecha niedługo trwała, raj zawarty został wskutek grzesznego upadku. Niebo rozniewane. Wszelkie stworzeń podnosi bunt przeciw człowiekowi. Nie wolnikiem został on, który przedtem był królem. Ziemię pustoszą zdziczone zwierzęta, ze wsząd grozi choroba i śmierć. To jest skutek grzechu! Chciał równać się z Bogiem! Przeklęta ziemia!

Lecz cóż za dziwy! Czy nam drugi Adam powstał, lub czy inny jaki człowiek z grzechowego jarzma się wyrwał!

Święty Franciszek połączywszy Serafinów ogień z niewinnością, odnóśliwszy zwycięstwo nad żmiją w własnem sercu się gnieźdzącą, oczyszczony pokutą wyznał przed Bogiem swoją nicność, w miłości się z Bogiem pojednał i — odzyskał utraconą przewagę nad przyrodą.

Kroczy po błoniach ubogi prostaczek, boso, włosiennicą przyodziany, opasany powrozem, na twarzy jego odbija się blask niebieski, złote promienie otaczają czoło.

Wesoło skacząc biegną do niego jagnięta, wdzięcznie brzęcząc dolatują pszczoły, różne ptastwo kraży ponad nim i spoczywa spokojnie na ramionach jego.

Pan Jezus rozkazał uczniom swoim imię Swoje po całym świecie rozgłaszać, więc też święty Franciszek wszystkim stworzeniom słowo Boskie opowiadał. I chętnie go słuchały i z wielkiem przywiązaniem do niego się garnęły. Siostrami, braćmi je nazywał, świętą miłością ku nim pałał, bo tak jak on z łaski Boskiej żył.

Przyszedłszy razu pewnego do miasta Be-wagny, gdy piękny śpiew ptasząt usłyszał, w ten sposób się do swych towarzyszków odezwał:

„Zaczekajcie chwileczkę, aż przemową do braci ptasząt obowiązkowi memu zadość uczynię: Wy, drobne ptaszęta, powinniście waszemu Stwórcy wesołemi pieśniami się wdzięczać, że was tak bogato przyodział w różnobarwne pióra, że wam dał skrzydła tak doskonałe. Wyście z wszystkich stworzeń najzaniejsze, bo wam wolno aż do nieba się unosić, bujać po najczystszych przestrzeniach. W nocy mieszkacie w spokojnie szumiących borach, gdzie ciepłe macie gniazdeczka, w których słodko marząc nocujecie bez troski i kłopotu, gdyż Stwórca nad wami czuwa. Każdego poranku Jego dobroć i troskliwość was zdumiewa, bo nie umiejąc orać ani siać, wy-starczający macie pokarm. Za to też ku radości Boga najpiękniejsze piosenki pochwalne i dziękczynne powinniście śpiewać.“

Gdy mąż Boży tak prawił, ptaki milcząc nań patrzyły. Ale kiedy po skończonem kazaniu cichą modlitwę zmówił i je pobłogosławił, natychmiast, jakby rozumem obdarzone w obłoki uleciały i radosnym chórem potęgę

Stwórcy swego wysławiały. Ze wszystkich ptaków najbardziej polubił św. Franciszek synogarlicę. Po drodze do miasta Syeny spotkał młodzieńca niosącego parę synogarlic na targ, aby je sprzedać. Uprosił dla nich wolność i życie.

„Nie sprzedawaj,” rzekł do młodzieńca, „miłych ptasząt, które według przykazania Boskiego mają być dla nas przykładem. Matka Niepokalana wykupiła dziecię swe parą gołębi. Powierz je mojej opiece.”

Młodzieniec chętnie Świętemu gołębie razem z gniazdem oddał. Przytulając do piersi, zaniósł je do klasztoru, gdzie z wielkiem przywiązaniem do zakonników na wolności żyły.

Gdy św. Franciszek powracając z Hiszpanii do góry Alwernii się zbliżał, z wszystkich stron niezliczona liczba ptasząt na przywitanie jego się zleciała. Siadły mu na piersiach, na ramionach, na głowie, dolatywały do ust i oczu, dzióbem niby je całując, trzepotały skrzydłami i nie posiadały się z radości przybycia swego przyjaciela.

Rzekł do towarzysza swego:

„Kochany bracie, Boska wola widocznie, abysmy tu wypoczęli, gdzie ptaki mile nas w gościnę zapraszają.”

Tam gościli dłuższy czas.

W ten sposób nieustannie wzajemna przyjaźń pomiędzy św. Franciszkiem a ptastwem wzrastała.

Najmilszy z zwierząt czworonogich był św. Franciszkowi baranek.

Zbawiciel świata jak baranek dał się cierpliwie na śmierć zawiesić, na krzyżu wisząc, wszystkim, wszystkim bez wyjątku nawet katom swoim przebaczył.

Dla tego też św. Franciszek skoro koło pastwiska przechodził, zawsze trzodę pozdrowił. Owieczki zbliżając się do niego na swój sposób uszanowanie mu oddawały i bekiem o błogosławieństwo prosiły.

Razu pewnego przyniesiono do furty klasztornej jagnię. Św. Franciszek natychmiast je wpuścił, napomniawszy w łagodny sposób do porządku klasztornej i nauczył skromnego zachowania podczas służby Bożej. Baranek pojął przestroję nauczyciela, był pasterzowi swemu posłuszny i na głos dzwonka razem z braćmi do kościoła biegł. Gdy zakonnicy w pieśniach Najśw. Pannie wielbili, która nam baranka bez zmazy porodziła, natenczas kładł się przed obrazem Maryi w wielkim ołtarzu umieszczonym, a kiedy kapłan chleb w prawdziwe Ciało Zbawiciela za-

mieniony podnosząc obecnemu ludowi pokazywał, jagnię klęcząc i pokornie głowę chyląc Chrystusowi cześć oddawało.

Ptasząt, owieczek opiekunem był św. Franciszek, wilków pogromcą.

W okolicy pięknego miasta Gubio żarłoczny wilk dużo szkody wyrządził. Obywatele miasta postanowili rabusia ubić. Ale św. Franciszek tę zdobycz dla siebie wyprosił. Nie po-



Św. Franciszek z Asyżu.

mogły ani prośby ani modły, — bezbronny na odszukanie wilka wyszedł.

Co się dzieje? Wobec świętego męża zapomniawszy drapieżny wilk swej wściekłości, potulny jak owieczka do stóp św. Franciszka się przysuwa, który w te słowa do niego przemawia:

„Bracie wilku, pustoszysz okolicę, mordujesz trzodę i bydło, obywateli miasta z twej

winy cierpią niedostatek, folgując złym chuciom niweczysz boskie stworzenia. Od tej chwili zabraniam ci, abyś z rabunku żył, chociażby wileza twa natura cię do tego pędziła. Jestem przekonany, żeś się nam z tak niecenej strony jedynie wskutek głodu przedstawił, wybaczam ci, ale daj słowo, że skoro na wystarczającym pokarmie ci nie zbędzie, nigdzie się nie włamiesz.“

Wilk na znak zgody spuścił głowę, św. Franciszek podaje mu rękę:

„Dajże mi teraz zastaw, że się na moje warunki zgadzasz.“

Wilk włożył łapę w rękę Świętego na znak zawartego układu i pobiegł za nim do miasta, w którym się wiadomość o tym dziwie już była rozgłosiła.

Mieszkańcy miasta z takiej przyjaźni i z takich odwiedzin nie bardzo byli zbudowani. Więc tak się do nich św. Franciszek odezwał:

„Otóż macie wilka, ale żeby mi nikt nie śmiał mieć do niego żalu, bo dał przyrzeczenie, że od dzisiejszego dnia nikogo nie zaczepi; waszą powinnością będzie postarać się dla niego o pożywienie. Wilk dotrzymaniem słowa się odwdzięczy.“

„Zgadzamy się,“ zawołali obywatele, „twoje słowo nam wystarczy, codziennie dostanie wilk chleba i mięsa, starannie go będziemy sycić.“

Przeszło dwa lata miał wilk od obywateli miasta, posłusznych na rozkaz św. Franciszka, sute pożywienie.

Któż policzy wszystkie dziwy, przez które Pan Bóg swego sługę zaszczyca, kto znajdzie godny wyraz na miłość, która w sercu świętego Franciszka dla wszelkiego stworzenia pałała? Gdyby w jego mocy było, wydałby św. Franciszek prawo, aby w czasie Bożego Naro-

dzenia na całej kuli ziemskiej ptastwo obficie karmiono, nakazałby w tym dniu dla bydła najlepszego owsa dosypać, bo w ten dzień powinno się wszystko radować, wół w stajni, ptak w powietrzu, w ten dzień powinien się każdy żywioł weselić, bo świat ujrzał wieczne zbawienie.

Przed śmiercią swoją wyprosił św. Franciszek u papieża Honoriusza dla siebie łaskę, że mógł wziąć udział w obchodzeniu uroczystości Bożego Narodzenia w włoskiem mieście Brescyi. Tu po raz pierwszy w skalistej jaskini żłób w precudnym świetle jaśniejący wystawił. Przenajświętsze Dziecię, Józef i Najświętsza Panna, pasterze z owieczkami, wół i osioł obrazowo przedstawieni być mieli. Żłób oznaczał wielki ołtarz, na którym się Syn Boski na zbawienie ludzkości Przedwiecznemu Ojcu swemu ofiarował.

W pochodzie z pochodniami zbliżają się bracia, — wtem skowronek zanucił wesołe gloria, niezliczona liczba ptaków nad jaskinią się ulatując, wesołym śpiewem mu wtórowała, owieczki zewsząd tłumnie się cisną, zroszone kwiaty sypią perlami, wszystko spieszy, aby Dziecięciu w żłobie złożonemu bić czołem.

Św. Franciszek służył do mszy św. potem w kazaniu zaczął o dziecieciu w Betlejemie narodzonem prawić, unosił się nad nieograniczoną miłością Boga, że jedynego najmilszego syna zesłał na odkupienie świata. Bóg ubogo narodzony leży w stojni położony, na słomie, w twardym żłobie spoczywa dziecię Królewskie, Pan Zastępów, Najświętsza Matka nie ma dla Niego wygod, przepysznego pałacu, jeno gołe ściany, a służba Jego — wół i osioł. Gdzie, kóż na świecie ubożej się rodził? O dziecie, nie broń nam wstępu do stajni, abyśmy wspólnie z św. Franciszkiem hołd Ci oddali.

— NIEZAPOMINAJKI. —

Raz mały Jezus wraz z innemi dziatki
Pobiegł na łąkę wic wieniec dla Matki,
Wieczór zapadał i zgasło już słońce,
Na niebie iskier zabłysło tysiące,
Ku nim On oczy podniósł zamyślane.
„Z gwiazd dla Niej upleść pragnąłbym koronę
„Lecz to zawcześnie, pierwiej moją głowę
„Zrzną koleami gałęzie cierniowe,
„Wpierw ja powrócę Ojeze mój do Ciebie,
„Nim Ją koroną uwieńczymy w niebie
„Jeszcze zawcześnie, dziś dla mojej Matki
„Ziemskie na wianek zrywać będę kwiatki“.
Ale myśl, którą Boskie snuło Dziecię
Zrozumiał Anioł, który to na świecie
Wśród planet nocą cicho się przesuwają
I nad uśpioną ziemią słodko czuwają.

On koło każdej złocistej gwiazdeczki
Z lazuru nieba wycinał listeczki.
I przed dziecinę garść pełną ich rzucił,
Jezus tymczasem ku ziemi się zwrócił,
I ujrzał kwiatek niebieski uroczy,
Jak suknia Maryi, śliczny jak Jej oczy.
Jak Ona cichy ukryty w ustroniu,
I najpiękniejszy ze wszystkich na błoniu.
Jeden i drugi, więc wyciągnął rączki
Na czoło mu spadły włosów obrączki
I zerwał wszystkie i w cudny splótł wianek,
A potem niby bieluchny baranek,
Do dziatwy różnej przyłączył się trzody,
I zaczerpnąwszy ze strumienia wody,
Pokropił wianek, i rosą błyszczący
Podał Maryi na przeciw idącej.

Ona wraz z wieńcem uniosła swe Dziecię,
Swojego Boga, Swe wszystko — na świecie.
I przytuliła z miłością do łona,
Cała zachwytem rajskim uniesiona.
On jasną główkę wsparł na jej ramieniu:
„Matko z tych wianków, które ku uczczeniu,
„Ciebie wić będą, ja najpierwszy niosę,
„Widzisz tę na nim błyszczącą się rosę?
„To ły niedoli tych, którzy z kwiatami
„Bolesć swą złożą pod Twemi stopami.
„Pamiętaj o nich, gdy przyjdzie godzina,
„Ze inny wieniec otrzymasz od Syna,
„Pamiętaj o nich!“ I umilkł, a ona
Jeszcze słuchała w myślach zatopiona.
I biło mocno serce kochające,
A na Jej łonie, Dziecię Jesus śpiące,
Zmęczoną główkę oparło bez troski,
Więc też ostrożnie niosła ciężar Boski.
Na progu domu Józef Maryę wita:
„Z łaki Go niesiesz?“ półgłosem Ją pyta,
I wyciągając spracowane dłonie,
Odbiera od Niej i tuli na łonie
Pana wszechświata, na posłanie składa;
Wtem z ręki dziecka wianuszek wypada,
Aniół pochwycił ten dar drogocenny

I poniósł w niebo szczęściem swem promienny,
By tron swej przyszłej ozdobić Królowej
I rozsiać gwiazdy na okół Jej głowy.
Minęły wieki, a wianek od Syna,
Maryji ludzkość biedną przypomina,
Lata spędzone na ziemskim padole,
Gdy z nią dzieliła dołę i niedolę.
Minęły wieki na ziemi nad wodą,
Jasne jak niebo błyszczące pogodą,
Rosną do dzisiaj niezabudki kwiatki,
Ich to szukają dorośli i dziatki,
Bo one pełne jakiejs dziwnej siły,
Jakby głęboko w serce się patrzyły,
Więc zwią się zawsze kwiatami pamięci.
Gdy ci przyjaciel wiązkę ich poświęci,
Przyjmij je sercem wdzięcznie bez wahania,
Znak to ufności, wiary, przywiązania
On ci je daje wiedziony życzeniem,
By miłem dla cie pozostał wspomnieniem.
Abyś gdy wzrok Twój spocznie na tych kwia-
O nim pomyślał znów kiedyś po latach, [tach
Tych kwiatów cicha, tajemna wymowa
Jego ostatnie powtórzy Ci słowa.
Przed oczy duszy stawi go przytomnie
Z rzewnem pytaniem: „Czy pamiętasz o mnie?“

ŁUKASZ STEMPEL.

Gdzie dzisiaj przy ulicy Podwał*) stoi
w dziedzińcu za żelazną kratą dom
duży piętrowy, numerem 521 ozna-
czony, tam w pierwszych latach tego wieku
stały jeszcze drewniane budowle. W jednym
z tych domków i w wozowniach do niego na-
leżących mieścił się wówczas warsztat stel-
machy a następnie fabrykanta powozów, na-
zwiskiem Sperling, z Niemiec przybyłego,
który, jak zwykle wszyscy przybysze w Polsce,
w ciągu lat kilkunastu dorobił się dosyć znacz-
nego majątku.

Był on wdowcem i miał przy sobie dwie
córkę. Starsza Wilhelmina, z Niemki urodzo-
na, przybyła z nim razem z rodzinnego kraju
małą dziewczynką; druga Anusia, blisko o lat
dwadzieścia młodszą, urodziła się w Warszawie
z drugiej żony Sperlinga, Polki, którą był za-
ślubił, gdy większa zamożność dozwoliła mu
urządzić zakład rzemieślniczy na własny ra-
chunek.

Matka Anusi była córką ubogiego szlach-
cica i panną respektową na dworze jednego
wielkiego pana, któremu Sperling dostarczał
i naprawiał pojazdy; ztąd znajomość jej i mał-
żeństwo ze zbożacym fabrykantem. Z po-
wodu długiego pobytu na pańskim dworze na-

była ona pewnej ogłady i znajomości wyższego
świata, skutkiem czego, gdy została matką i
gdy córeczka jej pierwsze lata dziecinne prze-
żyła, zajęła się troskliwie jej wychowaniem
i na pensję ją posyłała, sądząc, że tym spo-
sobem świetniejszy jej los zapewni, niż prostej
żony rzemieślnika.

Lecz Bóg nie dozwolił jej doczekać tej po-
ciechy. Po kilkunastoletnim pożyciu z mę-
żem, wyłącznie swoim rzemiosłem zajętym,
dotknięta została ta dobra matka niebezpiecz-
ną chorobą i z ciężkim żalem świat ten opu-
ściła, lękając się o los szesnastoletniej Anusi,
którą musiała zostawić pod przemocą starszej
siostry, nienawidzącej nieszczęśliwej sieroty i
przewodzącej nad własnym ojcem. A miała
liczne powody do tej nienawiści. Była o 20
lat starszą i do tego brzydka, kiedy Anusia
doszła dopiero do tego młodocianego wieku,
w którym się jej wdzięki najpiękniej zaczęły
rozвивać. Była wychowana na prostą i rządzą
rzemieślniczkę, bez żadnego wyobrażenia wyż-
szych uczuć i ogłady, którą dobre wychowa-
nie nadaje; Anusia zaś odziedziczyła po matce
serce czułe i miała powierzchowność tak uj-
mującą, iż jej nikt dobrego wychowania nie
odmawiał. Nakoniec Wilhelmina była Niemką
i ewangeliczką, Anusia zaś Polką i gorliwą
katoliczką.

*) W Warszawie.

Z tego porównania wnosić można, jakie było pożycie tych dwóch córek Sperlinga po śmierci drugiej jego żony i że młodsza była ciąglą ofiarą złości i przemocy starszej. Stan ten, tyle dla Anusi dotkliwy i poniżający, pogorszył się jeszcze, gdy się wykryło, że młody i dorodny, lecz ubogi szlachcic, dworski jednego z magnatów w Warszawie zamieszkających, pokochał Anusię i o nią się ojcu oświadczył, i to w tym samym czasie, gdy starszy czeladnik Sperlinga, powodowany nadzieją, że będzie mógł po nim całą fabrykę objąć, otrzymał jego zezwolenie na poślubienie Wilhelminy, z którą dawną w nader przyjaznych zostawał stosunkach.

Nie dogadzało widokom tej drugiej pary, aby Anusia miała teraz, a nawet kiedykolwiek iść za męża, bo ich zamiarem było zmusić ją przez przykrości jej wyrządzane, aby dom ojcowski opuściła i do jakiego państwa za pannę do dworu przeszła, zapewniając przytem, iż w tym razie otrzyma od ojca pewną sumę gotową, aby się rzekła tylko reszty majątku, w fabryce będącego.

Szlachcic, który się starał o Anusię, odwiedził ją od zbytniej uległości wymaganiom siostry, dodał jej otuchy, skłonił do odwolania się do sprawiedliwości ojca, i w końcu zapewnił ją, że w każdym razie znajdzie pomoc i opiekę u pani kasztelanowej, na której dworze zostawał, gdyby przyszło do tego, aby musiała opuścić dom ojcowski.

Gdy Anusia, idąc za tą radą, zmieniła swój sposób postępowania i zamiast ślepej uległości opór wymaganiom siostry stawiać zaczęła, domysliła się ta, za czym wpływem i namową nastąpiła zmiana w usposobieniu siostry. Wyjednała zatem u ojca zakaz dla szlachcica bywania w jego domu, a dla Anusi widywania się z nim; a gdy zakazy te nie skutkowały, zleciła swemu narzeczonemu, aby jakim bądź sposobem przerwał stosunki między dwoma kochankami. Zatem poszły naprzód groźby i krzywdzące potwarze na szlachcica publicznie rzucane, następnie czatowanie na niego, gdy się do domu skradał, i rozkaz dany ludziom do fabryki należącym, aby go pochwycili i zbili. Ostrzeżony przez Anusię o zdradzieckich zamiarach swego przeciwnika, nie dał on się wszelakoż odstręczyć od tego, aby nie miał jej widywać, i tylko podwajając ostrożności, nie przychodził inaczej do domu Sperlinga, jak uzbrojony w pistolet, którego samo pokazanie powinno było według niego odstraszyć tych, coby go pokrzywdzić chcieli.

Udało mu się to rzeczywiście razy kilka, i stróże na straży w podwórzu postawieni albo udali, że go nie widzą, albo wypuścili przytrzymanego, gdy im broń zabójczą pokazał.

Rozjątrzony niewykonaniem rozkazów przez ludzi swoich, podburzony ustawicznymi wyrzutami Wilhelminy, postanowił jej narzeczony wykonać osobiście zlecenie od niej odebrane, aby się oczyścić z posądzenia o tchórzostwo, którem go ciągle trapiła. Jakoż gdy mu dano znać, że oblubieniec Anusi przybył jednego wieczora i że go czeladź otoczyła w podwórzu, nie śmiejąc go się czepić, wypadł jak zapamiętały z izby, odepchnął ludzi otaczających szlachcica, gwałtownie napadł na niego i pięścią w twarz go uderzył. Pokrzywdzony, uniesiony słuszną chęcią pomszczenia zniewagi odepchnął napastnika, dobył pistoletu i bez namysłu dał ognia, tak iż wystrzał śmiertelnie w same piersi tamtego ugodził.

Łatwo się domyslić, jakie były skutki tego nieszczęśliwego wypadku. Młodzieniec, sprawca śmierci napadającego na niego nieprzyjaciela, nie ruszył się z miejsca, dał się pochwycić, związać i do władzy odprowadzić; liczył na to, że zabójstwo w obronie własnej osoby popełnione, za zbrodnię poczytane mu nie zostanie. Liczył zaś na to tem bardziej, iż mu się zdawało, że może polegać na protekcyi moźnego pana, na którego dworze przebywał, że mu ten krzywdy wyrządzić nie dozwoli i że kara, na jaką zasłużył, ograniczy się na kilku miesiącach więzy. Nieszczęśliwy nie przewidywał tego, że świadkowie w tej sprawie słuchani, ulegając namowom mściwej Wilhelminy, przedstawia ten wypadek, jako zabójstwo rozmyślnie dokonane i że sędziowie pruscy nie będą mieli na względzie starań opiekującego się nim pana polskiego. Starania te ten tylko miały skutek, że w sądzie oddalono zarzut rozmyślnego zabójstwa i że z tego powodu skazano winowajcę nie na śmierć, lecz na kilkunastoletnie więzienie.

Od sześciu lat odsiadywał już srogą i niezasłużoną karę oblubieniec Anusi w tym ohydny gmachu, który z powodu dawnego przeznaczenia „prochownią“ zwano, a nad którego drzwiami był ten dziwny napis: „Nie miejsce, ale zbrodnia człowieka hańbi“. On właśnie czuł się zhańbionym nie przez swój występnek, lecz przez miejsce, w którym za niego pokutował. Bo miejsce to było siedliskiem zbrodniarzy, a on, popełniwszy zabójstwo w obronie honoru i osoby swojej, nie czuł się zbrodniarzem; bo nosił ubiór ohydny i musiał w nim z innymi więźniami na ulicę do roboty wychodzić i przedstawiać się tak patrzącym, którzy mogli w pamięci zachować jego rysy i wskazywać go później palcem, jako dawnego mieszkańca prochowni; bo jego nazwisko było zapisane w księdze potępieńców i tem samem na wieczną hańbę skazane. Dlatego, gdy w cierpieniach swoich zanosił modły do Boga, prosił nie o wolność, ale o śmierć; czuł bowiem, że na wol-

ności ani twarzy swojej nie mógłby pokazać, ani nazwiska wymienić.

Jedna tylko dozgonnie mu wierna Anusia przynosiła mu niekiedy słowa pociechy i nadziei i osładzała, jak mogła, przykrości jego więzienia. Owa skromna i nieśmiała dziewczyna nabrała odwagi i stanowczego zdania, skoro miłość i obowiązki wymagały po niej poświęcenia. Potrafiła ona zapoznać się i nawet zaprzyjaźnić z żoną odźwierznego więzienia i u niej czasami widywać ukochanego i dostarczać mu przedmiotów, do których używania nawykł na wolności. Ona donosiła mu, bądź ustnie, bądź na piśmie, co się działo i wykonywała jego polecenia, gdy trzeba było żądać pomocy u dawnych przyjaciół i opiekunów.

Przez nią tedy doszła naszego więźnia w jesieni r. 1806 wiadomość o spodziewanym przybyciu armii Napoleona i o mającym się organizować wojsku narodowemu.

Dnia jednego odbił się i o mury prochowni odgłos wesela i radości narodowej, który brzmiał w pieśni i w okrzykach po całym mieście; widziano z okien więzienia, jak się dawno niewidziane, a polskie mundury po ulicach snuły, jak już powołani pod ojczyście chorągwie chodzili z muzyką po mieście powoływać do służby ochotników. Nasz winowajca zadrzał z uniesienia na ten widok i na te odgłosy; odezwowało się w nim uczucie i nadzieja chwały dla niego straconej; zapragnął wolności, aby mógł pójść na wojnę po chwałę, po śmierć... i zalał się łzami, gdy mu kajdany na nogach zabrzękały...

— Jeden tylko dzień wolności, ale z karabinem w rękę na bitwie, — zawołał, rzucając się na twarde posłanie. — Nie wznosiłbym już więcej modłów do Ciebie, o Boże, bo ten dzień dałby mi śmierć, której dla świętych przykazań Twoich, Panie, sam sobie zadać nie mogę.

Nastąpiła długa chwila ponurego milczenia... rozmyślał, co czynić, jak się z murów więzienia wydobyć... i po długim namyśle postanowił zasięgnąć rady Anusi; ona tylko mo-

gła mu dodać odwagi, dopomódz i oswobodzić z niewoli... i za pośrednictwem żony odźwierznego przesłał jej tych kilka wyrazów ołówkiem na brudnym kawałeczku papieru skreślonych:

— Chcę pójść do wojska, trzeba mi to ułatwić, bo inaczej sobie życie odbiorę.

Zadrzała Anusia, przeczytawszy tę kartkę, z przerażenia z rąk ją wypuściła, a po chwili milczenia schyliła się po kartkę i rzuciła ją do ognia, jakby się obawiała wydania się tajemnicy, gdyby jej nie zniszczyła. Potem stanawszy w oknie, oparła twarz na dłoni lewej ręki, którą prawa podtrzymywała, i długo

spoglądała przed siebie na ulicę, jakby szukała rady, co czynić wypada, aby kochanemu więźniowi dopomódz. Nie była ona już oddawna w ojcowskim domu, który dla prześladowania siostry i obojętności ojca musiała opuścić, i znajdowała się właśnie u pani kasztelanowej, na której dworze był dawniej jej oblubieniec. Nie mogąc nic sama wymyślić, aby przyjść w pomoc nieszczęśliwemu przyjacielowi swemu, pobięła do pokoi pańskich z postanowieniem błagania u pani rady i pomocy.

Zastała kasztelanową w stołowej sali, zajętą jakimś żołnierzem świeżo w mundur narodowy przybranym, który właśnie kłaniał się do nóg pani, znając ją za łaskę doznana. Miał on na

sobie kurtkę seledynową z czarnymi wyłogami i czapkę czworograniastą takiegoż koloru, szablę przy boku i pistolet na temblaku do pasa przymocowanym.

— Patrzaj Anusiu, — rzekła z uśmiechem pani kasztelanowa do wchodzącej, — jaki się to piękny ułan z tego Niemca zrobił?

— Jakto z Niemca? — zapytała nieśmiało Anusia.

— A tak jest, bo przed godziną jeszcze był on w mundur pruski przystrojony i choć pocziwy nasz Mazur, ale byłby dziś jeszcze niemieckim żołnierzem, gdyby nie był drapnął z regimentu swego i nie stawiał się do swego



Lukasz Stempel puścił się w pogoń za uciekającym chorążym... (Str. 130).

państwa, na jednego z szeregowców, których z dóbr mamy dostawić. Oto widzisz, tam jeszcze leży jego mundur pruski.

To rzekłszy, wróciła pani do swoich pokoi; Anusia zaś uderzona nową myślą, która się nagle w jej głowie pojawiła, zbliżyła się do żołnierza i rzekła:

— Wszak sprzedacie ten mundur pruski, bo co wam po tem.

— A sprzedam, tylko kto co za to da, trzebać to zanieść do żyda.

— Nie potrzeba, ja go kupię — i żywo sięgnęła do skromnej sakiewki, zapłaciła parę talarów za mundur dezenterowi, a uszczęśliwiona poniosła go do pomieszkania starego kredencera, w którym największe zaufanie pokładała, i stamtąd pospieszyła do prochowni i doręczyła powiernicy swojej następujący bilet do naszego więźnia:

— Jutro o siódmej wieczorem wszystko będzie gotowe w pałacu, u kredencera Antoniego.

Nie myślał on dotąd o wylamaniu się z więzienia, bo nie widział dla siebie żadnego sposobu zasłonięcia się od hańby, gdyby z prochowni wyszedł na wolność. Wolał więc zejść ze świata zapomniany w więzieniu, jak narażić się na ciągłą obawę, aby go palcem nie wytykano jako zbrodniarza. Ale teraz, gdy się zdarzyła sposobność szukać chlubnej śmierci wśród bojów za Ojczyznę, gdy wpadł na tę myśl, iż wstępując do wojska pod zmyślonem nazwiskiem i nikomu nieznany, mógłby się wmieszać między ludzi honoru bez obawy zarzutu z ich strony i z czasem może na ich szacunek zasłużyć, a zawsze z łatwością chwalebna śmierć znaleźć, teraz, postanowił uciec z więzienia, dopełnić, choćby z narażeniem życia, tego, co w owej chwili łatwo i bez żadnego niebezpieczeństwa można było dokonać. Od chwili bowiem wyjścia wojska pruskiego, zaciągała tak zwana municypalność wszystkie warty w mieście; a ta municypalność składała się ze spokojnych mieszkańców Warszawy, żadnego wyobrażenia o obowiązkach wojskowych nie mających, po większej części starych niezdolnych do wojska, bo wszystko, co było młode i zdolne, ciągnęło pod chorągwie narodowe. Taka straż przy więzieniu zuchwałymi przestępcami napelnionem, więcej się tych obawiała, których strzedz miała, niż w nich wzbudzała obawy.

W dniu naznaczonym wyszedł nasz więzień z rana na roboty publiczne wraz z kilku towarzyszami niedoli pod strażą dwóch stróży, którzy nad wieczorem uczestwowani przez więźni w szynku, sami bez nich powrócili do prochowni. Przed siódmą stanął już dawny narzeczony Anusi w miejscu naznaczonym; w kwadrans potem przemieniony w dezentera pruskiego,

ścisnął ją po raz ostatni, zaręczając jej wdzięczność i wierność do śmierci, i w godzinę potem był już na wielkim trakcie prowadzącym od Warszawy do Łęczycy.

* * *

Wskutek położenia swego, środkującego między Warszawą, Poznaniem a Toruniem, obroną została Łęczycza za punkt zborny dla zapasów i zakładów wojennych i dla nowozaciecznych ochotników. Nadzwyczajny też ruch panował w tem mieście w grudniu 1806 roku. Obywatele okoliczni zjeżdżali się codziennie, aby się cieszyć widokiem zbierających się szeregów narodowych i wypełnić bądź osobiście, bądź przez dostawionych szeregowych nowe obowiązki względem ojczyzny. Zamożniejsi zajmowali po domach większe izby, w których mogli otwierać gościnne stoły dla uboższych braci szlachty, zaciągających się do wojska. Tam trwały nieustające, choć skromne biesiady, stamtąd rozlegały się po mieście często ponawiane okrzyki wiwatów na wielkiego Napoleona. Po ulicach uwijało się mnóstwo dopiero co przybranych wojaków, dla których spędzani krawcy żydowscy dzień i noc szyli mundury. Szlachta przechadzała się z gęstą miną po ulicach, przysłuchując się z upodobaniem szczękowi pałaszy po bruku powłóczonych. Niektórzy sadzili na koniach wśród tego zgietku, roztrącali żydów i ich stragany. Przed sklepami odbywał się nieustający jarmark, między nowo przyjętymi szeregowcami przybranymi w mundury, sprzedającymi kozuchy, sukmany i inne części odzieży, a żydami, kupującymi za bezcen te ostatnie znamiona rolniczego powołania naszych wojowników. Wśród tego zgietku ulicznego przejeżdżały z trudnością fury z sianem, ze słomą i ze zbożem, dostarczane na potrzeby wojska do magazynów. Do tego ruchu ulicznego przybywały jeszcze w południowych i wieczornych godzinach kupy ludzi, zajętych przez dzień cały kopaniem wałów około miasta, które kazano fortyfikować. Przed klasztorem księży Dominikanów stała gromada ludzi po większej części młodych, rozmaicie przybranych, a między nimi kobiety zatrwożone i płaczące. Niektórzy z nich byli smutni, bo się żegnali z matkami, żonami i narzeczonymi; inni rozochocony i ucieszeni nowem powołaniem, bo nie mieli z kim się żegnać, a przewidywali życie wolne od pracy, z widokami hulanki, nie mając nawet żadnego przeczcucia niebezpieczeństw wojennych. Z tej kupy wychodziły niekiedy okrzyki i pojedyncze zwrotki znanych śpiewek ludowych, które przerywały jednostajność ogólnego gwaru całej gromady.

Przed drzwiami refektarza dwóch szyldwachów powstrzymywało tłoczących się, a we-

wnętrz przy drzwiach stał stary żołnierz bez broni, ze stemplem w rękę, który kolejno tylko po dwóch do izby wpuszczał i oficerom siedzącym za stołem przedstawiał, aby z wejścia mogli sądzić i wyrzekać, do jakiej broni przedstawiony był zdolnym.

— Dezerter pruski! — zawołał weteran, gdy wpuścił do izby dorodnego, lecz posępnego żołnierza, w mundur pruski przybranego.

— Skąd przybywasz? — zapytał oficer — z którego pułku pruskiego?

— Z Torunia — odparł dezerter — z pułku Larina.

— Nie pierwszyś ty ztamtąd. Jak się nazywasz?

To pytanie tak proste przeraziło dezertera, lubo mógł przewidzieć, że mu je zadadzą. Zdawał się nie być przygotowanym na odpowiedź, obejrzał się za siebie, jakby czekał, aby mu kto powiedział, jak się nazywa.

— Jak się nazywasz? pytam się, — powtórzył oficer, — czy nie słyszysz? — a weteran tracił lekko stemplem po ramieniu dezertera i dodał:

— Pan kapitan pyta się, kolego, jakie twoje imię i nazwisko?

— Moje imię i nazwisko? — odrzekł zmieszany i po chwili dodał głośno, spojrzawszy na żelazny prątek, którym był dotknięty: — Łukasz Stempel.

— Łukasz Stempel — powtórzył komendant — to dobre nazwisko na piechura; zapiszcie go do 2-gu pułku piechoty.

Zapisano, dano Łukaszowi kartkę i odesłano go do oficera, który przyjmował ludzi do tego pułku. Odtąd tedy zwał się dawny nasz znajomy Łukaszem Stemplem i pod tem nazwiskiem uchodząc za byłego pruskiego żołnierza, mianowany został odrazu kapralem w drugim pułku piechoty.

Pospolite ruszenie i pułki, które się w Łęczycy uformowały, przeszły pod dowództwo generała Dąbrowskiego, który odkomenderowany był do strzeżenia brzegów Wisły, a potem miał się przyłączyć do korpusu oblegającego Gdańsk pod komendą marszałka francuskiego Lefebre. Tam mieli sposobność nowi wojownicy polscy pod przewodem dawnych dowódców z rzeczypospolitej i z legionów odbyć pierwsze szermierki i próby wartości swojej w boju i dozwolili przeczuć to, że staną kiedyś w rzędzie pierwszych żołnierzy napoleońskich.

W styczniu 1807 roku byli Polacy pierwszy raz w ogniu w potyczkach pod Stargardem, Swieciem i Bydgoszczą, a pod dowództwem generała Amilkara Kosińskiego. Następnie zaszła pod Tczewem walniejsza bitwa, w której się odznaczyli generałowie Niemojew-

ski i książę Sułkowski, tudzież pułkownicy Hanke, Dziewanowski i Wejsenhof, a wszyscy żołnierze przykładem takich dowódców ożywieni, dali tyle dowodów męstwa, iż starsi od nich żołnierze francuzcy dziwili się temu, że tak młody żołnierz mógł tyle odwagi w boju okazać.

* * *

Nasz Łukasz drugie rozpoczynał życie. Lata w więzieniu spędzone poczytywał za grobowy pobyt, z którego Bóg powołał go do nowego istnienia. Po tylu latach, w posępnych murach spędzonych, żył teraz pod jasnych niebios sklepieniem i oddychał świeżem powietrzem, nie czuł więzów ani przemocy zwierzenia, lecz ulegał jako żołnierz dowódcy i sam jako kapral w małym kółku żołnierzy przewodził i wydawał polecenia. Lubo w życiu obozowem nie dzielił wesołości towarzyszy swoich i nie zawtórował nigdy z nimi żołnierskiej piosenki i lubo rzadko kiedy uśmiech rozmarszczał jego twarz surową, był on jednak szczęśliwym; bo jego przeszłość nikomu nie była znana, a przyszłość zapowiadała albo śmierć chlubną, albo odkupienie grzechu. Nieznany pod swoim nazwiskiem nikomu, mógł śmiało i z otwartem czołem postępować między tymi nowymi dla siebie ludźmi, którzy go tylko z dobrej strony znali, którzy zwali go wprawdzie mrukiem, ale dobrym żołnierzem i pocziwym człowiekiem.

Lecz gdy nadszedł dzień pierwszej potyczki, gdy ujrzał z dala szyki nieprzyjacielskie, z którymi przyjdzie walczyć, gdy pierwsze usłyszał wystrzały: o wtenczas ocknęło się nowe uczucie w jego duszy. Póki stał w szeregu i widział, jak nieprzyjacielskie wystrzały trafiały towarzyszy broni, drżał z niecierpliwości i obawy, aby nie został trafiony, nim jeszcze broni swojej nie użyje. On, co zawsze tak gorąco pragnął śmierci, zapragnął teraz życia, aby mógł walczyć i bezkarnie swego życia nie oddać. Gdy na komendę karabin do ataku w ręce pochwycił, ścięły się dlonie konwulsyjnie o broń, zaiskrzyły się oczy, zdawało się, że złość i zemsta nim miota; i biegł naprzód, zamierzał zadać cios śmiertelny bagnietem, jakby wiedział, kogo uderzy, jakby miał przed sobą tego, co jego nieszczęścia sprawcą. Biegł z innymi w bojowym szyku, a gdy nieprzyjaciel nie wytrzymał i gdy uciekać zaczął, prześcigł Łukasz innych, na oślep puścił się w pogoń za uciekającym chorążym, powalił dościgniętego na ziemię i wyrwał mu sztandar z zemdłonej ręki. A tak szukając śmierci, spotkał się w pierwszej potyczce ze znakiem chwały, który jako dowód męstwa złożył w ręce generała swego, i zaraz na polu bitwy mianowany został sierżantem.

Odtąd nie był to już potępieniec, ale dobry żołnierz; od tej chwili powiedział sobie, że może zginąć, bo już dał męstwa dowody, ale nie śmiał jeszcze myśleć o tem, aby mógł żyć bez trapiącego wspomnienia z przeszłości.

Niedługo zdarzyła się druga sposobność odznaczenia się, a tem samem pokrzepienia ducha i nabrania większej ufności w sobie samym. W końcu marca zrobili Prusacy wycieczkę z fortecy. Marszałek Lefebre obecny przy wojsku polskiem, w chwili samego ataku stanął osobiście na czele batalionu 2-go pułku piechoty, poszedł z nim na baterię nieprzyjacielską, widział, jak polscy żołnierze ją zdobyli, i zauważył jednego sierżanta polskiego, który stanawszy u dział nieprzyjacielskich, powalił kanoniera w chwili, gdy lont zakładał. Po wzięciu baterii, po odwołaniu nieprzyjaciół zawołał adjutanta i rzekł do niego:

— Jak się nazywa ten sierżant, który pierwszy znalazł się przy armatach?

A gdy Łukasz stanął przed nim w postawie wojskowej, zbliżył się marszałek do niego, lekko uderzył po ramieniu i rzekł:

— Nie zapomnę o tobie, mój zuchu.

Po złożeniu Napoleoniowi raportu o odznaczeniu się Polaków w kilku potyczkach pod Gdańskiem, przysłał cesarz krzyże legii honorowej, nie tylko dla dowódców i oficerów, ale i dla żołnierzy; otrzymali je jeden żołnierz prosty, jeden kapral i trzech sierżantów, a jednym z tych ostatnich był Łukasz Stempel.

* * *

Od tej chwili przemogło w nim uczucie godności człowieka, do której niezaprzeczonego nabył prawa, nad upokarzającym poniżeniem, do którego doszedł dawniej niezasłużenie. Jeżeli dotąd był przejęty nienawiścią ku ludziom dla tego, że go na to poniżenie skazali, zaczął odtąd poważać i kochać tych, którzy wynieśli go aż do zachości. Nie szukał już śmierci, aby z życiem dawną zagrzebać sromotę; lecz narażał się na śmierć w boju, bo widział w tem sposób wzniesienia się jeszcze wyżej, lub odkupienia pamięcią chwały dawnej sromoty. To

go tylko bolało, że szacunek towarzyszy broni i zaszczyty pod zmyślonem otrzymywał nazwiskiem, i byłby może zdjął z siebie tę klątwę, gdyby nie zdarzenie, które mu odwagę do tego odebrało.

W noc pochmurną i zimną stał on z kilku żołnierzami na straży w pewnem oddaleniu do obozu polskiego. Ogień na ziemi rozłożony oświecał niewielki okrąg stojących żołnierzy koło ogniska; jeden tylko szyldwach o kilkanaście kroków na przodzie przechodził się milczący, a szczęk broni i stąpanie jego przerywało cichość zupełną tej chwili. Łukasz stał oparty o drzewo i poglądał to na ogień, to na śpiących, to na ciemną przed sobą przestrzeń; marzył o pociechach przeszłości, patrzył na ogień wesoło połyskujący, a ze smutnym wyrazem wspominał ubiegłe lata, gdy oko w ciemności nocy zapuścił.

Wtem zawołał na straży stojący:

— Kto idzie?

Zerwali się zbudzeni żołnierze, Łukasz wznosił karabin, o ziemię oparty, i zawołał:

— Do broni!

Usłyszano drugie zapytanie:

— Kto idzie? — i następnie wystrzał.

Postać jakaś mignęła się z dala, dwóch żołnierzy puściło się za uciekającym; pozostali broń odwieśli i czekali gotowi do boju. Niedługo usłyszeli krzyk przerażenia i trwogi.

— Stać! — zawołał sierżant do żołnierzy, którzy naprzód biedz chcieli — znać, że go już mają,

kiedy gwałtu krzeczy, i musi być bezbronny, bo nie strzelają.

Jakoż wkrótce przyprowadzili i stawili przed Łukaszem drżącego i na pół umarłego żyda, który się zachwiał na nogach, wysłiznął się z rąk trzymających go i padł naprzód twarzą na ziemię. Potem podniósł zwolna głowę i klęcząc, wznosił zwolna osłupiałe oczy na sierżanta. Składając błagalnie ręce, zawołał na niego po prawdziwem nazwisku i, całując go po rękach, u nóg jego się włóczył. Grom, któryby był w tej chwili przed Łukaszem uderzył, nie byłby go tak przeraził, jak niespodziane wyrzeczenie jego nazwiska przez



I klękał więzień obok koszyka, jakby chciał wybierać pomiędzy pieczywem, w rzeczywistości zaś spowiadał się, a nieustraszonego kapłana, udzieliwszy mu rozgrzeszenia (str. 138).

żyda, bo spojrzawszy na niego, przypomniał sobie odrazu, że to rozbójnik, który z nim razem siedział w prochowni. Zadrzał, bo cała przyszłość jego wydała mu się w tej chwili zagrożoną wyjawieniem nieszczęśliwej przeszłości; żyd był dla niego groźnym upiorem, którego co prędzej trzeba było z oczu oddalić. Łatwo było dokonać tego, idąc za radą żołnierzy, którzy widząc w nim szpiega, postronek szykowali i doradzali go bez sądu na gałąź wciągnąć. Żyd się czołgał po ziemi i wrzeszczał okropnie, powtarzając nazwisko Łukasza.

— Cicho — krzyknął tenże — kogo on woła? Słyszysz żydzie, ani słowa więcej, boś zginął — rzekł, i zamyślił się na chwilę; jedno jego skinienie, a upiór ten zniknął na zawsze z jego oczu — ale sumienie nie dozwalało poświęcić żyda, aby siebie ochronić. Należało go dostawić do komendy, a tam przed sądem żyd go wyjawiał. Wtem padło kilka strzałów na przednich strażach w oddaleniu!

— Co tam z żydem? — zawołał sierżant — baczność, stać w miejscu!

I gdy gotowali się do stawienia oporu nacierającemu Prusakom, porwał się żyd z ziemi i wkrótce znikł w ciemnej okolicy. Bo ta Opatrzność, która Łukasza chroniła od śmierci, i tu jeszcze od hańby ochronić go chciała.

* * *

Postępując za naszym bohaterem od chwili stawienia się w Łęczycy przed komendą wojskową i przybrania zmyślnego nazwiska do tej, w której niespodziane ukazanie się dawnego współwzięnia odwiodło go od zamiaru wrócenia do rodzinnego nazwiska, puściliśmy zupełnie w niepamięć ową pocziwą Anusię, co się tyle dla niego poświęcała i dopomogła mu wyjść na świat czynności i chwały, po którym postępował z takim powodzeniem.

Otóż owa wierna Anusia tyle właśnie cofała się w szczęściu i powodzeniu, ile jej oblubienie w swym zawodzie naprzód postępował. Ojciec jej, podlegany ciągle przez nienawidzącą ją siostrę i uwiadomiony o jej stosunkach z zabójcą narzeczonego tejże, nie chciał jej wcale widzieć i umarł, nie dawszy błogosławieństwa niesłusznie potępionej córce. Zostawił cały majątek Wilhelminie, która zaślubiła innego starszego czeladnika fabryki ojcowskiej i z nim razem ją prowadziła.

Anusia została czas niejaki w domu kasztelanowej, dawnej opiekunki Łukasza, lecz gdy nagle pozbawienie dochodów wszelkich z dóbr, obok nadzwyczajnych wydatków przez okoliczności ówczesne spowodowanych, zmusiły najmężniejszych nawet do zmienienia sposobu życia i do przeniesienia się na wieś, nie chciała ona być ciężarem dla swojej opiekunki i postanowiła objąć obowiązki, aby na siebie zara-

biać. Za poleceniem tedy dotychczasowej opiekunki swojej dostała się do przyjaciółki jej, w okolicach Wilna zamieszkałej, która jej powierzyła dozór i pierwsze wychowanie kilkuletniej córeczki. Prócz przytoczonego powodu, to jeszcze skłaniało Anusię do opuszczenia domu kasztelanowej i dawnych stron, iż coraz bardziej czuła się sierotą w Warszawie, gdzie żadnych sere przychylnych, żadnych nawet pocieszających wspomnień nie miała. Wykluczona z rodzinnego koła, miała tam nieprzyjaciół, gdzieby opiekunów znaleźć była powinna. Spotwarzona przez najbliższych krewnych z powodu stosunków z winowajcą, nie otrzymując żadnej wiadomości o tym, dla którego się poświęciła, czuła się ona prawdziwie nieszczęśliwą i pragnęła porzucić miejsce, które było świadkiem dawnego i obecnego jej nieszczęścia.

Pobyt w wielkim mieście, wśród zgłębku i hałasu, między ludźmi nieznanymi lub obojętnymi, gdzie nikt na nas nie zważa, nikt nie zapyta, co nas boli, ani się nie ulituje nad nami, pobyt taki jest gorszy od samotności.

W pierwszym roku osierocenia swego płakała Anusia często i oddawała się żalowi i tęsknocie, bo widziała i słyszała, jak ocaleni z wojny żołnierze powracali do swoich lub zgłaszali się do nich, a on nie wrócił, ani się zgłosił do niej. Odtąd rzadko kiedy płakała, ale się nigdy nie wesośliła; nie uskarżała się przed nikim, ale od nikogo nie żądała pociechy. Czytała w pierwszym roku wiadomość w gazetach o krzyżach danych pod Gdańskiem trzem sierżantom, ale nawet nie pomyślała o tem, aby jej oblubienie było jednym z tych szczęśliwych żołnierzy. Odkąd sobie powiedziała, że ponieważ dwa lata upłynęły bez żadnej od niego wiadomości, więc musiał znaleźć śmierć, której szukał, odtąd już obojętną była na wszystkie wyprawy wojenne wojska polskiego, na chwałę, którą się w boju okrywało, i na uroczystości narodowe, z tego powodu obchodzone. Ona miała tylko dwa dni uroczyste w roku, które obchodziła wysłuchaniem wśród modłów i łez mszy żałobnej przez nią zamówionej: jeden — w dzień imienin ukochanego, drugi — w rocznicę ostatniego widzenia się z nim po oswobodzeniu z więzienia. A to ją tylko martwiło, że nie wiedziała i nigdy wiedzieć nie będzie, w którym dniu obchodzić rocznicę jego zgonu.

Nadszedł rok 1812, a z nim chwila złudzenia szczęścia dla Litwy. Anusia musiała być obojętnym świadkiem tych samych uniesień i wzruszeń, jakich kilka lat wprzód zaznała w Warszawie. Wtenczas dzieliła powszechną radość, teraz otucha i szczęście innych w niej tylko smutek wzbudzały: trapiła ją bowiem myśl, że ta radość i nadzieja krajowa stała się dla niej źródłem dożgonnego

nieszczęścia; że ta wojna na wiele innych ściągnie takie nieszczęście, jakie na nią ściągnęła.

Gdy po krótkich chwilach uludy, po zadziwiającem a raczej zastraszającym powodzeniu pierwszych wypraw wojennych, nastąpiła okropna klęska, gdy owi zwycięzcy, którzy tak szybko i zuchwale naprzód postępowali, ponieśli z sobą i zagrzebali w śniegach nadzieję Polaków, wtenczas nastały w domach obywatelskich ciężki smutek w miejscu radości, litość nad losem wojowników zamiast uniesień nad ich zwycięstwami, obawa w miejscu nadziei. Anusia w ogólnej żałości znalazła dla siebie pociechę, w przekonaniu, iż jej narzeczony uszedł tych klęsk i cierpień przez chlubny zgon w czasach chwały wojennej Polaków.

Ale i w tem się pomyliła i miała się o pomyłce dowiedzieć na swą pociechę.

W końcu listopada ciągnęły po wszystkich traktach pojedyncze, nie już oddziały wojska, ale mniej lub więcej liczne kupy ludzi obdartych, zgłodniałych i przemarzniętych. Ani chaty, ani dwory nie mogły nastarczyć żywności i odzieży dla pojedynczych żołnierzy, którzy o jedno lub drugie żebrali. Cudzoziemcy nędzniejszymi i bardziej pognębnymi byli od Polaków, a im któremu w ojczyźnie bardziej niebo sprzyjało, tem się tutaj toż niebo okazywało nieprzyjaźniejszym.

Dnia pewnego wpadł służący do pokoju, w którym siedziała pani domu wraz z dziećmi i kobietami oznajmiając, że we wsi stanęła rota polskiej piechoty, znużona i przeziębła, że jednak trzyma się razem w wojennym szyku i że ma się rozłożyć na kwatery i przez resztę dnia spocząć.

— A żeby państwo wiedzieli — dodał opowiadający — jaki to tęgą oficer nimi komenderuje, jakie ma wąsy śronem pokryte, jakie krzyże aż dwa na piersiach! Prosiłem go, żeby przyszedł do dworu, ale on nie chciał, bo mówi: ja nigdy swojej kompanii nie odstępuję. Możeby państwo kogo lepszego, niż ja, do niego wysłali, bo szkoda doprawdy, żeby pan kapitan biedował się w karczmie jak prosty żołnierz.

Na to opowiadanie pani domu i wszystkie kobiety powstały, bo były wszystkie ciekawe widzieć znowu polskich żołnierzy, a pani wydała rozkazy, aby co można dostarczyć posiłku żołnierzom i oficera do dworu zaprosić. To ostatnie polecenie odebrała Anusia i niebawem udała się na wieś w towarzystwie służącego, który zwiastował przybycie żołnierzy.

W dużej izbie karczemnej, dobrze ogrzanej wielkim ogniem na kominie, leżało po ławach i na podłodze bez słomy kilkunastu żołnierzy najsłabszych z całego oddziału, zajmując się opatrzeniem ran to na pobjawisku, to wskutek odmrożenia poniesionych. Między nimi chodził ich dowódzca, to pocieszając jednych, to doradzając drugim, co czynić potrzeba, to sam opatrując słabszych. Gdy Anusia weszła do izby i spojrzała na ten obraz nędzy i cierpień, zatrzymała się mimowolnie na progu, przerażona i litością zdjęta, wahając się, czy przed spełnieniem odebranego zlecenia nie wrócić do dworu po bieliznę i środki opatrunku dla rannych, i mimowolnie wydała okrzyk zdradzający wzruszenie.

Na ten głos odwrócił się nagle kapitan, spojrzał na wchodzącą, stanął jak wryty, oczy w nią wlepił i po chwili mileżenia wrzasnął jakby w gorączkowem uniesieniu: Anusia! a ona stała w miejscu, wpatrywała się w niego, nie chcąc dowierzać oczom ani temu, że wymówił jej imię... i poglądała chwilę mileząc, czy upiór czy żywy stoi przed nią. Nakoniec wydała okrzyk przeraźliwy, taki, jaki tylko

przepelnienie miary rozpacz lub radości z piersi kobiecej wydać może, i padła bez zmysłów w ręce służącego. Gdy po chwili ocuciła się z zemdlenia, znalazła się w objęciach tego, którego śmierć opłakiwała od lat sześciu.

Jeszcze 20 lat później żył w tej samej okolicy szlachcic na zagrodzie, z wierną żoną swoją. Wszyscy go poważali, wszyscy uchylali czapki przed nim, gdy w niedzielę szedł do kościoła w czamarze, na której błyszczały dwa krzyże wojskowe, ale nikt nie znał prawdziwego jego nazwiska.



Wymówiwszy te słowa, przeciął odważny młodzieniec ogromnem cięciem własną swą nogę... (str. 139).

PIEKARZ W BASTYLII.

Nienawiść i złość rewolucjonistów podczas francuskiej rewolucyi w roku 1789 zwracała się głównie przeciw duchowieństwu. Skoro tylko zoczyli na ulicy księdza, natychmiast krzyczeli: „Na latarnię z nim!” i nie trwało długo, a nieszczęśliwa ofiara zawisała między niebem a ziemią. Mimo tak wielkiego niebezpieczeństwa, setki kapłanów pozostawały, jak na prawdziwych żołnierzy Chrystusowych przystało, na posterunku, aby umierających, zwłaszcza niewinnie na śmierć skazanych, zasilać na drogę do wieczności.

W tym czasie zgrozy przybywał każdego poranku do więzienia w Paryżu, zwanego „bastylią“, w którym trzymano więźniów na śmierć skazanych za wierność dla króla, piekarz w białej czapeczce i fartuchu. Towarzyszył mu zawsze chłopczyk, zaledwie 6 lat liczący. Odwach wpuszczał ich bez pytania. Piekarz, wchodząc do wielkiej sali, w której przebywały nieszczęśliwe ofiary, zalecał głośno swój towar, lecz gdy dozorca nie zwracał na niego uwagi, robił znak krzyża św.

Skoro który z więźniów to spostrzegł i zbliżył się do piekarza, w mniemaniu, że ma przed sobą dobrego katolika, wtedy szepnął mu do

ucha mniemany piekarz: „Mój synu, jestem księdzem, chcesz, możesz się wyświadczyć.“ I klękał więzień obok koszyka, jakby chciał wybierać pomiędzy pieczywem, w rzeczywistości zaś spowiadał się, a nieustraszony kapłan, udzieliwszy mu rozgrzeszenia, sięgał po kapsułkę, zawieszoną na piersi chłopczyny, a zawierającą Hostye, i podawał rozgrzeszonemu Komunię św. Naturalnie nie wszystkim szlachetny kapłan dawał się poznać, jako sługa Boży, tylko takim, o których przypuszczał, iż łakną pojednania się z Bogiem, zanim opuszczą ten padół płaczu. I tak dzień w dzień powtarzała się ta wzniosła ceremonia, mimo wielkiego niebezpieczeństwa, na jakie narażeni byli tak ksiądz, jak i chłopczyna.

Jakże nie miało to chłopię być pełnem łaski, nosząc Pana nieba i ziemi na sobie. Jakże musiała pierś młodzieniaszka, na której spoczywał Boski Zbawiciel, być przepelnioną świętymi uczuciami i nadzwyczajną bohaterską odwagą, że chłopczyna wystawił się na niebezpieczeństwo utraty życia dla zbawienia duszy bliźniego! To dziecko zostało później sławnym i z życia bogobojnego znanym biskupem w Vincennes, w północnej Ameryce, pierwszym biskupem tej dycezyi.

WSPANIAŁOMYŚLNE POŚWIĘCENIE.

Do nieszczęśliwej dla Węgrów bitwie pod Mohaczem, 29-go Sierpnia 1526 r. wojska tureckie nie znajdując prawie żadnych przeszkód z strony strwożonych krajowców, ciągnęły prosto do Budapesztu, stolicy węgierskiej.

Jedynie hrabia Lewensztyn odważył się z garstką walecznych rycerzy zwycięzcom w ich pochodzie stawiać czoło. Ale nadaremnie. Po zaciętej walce hrabia razem z giermkim swoim Andrzejem Budaczem dostał się do niewoli, rycerze zaś prawie wszyscy polegli.

Paśza turecki, renegat t. j. odszczepieniec, jeńców przed siebie stawiać rozkazał, starając się świetnymi przyrzeczeniami ich do odstępstwa od wiary Chrystusa nakłonić. A gdy mu się to nie udało, rozkazał obydwóm do jednego łańcucha przykuty w kamieniołomach do najeźźszych robót używać. Nieszczęśliwi niewolnicy przewidywali, że niezadługo im przyjdzie paść ofiarą nadludzkich wysiłków.

Hrabia Lewensztyn zjednał sobie przez łagodność i miłe obchodzenie się z swymi pod-

danymi powszechną miłość i przywiązanie. Młody giermek, panu swemu też z całej duszy uległy, rozmyślał dzień i noc nad tegoż oswobodzeniem. Hrabia bowiem widocznie na siłach upadał.

Pewnego wieczora siedzieli, całodzienną ciężką pracą znużeni obok siebie na brudnej słomie. Wspomnieniem o swej nieszczęśliwej ojeźźnie i ukochanej rodzinie wzruszony, hrabia rzewnymi łzami się zalał. Naraz spostrzegł giermek w kącie ciasnej izdebki stojący topór, prawdopodobnie przez którego z wolnych robotników zapomniany. Chciwie pochwycił narzędzie i starannie w słomie zagrzebał. Ale wszelkie usiłowania w nocy przez niego czynione, by ogniwa łańcucha, którym do siebie przykuci byli, przełamać, okazały się bezskuteczne.

— Panie hrabio, — rzekł Andrzej Budacz — (oczy jego dziwnym ogniem zabłysły) nie podobno mi dłużej być świadkiem tej waszej nędzy. Śmierć nie posiada dla mnie nic strasznego, chętnie umrę za was, ale mój zgon powinien wam przynieść wolność.

Wymówiwszy te słowa, przeciął odważny młodzieniec ogromnem cięciem własną swą nogę tuż nad pierścieniem z łańcuchem ją łączącym. Następnie z bohaterską surowością hrabiemu conajprędzej uchodzić rozkazał.

Po zwaleniu niezliczonych trudności doszedł hrabia Lewensztyn do swego grodu. Ale wspomnienie i ciąga myśl o wiernym słudze nie pozwalała mu z odzyskanej wolności należyte się cieszyć.

Pasza, dowiedziawszy się o czynie Budacza, coprędzej pobiegł do chaty, w której młodzieńca w skutek utraty krwi prawie konającego zastał. Natychmiast lekarzowi swemu

rannego jak najstaranniej pielęgnować rozkazał, hrabiego zaś ścigać nie dozwolił.

Po zupełnem wyzdrowieniu obdarzył Budacza wspaniałe, pochwalił wobec całego dworu jego wierność i poświęcenie i odesłał, przydawszy mu dla bezpieczeństwa dwóch jańczarów, do granicy swego państwa.

Na zamku Lewensztyńskim panowała nieograniczona radość, cudownem ocaleniem i powrotem giermka wywołana. Hrabia swego oswobodziciela hojnymi darami obsypał; król zaś węgierski, powiadomiony o tym bohaterskim czynie, pasował wiernego sługę rycerzem.

Ucieła noga, przyczepiona do łańcucha jest dotychczas herbem Budaczów.

Co jest czystsze od powietrza, twardsze od stali?

Olbrzymy ze szkła.

Kto widział wystawę paryską w roku 1900, ten bezwątpienia podziwiał olbrzymią, próżną w środku kulę o średnicy 1.65 metra, o zawartości 2.350 litrów, a godną uwagi zwłaszcza ze względu na lekkość niesłychaną. O ścianach przezroczystych, w których światło łamało się tysiącem barw, zdawała się ogromną bańką mydlaną, gotową



Wyroby szklane starożytnych Egipcyan.

ulecieć lada chwila w powietrze. Obok stało naczynie półkoliste, mierzące dwa metry średnicy i szyba ogromna, 8.15 m. wysokości i 4 m. szerokości, czyli o powierzchni 34 m. kwadr. Posłuszne ręce ludzkie te masy szkła zamieniają w olbrzymie cylindry, dostarczają uczonym szkieł powiększających, niezbędnych do dalekowidzów. Wtedy nietylko chodzi o wielkość, lecz dokładność i czystość wy-

robu, jaką podziwiać należy, gdyż najmniejszy pęcherzyk w masie szklanej, niedostrzegalny dla gołego oka, wystarcza do skażenia obrazu ciała niebieskiego i do wprowadzenia w błąd uczonego.

Przemysł szklany francuski nie zadawał-
nia się wyrobem olbrzymów szklanych, ale także nadaje szkłu własności kamienia i marmuru i posługuje się niem przy budowach do takich użytków, do jakich używano dawniej tych właśnie materiałów. Wyrabiają teraz cegły szklane, które układać można w prawdziwe ściany przezroczyste; kostki systemu Garcheya, wyrob twardy jak granit, o ziarnistym składzie, a wyrabiany z tłuczonego i mielonego szkła, zamienionego w masę nieprzezroczystą, nadzwyczajnej trwałości. Cegły i kostki szklane mogą służyć do budowy domów i brukowania ulic. W nowej przystani Inwalidów płyty szklane pokrywają przestrzeń 2.500 m. kw., zapewniając jednocześnie bezpieczeństwo przechodniom idącym na górę, oraz światło pracującym na dole.

Niedość tego, jak wynaleziono cement pancerny, tak stworzono też szkło pancerne przez weiskanie w masę szklaną lekkiego płótna metalowego, które powiększa dziesięciokrotnie jej wytrzymałość. Można sobie wyobrazić, jak jest bezsilny grad wobec takiego szkła pancernego, gdy zamierzono już użyć go do ochrony przeciwko kulom. Szkło jako pancerz ochronny przeciwko broni palnej!

Umiemy już tak hartować szkło, że nie ustępuje bynajmniej stali. Płyta szklana, w odpowiedni sposób przyrządzona, grubości 28 milimetrów, nie pęka pod uderzeniem ciężaru 450 kilogramów, spadającego z wysokości 6 metrów, gdy tej samej grubości płyta z żelaza lanego rozpryskuje się pod takim samym ciężarem, spadającym z wysokości 3 metrów. Niektórzy twierdzą, że wkrótce można będzie wyrabiać szklane szyny, podkłady kolejowe, zastosowane do naje cięższych pociągów oraz rury i rezerwoary do płynów pod wielkim ciśnieniem.

Trudno sobie wyobrazić jak wielkie usługi oddać mogą ludzkości nadzwyczajne własności szkła. Przypomnijmy sobie pałac szklany na wystawie paryskiej, w którym ściany, kolumny, podłogi, sufity, dachy, schody, wszystko było zrobione ze szkła. Takie użycie szkła o wiele jednak ustępuje korzyściom, jakie ono przynieść może zdrowiu ludzi. Gładka powierzchnia szkła nie utrzymuje kurzu, a może być z łatwością umyta i oczyszczona ze wszystkich zarazków i mikrobów. To też szkło w taflach powinno być wskazane do wykładania ścian i podłóg w szpitalach, łazienkach, wszędzie, gdzie zasady zdrowotne mają być zachowane.

Trzeba przytem pamiętać, że w ostatnich kilku latach przemysł szklany postąpił o wiele wyżej, aniżeli w ciągu kilkunastu wieków. Jakichże więc rzeczy w przyszłości oczekiwać możemy?

Praktyki tajemnicze. Przemysł uszlachetniający.

Sztuka wyrabiania szkła sięga głębokiej starożytności. Według podania, kupcy fenicy, wylądowawszy pewnego razu na wybrzeżu, chcieli ugotować sobie żywności. Nie mogąc znaleźć w pobliżu kamieni do ułożenia ogniska, podłożyli pod kotły bryły sody, którą wieźli na swych okrętach. Pod działaniem ognia soda roztopiona i zmieszana z piaskiem wybrzeża, ku wielkiemu zdziwieniu kupców utworzyła nieznaną im masę przezroczystą.

Było to szkło. Piasek, kamień wapienny, sól morska — oto pierwiastki, które zmielone na miazgę proszek, zmieszane i stopione tworzą masę szklaną.

W rzeczywistości Egipcjanie znali szkło o wiele wcześniej od Fenicyan. W podziemiach egipskich, w Beni-Hassan, znaleziono malowidła, sięgające 4,000 roku przed Chrystusem, na których widzimy już robotników, wydymujących szkło, za pomocą rur, zupełnie podobnych do tych, jakimi się posługują współcześni robotnicy. Później sztuka fabrykacji szkła przeszła do Byzancyum, miasta zbytku i przepychu, a gdy Byzancyum padło pod ciosami Turków, tajemnicę odziedziczyła Wenecja.

Tajemnicze pracownice na wyspie Murano, gdzie fale zagradzały drogę ciekawym, wyrabiały puhan i wazy nieporównanej piękności; stąd też pochodziły owe zwierciadła, zwane weneckimi, dostępne tylko dla monarchów i wielkich panów, a które zdumiewają nas dzisiaj drobnymi wymiarami i wysokością cen.

Jak w Egipcie, tak w Byzancyum i w Wenecji sposoby fabrykacji były te same. Przechodziły od pokolenia do pokolenia przez ciąg wieków, bez większych zmian, a mistrzowie zazdrośnie strzegli swej tajemnicy. Lubili nawet otaczać się tajemniczością i uchodzili w oczach współczesnych za rodzaj alchemików, a ich sztuka za dział cudowny, za poszukiwanie kamienia filozoficznego.

Przytem wyrób szkła nie był zwyczajnem rzemiosłem, lecz pracą uszlachetniającą; mogli się mu oddawać nawet ludzie pochodzenia szlacheckiego, nie uwłaczając swej godności.

Piers ludzka, jako główne niegdyś narzędzie pracy przy wyrobie szkła.

Przedstawmy sobie jedną ze starożytnych hut szklanych. Fabryka kryje się w głębi starego lasu. W zamkniętych pracowniach, w których panuje gorąco i mrok szary, wielkie piece buchają płomieniami. Napół nadzy ro-



Wyrób rurek szklanych.

botnicy uwijają się, jak widma, zebrane na tajemnicze czarnoksiężskie praktyki.

W piecach, pod którymi płoną olbrzymie szczapy drzewa w kotłach z gliny ogniotrwałej gotuje się płyn tajemniczy. Otwierają się drzwiczki pieca. Podechodzą majstrowie, otoczeni pomocnikami, każdy trzyma w ręku rurę żelazną długości $1\frac{1}{2}$ —2 metrów, najgłówniejsze narzędzie. Macza kilkakrotnie zaokrąglony koniec rury w roztopionem szkłem, dopóki nie nabierze dostatecznej ilości. Na końcu rury tworzy się wielka kropla płynna, grożąca co chwilę upadkiem; taka kropla, jeżeli ma służyć do wyrobu większego przedmiotu, dochodzi do 20 a nawet 30 kilogramów wagi, co razem z rurą przedstawia nielada ciężar, którym trzeba zręcznie obracać.

Nie ma ani chwili do stracenia; szkło trzeba wydymać, dopóki jest gorące i napół

kulę na dwie połowy, które za gorącą łączą się w jedną tafłę.

Praca wydymania jest bardzo ciężka, człowiek-maszyna wyczerpuje się szybko. Praca ta wymaga nie tylko wielkiej siły fizycznej, aby można obracać rurą ze szkłem, ale także niezmiernego wysiłku płuc, co przy niezdrowym powietrzu i niesłychanym gorącu szybko niszczy siły robotnika. Trzeba jednak przyznać, że robotnicy są dobrze wynagradzani; dobry majster zarobić może 12—24 marek dziennie.

Z postępem techniki zaczęto coraz więcej myśleć o zastąpieniu sił i płuc ludzkich pracą mechaniczną.

Udoskonalenia w fabrykacji szkła.

Leon Appert pierwszy powziął szczęśliwą myśl, zastąpienia pracy płuc ludzkich przy

wyrobie szkła powietrzem ściśnionem. Robotnik wprawdzie obraca i teraz rurą żelazną, zamiast jednak dmuchać w nią własnymi ustami, puszcza w nią prąd ściśnionego powietrza z rezerwoaru, połączonego z rurą żelazną węzłem gumowym. Naciskając pedał, reguluje przypływ powietrza i ciśnienie. Aparat Apperta w zupełności zastępuje płuca; robotnik może za jego pomocą w każdej chwili powiększyć lub zmniejszyć siłę pędu powietrza, albo przerywać. Dzięki temu aparatowi możemy wyrabiać olbrzymie kule szklane, o których mówiliśmy na początku. Do zrobienia takiej kuli potrzeba ciśnienia 6 kilogramów na centymetr kwadratowy, a żadne płuca ludzkie nie są

w stanie dostarczyć takiej siły. Zadziwiająca jest także czułość aparatu przy wyrobach drobnych; przy ciśnieniu 2 gramów na cent. kw. można zrobić maleńką kulę o średnicy dwóch centymetrów.

Wszędzie, gdzie pracę ludzką można zastąpić pracą mechaniczną, otrzymuje się wyrób lepszy i daleko tańszy. Dlatego huty mogą obecnie wyrabiać butelki po bardzo niskiej cenie. W samej Francji huty szklane dostarczają 250 milionów butelek do wina, jabłecznika, wódek i wód mineralnych.

Nie potrzeba także obecnie wyciągać ręcznie szkła przy wyrobie rur szklanych. Dziś rury ciągną się przy pomocy koła, obracającego się 500 razy na minutę. W ciągu godziny otrzymać można 30,000 metrów cieniutkiej rurki szklanej o otworze średnicy niedostrzegalnej.



Szlifowanie karafek.

jeszcze płynne. Robotnik przykładą wargi do grubszego końca rury, którą obraca bezustanku i dmie; kropla się wydłuża, pęcznieje jak jajko; robotnik podtrzymuje ją i opiera o pień drzewa lub pagórek ziemi. Nagle podnosi rurę po nad głowę, jajko zaokrągla się i zamienia w kulę, rosnącą coraz więcej.

A jak, zamiast kuli, zrobić rurę szklaną? Gdy robotnik nabierze na koniec rury masy szklanej, zbliża się pomocnik z rozpalonem żelazem, które przykładą do kropli; żelazo przyklepia się do szkła i wtedy każdy ciągnie w swoją stronę; szkło się wydłuża i ciągnie, jak włókno.

Aby zrobić szybę po wydmuchaniu kuli, odcina się ją od reszty masy i odwraca szybko otworem ku górze. Kula otwiera się coraz bardziej i wreszcie rozpląszcza się na krążek. Chcąc otrzymać szybę grubszą przecina się

Zamiast drzewa i węgla wprowadzono użycie gazu, który lepiej się nadaje do tej gałęzi przemysłu.

Wreszcie, zamiast topić masę szklaną w oddzielnych niedużych tyglach, co utrudniało fabrykację, zwłaszcza tafli i szyb, wprowadzono w użycie piece, zaopatrzone w ogromne kotły, w których wre całe morze szkła płynnego. Dawne tygle mogły pomieścić najwyżej 400 kilogramów masy, gdy obecne topią od razu po 20 tysięcy kilogramów. Z tego można sądzić, jak huty obecne mogą szybko fabrykować i o ile to zniża cenę wyrobu. W r. 1800 tafla szkła 4 metrów kwadrat. kosztowała 3000 tysięcy marek, dziś nie kosztuje więcej, jak 200 marek.

Anglia wyrabia milion metrów kwadratowych szkła taflowego, Francja 600 tysięcy, a Niemcy zaledwie 450 tysięcy metrów kwadratowych!

Osobliwa ceremonia. — Rzeka ognia w ciemności nocnej.

Fabrykacja szkła, stając się mniej trudną i mozolną, nie przestała jednak być bardzo ciekawym widowiskiem. Przenieśmy się myślą do wielkiej huty szklanej w chwili, gdy ma nastąpić odlanie ważnej sztuki.

Kotły napełnione odpowiednim materiałem, czyli krzemionką, mialkim, czystym piaskiem i wapnem; ciała te topią się trudno, pomimo bardzo wysokiej temperatury pieca; potem się dodaje sody. Słychać tylko trzask i dudnienie płomieni w piecach. Od czasu do czasu niebieskawe światło oświeca ciemną hallę, to robotnik otwiera okienko, znajdujące się nad drzwiczkami pieca, przez które kontroluje postęp w topieniu. W cieniu, wzdłuż ścian, na materacach śpią robotnicy.

Chwila, gdy ma się rozpocząć robota, czyli tak zwana dawniej „ceremonia“, jest rzeczywiście uroczysta.

Zaraz otworzą wielki piec. Spiający robotnicy zrywają się z pośpiechem. Przedewszystkiem rozbijają warstwę gliny, oblepiają szczelnie ujście pieca, potem otwierają zasuwę i oślepiający blask zalewa całą hallę. Wszyscy się spieszą — każda chwila jest droga. Ze wsząd znoszą najrozmaitsze narzędzia: wysokie windy, olbrzymie kleszcze, wyciągające rozwarne szczęki do płonącej czeluści, po tygle napełnione ognistym płynem. Gdy niosą je do stołu, na którym odlewa się tafle, cofamy się mimowoli, lecz robotnicy, przyzwyczajeni żyć w płomieniach, spokojnie wznoszą tygle, nachylają się i wylewają piękny mieniący się i błyszczący opalowym światłem płyn, przezroczysty i gęstawy. Na stole rozlewa się płynny obrus, po nim toczy się walec, równający jego grubość; robotnik, uzbrojony długą łopatką, zbiera z powierzchni nieczystości i szumowiny. Tafla twardnieje, potem ostrożnie wsuwają ją do otwartej otchłani drugiego pieca, gdzie przepala się powtórnie przez kilka dni. Powoli wszystko ucicha, ciemność obejmuje hallę i widzowi zdaje się, że uczestniczył w jakiej uroczystości czarodziejskiej średnich wieków.

Przez długi czas ludzie uważali szkło za materiał, najmniejszą grający rolę w życiu codziennym. Obecnie jednak można sądzić, że nastaje nowa epoka w historii przemysłu szklanego. Zastosowanie szkła w celach technicznych i przemysłowych wzrasta codziennie i być może wnuki nasze urzeczywistnią marzenia nauki i mieszkać będą w higienicznych, czystych domach szklanych.

Wiek poprzedni można było nazwać wiekiem stali; obecne stulecie może otrzymać nazwę od szkła.

CIEŻKA SŁUŻBA.

POWIASTKA Z CZASÓW ŻÓŁKIEWSKIEGO, NAPISAŁ B.....W.

I.

W Żółkwi.

omnacie ciemno. Już dawno słońce skryło się za dalekie pola, już dawno mrok ponury rozsiadł się wśród ścian wspaniałej i rozległej komnaty, a przecież nikt tu światła nie roznieci, nikt smętnej ciszy nie rozweseli.

Czyż tu pusto?

Zamek duży, rozległy i wspaniały. Komnaty idą jedno za drugimi, tu i tam drogie makaty, po-

rozwieszane po ścianach, tu i tam cenne sprzęty ustawione, a przecież, jakże tu smutno.

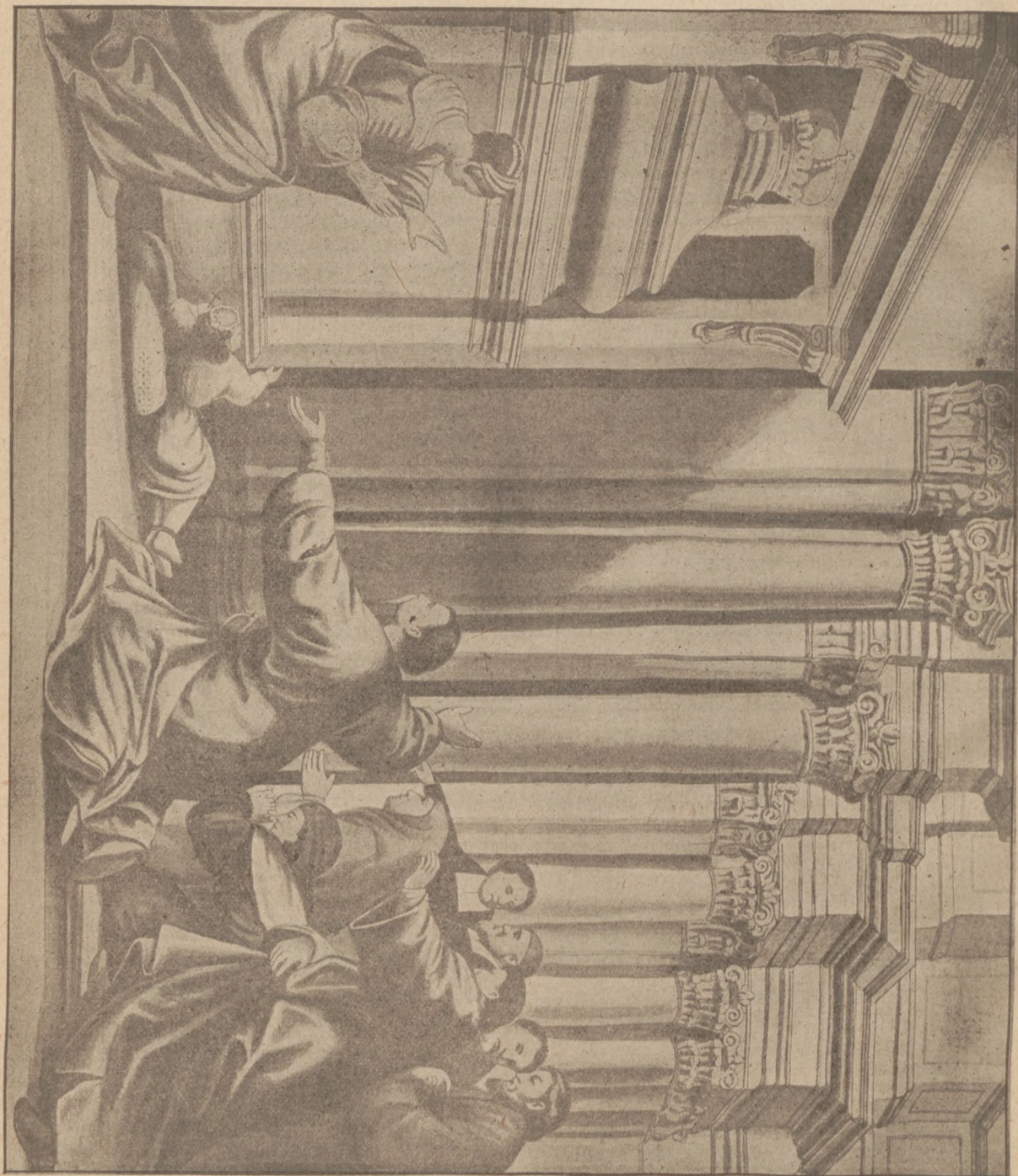
Przeszło czasu nie mało. Mrok zmienił się w ciemność zupełną. Duża komnata zdaje się jeszcze większą w tej ciemnej szacie nocy, a cisza jej napełnia duszę jakąś niewysłowioną tęsknotą.

»Mamo!...« ozwał się wreszcie szept cichy.

»Mamo!...« woła głos drugi, jakby drżący z żalu... ale nikt nie odpowiada.

Zdaje się tylko, że jakieś westchnienie odbija się niby echem od ścian.

Gud wskrzeszenia dziewczeczki przy grobie św. Kazimierza.



»Mamo!...« mówi cichy głos, »przestań się już modlić, czekamy i czekamy na ciebie, a smutno tak w ciszy i straszno w ciemności.«

»Mamo!... każ zapalić świece, nie widzimy ciebie... mów co do nas, Kasienka usnęła już przytulona do nas.«

Hetmanowa Żółkiewska powstała z klęcznika, zbliżyła się do okna, przy którym dzieci siedziały i rzecze do nich:

»Może tam właśnie bój się toczy, może właśnie ojciec wasz walczy z wrogami! Niech Bóg zesle mu swoją pomoc świętą!...«

Klasnęła w dłonie. Drzwi się otwarły, wszedł Andrzej, niosąc duże woskowe świece zapalone.

»Nie ma jakiej wieści!« pyta hetmanowa.

»Nie ma. Tylko jakiś biedny człek stanął w bramie, a prosi o przytułek.«

»Dajcie mu chleba i odzienie, niech się modli o miłosierdzie Boże nad walczącymi.«

Andrzej już odchodzi, gdy najstarsza córka poczyną prosić:

»Mamo!... niech wezmą tego biednego do zamku, może on nie ma domu.«

Andrzej przystanął i mówi:

»Jakaś biedota. Strasznie lichy odziany, a nędznie wygląda.«

»Niech go wezmą,« prosi Jan, chłopak mały, o pięknej twarzy i wejrzeniu nader miłym. Gdzież on pójdzie od nas?... Pan Kurzoński mówił, że już u nas niezadługo będzie we wszystkich komnatach pełno, bo tylu biednych mama przyjmuje, niechże i my jednego wprosimy do domu.«

»Za pomyślność wojny, w której tatuś walczy, niech on tu zostanie, niech się modli o powrót szczęśliwy,« prosi Zosia, całując matkę w rękę, a pani Hetmanowa odpowiada:

»Wprowadź go do czeladnej, jutro z nim pogadam.«

Zamknęły się drzwi za Andrzejem, a w komnacie już oświetlonej jakoś niby weselej się zdawało. Hetmanowa pochyliła się nad śpiącą Kasienką, przegarnia jej włosy nad czołem i tuli główkę najmłodszej dzieciny do serca.

Jan wpatrzonej w matkę pyta:

»Czy to wszystkie dzieci w Polsce i na Rusi tak muszą za ojcami tęsknić i czekać na ich powrót?«

»To prawda,« rzeknie Zosienka. »My naszego tatusia widzimy tylko raz na rok. I po cóż te wojny ciągle i ciągle?«

»Z tej strony Tatarzy napadają, od południa Turcy się cisną, a od północy nowi wrogowie. Ojciec wasz służy Ojczyźnie — a to służba ciężka i trudna.«

Zamyśliła się Zosienka i pyta:

»Czemuż dzieci z chat w około za ojcami nie płaczą? czemu one nie tęsknią tak jak my i ty, Mamusiu?«

»Ci, co nie idą do walki, pracują na roli na chleb i dla nas i dla siebie. Nasi broniąc Ojczy-

zny, bronią i nasze komnaty i ich chaty, nasze dzieci i ich rodziny całe, a oni pracują na wyżywienie i nasze i swoje...«

»Szczęśliwe dzieci po chatach,« przerywa Jan, ale na to im matka rzeknie poważnie:

»Widzisz, moje dziecko, ci po chatach mają życie cichsze i spokojniejsze, ale mniej w nim i sławy i zasługi... Nie można rzec, iż szczęśliwsze rodziny wieśniacze od naszych, bo one ubogie są w oświatę, — mniej mają praw i wolności — nie jeden raz są i zanedbano zimno i ostro traktowani, a to boli i... szczęścia nie daje. Wasz ojciec, ojcowie Daniłowiczów, Sobieskich, Koniecpolskich i innych znanych wam dzieci szlacheckich służą Ojczyźnie orężem, prawda, trudu mają dość i życia nie są pewni — ale oni wolni — sławę zdobywają, wdzięczność widzą w około — a ci biedni...«

W tej chwili jakiś wichur silny zahuczał, drzwi od komnaty otwarły się, luna w okna zaświeciła...

»Co to?...« wołają dzieci przerażone, Kasienka budzi się, chwytą matkę; do komnaty wbiega domownik wierny, Kurzoński, i oznajmia:

»Tatarzy są we wsiach...«

»Nieszczęście!...« jęknęła pani Żółkiewska i każe wołać do siebie dowódcę straży zamkowej, aby bramy pozamykano, wartę wzmocniono i dano pilne baczenie, czyli nie przyjdą pod mury mieszkańcy wiosek najbliższych, aby ich przyjąć do zamku i przed nie-wołą uchronić.

Noc była straszna.

Łuna pożaru biła swoim światłem, czasem wiatr donosił dzikie krzyki pohańców, czasem doleciał jęk straszny ludu ratującego się ucieczką przed niewolą.

Nazajutrz — cicho było w około, ale z wiosek najbliższych zostały tylko popioły — gdzieś tam jeszcze smuga dymu ścieliła się długą wstęgą ponad rzeką.

* * *

W tydzień potem wpada Jan do matki z okrzykiem:

»Od ojca list!«

Przybyły posłaniec wjechał w podwórzec zamkowy na koniu, okrytym kurzem i pianą. Twarz jeźdźcy oczerniała i krwią zbryzgana, odzież prawie w strzępy podarta. Wyjmuje z zanadru list, oddaje, a sam prawie omdlewa ze zmęczenia.

Pani Żółkiewska list chwytą; Jan pyta o ojca, Zosia zmęczonego żołnierza pokrzepia winem.

»Bogu dzięki niech będą!... odparli Tatarów,« mówi pani Żółkiewska, a w około żołnierza zebrane dzieci, domownicy, czeladź i mieszczanie z miasta pytają raz po raz:

»Odebrali jeńców?«

»Wygнали ich daleko?«

»Było dzieci aż trzy sta?«

»Bydła tyleż pędzili?«

»A nasz pan Hetman,« opowiada Baliński. »cały krwią zbryzgany, szabla mu z ręki nie wyjdzie, z konia nie zsiada. I bylibyśmy Tatarów nie

wygnali i bylibyśmy nie odebrali jeńców, ale wszystko zrobił przykład pana Hetmana, — rzucił się na-przód, zawołał na cały głos:

»Za krzywdę bij!...« to i każdy szedł, jakby miał ręk dziesięciuro, a szabel pięciuro...

»A jeńcy?« pyta Jan wpatrzonego w żołnierza.

»Co za płacz był z radości, gdy już byli w naszych rękach, tego nikt nie opowie; do nóg Hetmana rzucali się, błogosławili go... całowali jego szaty.«

Zółkiewska lży ociera, słuchając opowiadania, a potem rzeknie:

»Już 27 razy zwyciężył Tatarów!...«

»I dziwić się, iż my w domu tatusia nie mamy, iż nam tatuś tylko gościem drogim,« odpowie Zosia, »nie nam on ojcem, ale tym, których bronimy od niewoli — prawda?«

»Ale cieszcie się, dzieci, już przyjedzie!«

»Kiedy?«

»Na pewno nie wiadomo, ale drogą od Buczacza tu ciągnął, gdy z Tatarami walkę musiał toczyć, teraz zawita w nasze progi.

»Gdybyż najprędzej!...«

»Gdybyż dziś!...«

»Opowiadajcie jeszcze, jak było.«

Baliński chce opowiadać, ale zmęczenie mu słowa przytłumia, zdjął ciężki hełm z głowy, czoło potem złane ociera dłonią, aż Zosia powiada:

»Idźcie spocząć, idźcie... dzięki wam za dobrą nowinę, a gdy wypoczniecie, będziecie opowiadali.«

Zbliża się ku Balińskiemu, wtem koń jego ploszy się i uderza panienkę kopytem. Byłaby padła, ale chwycił ją chudemi rękami człek jakiś nędzny, w odartej odzieży. Był to ów biedak, który przed kilku dniami wszedł jako żebrak do zamku w Żółkwi. Kto on był, zkad, dokąd szedł, nikt nie wiedział.

Teraz, gdy panienkę uratował od niebezpieczeństwa, poczęto pytać między dworskimi:

»Co za jeden?«

»Kto!«

A pani hetmanowa Zółkiewska rzekła:

»Biedny!... czy trzeba pytać o więcej?...«

II.

Powrót Hetmana. — Wesele Zofii Żółkiewskiej z Wojewodą Daniłowiczem.

Życie w zamku Żółkiewskim płynęło cicho. Zawsze była tu modlitwa o szczęśliwy powrót Hetmana, zawsze była tu opieka nad biednymi i zawsze było oczekiwanie na wieści z pola bitwy, bo, jeśli nie tu, to tam, Hetmańska dłoń miecz miała wzniesiona do boju i strzegła wolności Ojczyzny.

Ale teraz, w roku 1605 w Żółkwi na zamku inaczej. Znać wielki ruch, radość i ożywienie.

Pan Hetman przyjechał już do domu przed trzema miesiącami, a jeszcze nie zaraz odjedzie. Rzecz to niesłychana, aby tak długo mógł spoczywać

W zamku rojno i ludno, nie tak jak wtedy, gdy on daleko, a matka z dziećmi sama. Na podwórzu zamkowym uwija się mnóstwo rycerzy pięknych i dziarskich. Broń połyskuje, ze krwi oczyszczona, stroje barwne i piękne oko zachwycają, a wszędzie tylko słyszeć opowiadania o bojach wygranych, o trudach poniesionych, o męstwie żołnierzy i o dzielności Hetmana, którego wszyscy kochają i sławią.

Hetman Żółkiewski, już to dziś człowiek letni. Ma lat 58. A lata te — można w większej połowie uważać za lata ciężko i mozolnie przeżyte w obozach, bojach, niewygodach i trudach.

Jednak czoło jeszcze pogodne, oczy mają blask zapалу, a ciało nie zleniwione, nie lubi wygod i spoczynku.

Z rana wczas wyszedł Hetman jak zwykle na Mszę św.; ztamtąd na wały.

Od wczesnego ranka pracują tu ludzie pilnie. Wożą ziemię, sypią wały, aby w razie najazdu nieprzyjaciół, można jeszcze lepiej się bronić. Przy pracy zajęci są i Tatarzy, którzy jako niewolnicy ziemię kopią i sypią na wały.

Idzie Hetman, rozmawiając z Kurzońskim, który tu dozoruje, a Żółkiewski mu powiada:

»Z tej strony rzeka, to dobrze, zamek bezpieczniejszy, tu mur już wykończony, tak że lepiej będzie się bronić w czasie potrzeby, tylko od północy spieszyć trzeba z robotą.«

»Co się da, to spieszmy, ale...«

»Jakie ale...«

»Ale jeńcy licha robia, a i w tej robocie to ciągle im każą spoczywać panienki obie, jak tylko z zamku wyjdą, a obaczą jeńców, dalejże prosić:

»Kurzoński!... dajcie spocząć jeńcom!«

»Jakby to niewara taka sobacza warta była spoczynku. Możeby IMC Pan Hetman miłościwie przykazał w zamku, aby tak za jeńcami nie obstawano.«

Ale Żółkiewski oparłszy swą rękę na ramieniu Kurzońskiego odpowiada z uśmiechem:

»Wiesz co?... W boju, tom ja wróg dla nich i do niewoli biorę, ale tu w domu i ja mam serce inne, jak w polu bitwy. Gdyby nie to, że za jeńców tatarskich wydostanę jeńców z Rusi i Polski, puszczałbym ja ich wolno, puszczałbym... bo i któż z nas nie wyobraża sobie, co to niewola?«

Pan Hetman spojrział z litością na wielki szereg Tatarów, pochylonych nad rydlami... Ludzie ci robili wrażenie przykre. Szpetne ich lica, niekształtne postacie, a przecież, choć i tak dla nas bezlitośni i tak wiele krzywd nam czynili, uznawaliśmy ich ludźmi i roztaczaliśmy litość nad nimi...

Zadumę ojca przerwał głos syna jedynaka:

»Pan Wojewoda Daniłowicz wjeżdża.«

I istotnie. Jechał piękny orszak żołnierzy na koniach wspaniałych, a strój jeźdźców lśnił się w świetle słonecznym tysiącem blasków.

»Jedzie pan młody,« szeptało sobie wśród ludu przy szafkach.

»Nie będzie już tu naszego anioła,« mówili inni, myśląc o tem, że panienka Zofia ztąd odjedzie, a byli i między Tatarami niejedni, którzy uradzili, iż pokłonią się panience, a poproszą, aby ich wzięła z sobą do Oleska.

Wesele ma być za tydzień.

Gości się zjeżdża ogromna chmara. Zamek w Żółkwi stroi się w wspaniałe makaty i dywany, zdobyte nie jeden raz w namiotach nieprzyjacielskich.

A panna Zofia, strojna w niebieski kontusik i białą sukienkę, choć niby wesółą, zdaje się nie wesółą, choć niby uśmiecha się, zdaje się, tęsknotę ma jakąś w sercu.

»Co ci, moja córko?« pyta matka, całując Zofię w czoło. »Wszak nie lękasz się życia? Wzrosłaś tu u mnie, jakby w zakonie, w modlitwie i twórze o życie ojca, o zwycięstwo nad wrogami. Czyż nie przywykłaś do trudów życia?...«

»Zdaje mi się,« odpowiada wpół z płaczem śliczna Zofia, »iż jakaś wielka droga przedemną się otwiera, zdaje mi się, że czeka nas coś, jakiś ból, smutek, czy ja wiem co? Ot! nie gniewajcie się, matko, za to gadanie; Bóg wszystko ma w opiece, powinnam być roztropniejsza.«

»Może być, iż masz jakieś przecucie, wszakże nie smuć się! Aha! Chciałaś, aby ten Chmielnicki jechał z tobą do Oleska?...«

»Proszę o to...«

»Zdaje się wierny i życzliwy nam człowiek, przez parę lat jest u nas, przywiązał się, ale widzisz, myślę, możeby Kurzoński był lepszy?«

»Kurzoński już tu jest wielką pomocą, gdy ojca nie ma, a ja wezmę Chmielnickiego. Od pierwszej chwili, jak tu wszedł nędzny i odarty, coś mię litością przejęło dla tego człowieka. Nikt nie wie, z kądem on, nikt nie wie, dla czego tak błakał się i tulał, nim do nas przyszedł. W zamku go nie lubią. Nie jeden raz mu dokuczali, widziałam; więc go dla tego wezmę, bo jeśli on tyle razy dowiódł swej życzliwości, ufać mu mogę. Niech się tam przytuli w Olesku taka sierota w Żółkwi przygarnięta, bo tu ich nie mało.«

Wszedł pan Daniłowicz, witając pięknie dostojną panią Hetmanową i urodną swą narzeczoną, a panna zapłoniona jak róża rękę panu Janowi podała.

W parę dni po weselu, żegnano się w Żółkwi. Córka z mężem i wiernymi domownikami, oddanymi jej przez rodziców, odjeżdżała do zamku w Olesku, a Hetman Żółkiewski ze swoimi żołnierzami już wyruszył na nowe boje.

Na ten wyjazd córki i ojca pochylały się smutno sztandary wojenne, idące przodem a pieśń »Boga Rodzica Dziewico«, płynąca z piersi rycerstwa, ruszającego w drogę, jakąś tęskną mową zęgnęła rozjeżdżających się w inne strony.

Za pocztę państwa młodych szedł także w szeregu sług i Chmielnicki, ale spoglądał raz po raz na niknącą w dali Żółkiew, jakby chciał wrócić, jakby chciał tu zostać...

Któż wie?

Gdyby był wrócił, został, nie szedł za młodą panią, możeby była Polska mniej ucierpiała, możeby się tyle krwi nie przelało później w tej ziemi, możeby to nazwisko Chmielnickiego nie stało się potem tak strasznem nawet w wspomnieniach...

Ale, dziwnie się czasem splatają rzeczy na tym świecie...

Czekajmy, co nam dalsze opowiadanie przyniesie, może Chmielnicki wróci? Może za dobre serce Zofii Żółkiewskiej okaże się niewdzięcznym?...

Pojechali!

Hetmańskie wojsko jeszcze śpiewa: »Bogiem sławiona Maryja!

U Twego Syna, Hospodyna,

Zjednaj nam, ześlij nam

Zbożny czas!«

Jeszcze widać szczyty proporców, jeszcze zdaje się łśni ślad rycerzy w promieniach słońca...

Młoda pani pożegnała Żółkiew, otarła łzy toczące się po licu, i już wszystko coraz dalej, coraz bledsze, coraz cichsze...

III.

Zwycięstwo pod Kłuszynem. — Car Dymitr Szujski wzięty do niewoli.

A w Polsce spokoju nie ma.

Ileż to walk i wrogów?

Rycerstwo prawie z konia nie zsiada, zbroi nie zdejmując, miecza nie wypuszcza z ręki.

Do innych walk i wrogów dołączyła się wojna z Moskwą, z carami, a wróg to silny i zjadły.

Król Zygmunt III z carem Szujskim stanął do wielkiej rozprawy.

I z tej i z tamtej strony wojska co nie miara. Pod miastem Smoleńskim stoją nasi, a Moskwa ich otacza w około. Straszna moc wojska moskiewskiego.

Lecz rycerstwa polskiego stosunkowo nie wiele.

A drogą od Mołajski ciągnie Żółkiewski ze swoim wojskiem, bo naprzeciw idzie car Szujski, pyszny, mściwy, krwi chciwy i żądny zdeptania Polski.

Jestto noc lipcowa, jasna, pogodna, cicha.

Równiną rozległą wije się droga, a gwiazd tyśiące mruga nad tym obszarem, ukołysanym snem.

»Hetmanie«, mówi zbliżywszy się Gąsiewski, nadjeżdżając szybko, »możeby spocząć. Wojsko zmęczone, a i Wam, Hetmanie, należałoby się spoczynek. Ileż to nocy nie odpasaliście miecza?

Żółkiewski uśmiechnął się, a potem rzecze:

»Czy nawet myśl taka się nawinie, aby spoczywać? Już tak człek przywykł do pola, konia, oręża i bitwy, iż zdaje się, bez tego żyćby nie zdołał. Bywały ciężkie czasy, ale terażniejsze, do próżniactwa nie sposobne.«

Jadą dalej, gdzieś wśród pól cichych migają światła jakby z okien chat, gdzieś ozwie się jakiś ruch, jakby lot cichy spłoszonego ptaka.

Żółkiewski mówi do towarzyszącego rycerza:

»Gdy ujrzę wieś z oddali, gdy mi błysnie z jakiej chaty światelko migotliwe, zaraz serce rwie się ku mej chacie. Czy wiecie wy, jak to przecież serce hetmańskie tęsknić może do dziecka, do żony, do ścian swej chaty... Syna mam jednaka, kocham go całym sercem, ale, chłopię to ledwie mnie zna...«

»Podrośnię, to i z Wami, Hetmanie, w pole wyruszy«.

»Niech się jeszcze uczy, a niech jeszcze pod okiem matki serce sobie wyrabia. Tak to u nas, matki i żony są wszystkiem w naszych zamkach i dworach, i dzieci wychowują i domownikami się opiekują i za nami się modlą.«

»Hetmanie!« przerywa Gąsiewski, »każ stanąć na odpoczynek!«

»Odpoczynek?« westchnął bohater. »Czy waśc nie wiesz, że w Polsce się nie spoczywa, że w obec wroga, co wciąż się uwija, hańbą by było odpoczywać i próżniacze wieść życie. Dziś jeszcze może nieprzyjaciół najść nas znienacka, dziś gotów pokazać swą siłę, a my mielibyśmy ułatwić mu zwycięstwo. Będzie czas spoczynku, gdy wypędzimy wroga z granic Polski i Rusi, gdy takie nad niem odniesiem zwycięstwo, że już się nie poważą zakłócić nam spokoju. Prawy syn Ojczyzny tę myśl żywić winien i do tego dążyć całym swoim życiem, nie żałując ni trudu, ni zdrowia, bo służba ojczyzny, to służba ciężka!«

»Czy Waśc nie wiesz, co to służba ciężka?... Nam spotkanie niedalekie, nam trzeba czujności i czuwania... Nie idźcie tu o lekką walkę. Ja mam ze sobą tylko 4000 jazdy i 2000 piechoty. Cóż to w obec siły Moskali?«

»Król Jegomość pod Smoleńskiem stoi, może poczekać jeszcze na wasz powrót.«

A Żółkiewski na to:

»Pod Smoleńskiem jest źle. Jeśli się nie zdarzy cud jakowyś, który nam z pomocą nie przyjdzie, to carowie będą bili strasznie... Tu się nielada walka rozprawi, nieszczęście wisi nad głowami, daj tam Waśc spokój z gadaniem o spoczynku!«

Ot! jedzie człek, a myśl mu gna tam daleko!

»Synu mój!...« westchnął Hetman głęboko jakby z żalem.

W tem staje.

Konia wstrzymał, podniósł się w strzemionach, wzrok natężył.

Przyjeżdża żołnierz z straży podjazdowej i oznajmia:

»Obóz moskiewski pod Kłuszynem!«

Hetman już go spostrzegł.

Światła płoną, namioty bieleją. Chmura wojska daleko i daleko.

Jadą wysłańcy i przynoszą wieści:

»Moskale śpią!...«

»Śpią!« powtarzają inni.

Noc cicha, spokojna.

»Uderzyć na Moskali!« mówi ktoś ze starszych.

»Korzystać ze sposobności i wytłuc wroga do nogi«, powtarza drugi.

A Hetman Żółkiewski rzecze na to:

»Na śpiących Polak nie napada«.

Stają więc nasi i czekają na świt.

Niebo blednie, gwiazdy gasną, rosa pada po łęgach i polach, zwilża oczy i czoła żołnierzy, a jakby tęsknem westchnieniem przelata od krańca obozu do krańca szept modlitwy, którą rycerstwo wita chwilę boju...

Żółkiewski rozpatruje plan położenia, oblicza, bada.

Czoło jego zasępiło się, dwie rysy wybiegły między brwiami.

Niezmierną falą pokryło się pole obozowiskiem Moskali, a naszych 6000 tylko!

I tamci śpią, a Żółkiewski na śpiących nie napada.

Niebo coraz bledsze, gwiazda poranna poczyna już go rumienić.

* * *

»W imię Boże! Do boju!«

»Naprzód!... bij!...«

Zatętniały kopyta, zaszumiały chorągwie, zabłysły pałasze i bój się rozpoczął.

Okropna chwila!

Moc ludzi 40000 ma odeprzeć wojsko polskie, którego jest tylko 6000!

Świta tak dzień 4 lipca 1610 roku.

Ze strony Moskali dowodzi car Dymitr Szujski a ma przy sobie wojowników obcych, dzielnych, i w bojach wyćwiczonych, jak Horna, i Ponte de la Garde, którzy dowodzą wojskiem szwedzkim.

Husarskie chorągwie gonią jak wichry, rajtarzy Szwedzcy w popłochu się mieszają.

Jęk, krzyk, krew i śmierć!

»Boże Wielki!« błaga Żółkiewski ze wzniesionymi ku niebu rękoma. »Boże Wielki! Dodaj siły i ducha!... Ratuj w tej chwili! Jezus! Maryja!...«

Już chyli się chorągiew jedna, już niknie druga, już zdaje się utonęli nasi w nawale wrogów, jak tonie łan zboża w fali potopu i gradowej ulewy...

»Bij!...« wzywa z potężną odwagą młody Zborowski i rzuca się w wir walki.

Kopie już połamały się w walce, chorągwie już zanikły, wszędzie tylko krew i śmierć!

A niebo coraz zlocistsze od blasków słońca wzniesionego w górę, a dzień staje się jakiś wielki, dziwnej chwały i sławy!...

Oto patrzy Żółkiewski, wzrokiem doświadczonego wodza bada sprawę, ale poznaje już co się dzieje.

Jeszcze tylko z prawej strony wzmocnić atak, jeszcze tylko wpaść na to skrzydło od strony moździerzy, a walka będzie rozstrzygnięta...

Polski oręż — potężny!

Polskie ramię — bohaterskie!...

Dymitr Szujski, car Moskwy, oto wzięty do niewoli i stoi przed Żółkiewskiem.

Pontus de la Garde, Horn i Delaville, wielcy rycerze, uciekają, co sił stanie, a teraz dopiero zapowiedziany spoczynek po nadmiernem co prawda zmęczeniu.

Żółkiewski zsiadł wreszcie z konia.

Za zwycięstwo Bogu naprzód dziękuje na kolanach wraz z całym rycerstwem, ociera czoło potem złane i krwią zbryzgane, odkłada szablę, całą spływającą krwawymi kroplami, a myśl mu stawia przed oczyma daleką Żółkiew, Jana, jedynaka, Kasienkę pieczętowaną i Reginę, najdroższą, ukochaną żonę...

»Ucieszę ja was teraz nowinami«, myśli w duszy Żółkiewski, gdy patrzy na spętanego cara.

A wieść o sławie Hetmana, o jego tryumfie dnia dzisiejszego już płynie, niby na skrzydłach ptaka, i powtarza Ojczyźnie całej:

»Kłuszyn!... Żółkiewski!... Car w niewoli!... Car w niewoli!...«

I nim się słońce nachyliło ku zachodowi, nim znów wieczorna rosa poczęła padać na stalowe szyszaki i czoła zmęczonych rycerzy, już groźne położenie Polski wobec potęgi wrogów było zmienione w tryumf chwały, już ci, którzy, szli na potępienie narodu, dźwigali pęta i srom niewoli, bo oręż polski — potężny, a ramię polskie — bohaterskie.

IV.

Żółkiewski w Moskwie. — Pod Smoleńskiem. — Carowi Szujscy, jako niewolnicy. — Na zamku Żółkiewskim. — Andrzejko młynarz.

Łatwo wyjechać rycerzowi z domu, ale nie łatwo tam wrócić.

Lecz stokroć łatwiej myśleć o rodzinie temu, kto tylko rozkazów wodza słucha, jak Hetmanowi, który musi myśleć o tysiącach żołnierzy, widzieć przed sobą obszar rozległej Ojczyzny i patrzeć w jej przyszłość.

Hetman nie spoczywa.

Już się lato przechyliło, już wita jesień mglista, już i smutek rozsiada się nad obszarami pól i krainy rozległej, a jemu jeszcze do spoczynku daleko.

Dnia 9 października, w nocy wchodzi on ze swoim wojskiem do Moskwy, gdy miasto spało.

Wchodzi on jako zwycięzca i rozkazuje Moskalom. 18000 strzelców moskiewskich wysłać każe nazajutrz pod komendę przychylnego Polsce — inne wojska stawia pod Możajskiem, a dla swoich wydaje rozkaz:

»Nikomui żadnej krzywdy nie czynić!...«

Gasiewski powiada:

»Wielki Hetmanie! Gdyby tak zawsze czynili ci, którzy wchodzi w obce miasta, tożby wojna ustała.

A na to Żółkiewski:

»W bitwie — nie ma krzywd, tylko walka o zwycięstwo, wobec zwyciężonych jest tylko sprawiedliwość i litość... a choć to człek od lat tyłu i tyłu ciągle walczy, bije i zdobywa, przecież serce ma czułe i nad dolą zwyciężonych boleje... Przywołaj! no mi Wasę Balińskiego, pojedzie do Żółkwi. Muszą

tam wyglądać moje biedne oczy ukochanej żony, żali nie ma posłańca, a pięć miesięcy przeszło wieści nie ślałem.

Gdy wszedł Baliński, Hetman długo rozmawiał. W końcu rzecze:

»Zdarza się czasem, że w takowych przygodach list pochwyć, więc gdybyś dojechał do Żółkwi, a listu mego nie miał, powiedz Pani: »Car Szujski i jego brat w niewoli mojej, powiedz, Królewicza Władysława, syna króla naszego, Moskale na tron swój proszą, powiedz, Polska będzie rządziła Moskwą, nie Moskwa Polską, bo tak Bóg dał w Swej łasce, iż zwycięstwo pod Kłuszynem przyniosło szczęście i sławę«.

Po chwili, jakby rozrzuconym głosem, dodaje już Hetman:

»A wszystko bacz pilnie i powiesz mi, czyli Jan urośł, Kasienka czy już nie myśli o tem, aby z gniazdka Ojca odlecieć, i Pani Hetmanowa czyli nie chorzeje, lub nie przemęczona rozmaitemi sprawami. U Daniłowiczów bądź, niech też w Żółkwi dadzą na Msze Święte na podziękowanie Bogu za zwycięstwo... Oj! Synu!... radbym ja tak jechać z listem bodaj, abym zawitał do Swoich, ale służba nie drużba, a kto Ojczyźnie służy, ciężką ma pracę, oj! ciężką... Ciężka to służba!«

* * *

I przeszła zima i wiosna minęła...

Pod Smoleńskiem jeszcze nasi stoją.

Jeszcze burza o tron moskiewski nie ustaje, a gdyby chcieć dokładnie wyjaśnić, o co tam chodziło, trzeba by bardzo długo mówić. Wszystkiemu były winne niezgody. I wśród Moskali były kłótnie i swary o tron carów i wśród szlachty polskiej nie było zgody o tę wojnę.

Gdy wreszcie 12 czerwca roku 1611 Polacy Smoleńsk zdobyli, dano hasło powrotu do kraju.

Oj! wracają nasi wracają, jak ptaki z dalekiej drogi, ale wracają z sławą u czoła, z radością w sercu. Nie pieszczono ich życie, nie przesiedzieli, jak to mówią za piecem czasu sporo, jeno dokazywali cudów swoim męstwem i walczyli tak, że na 6—7 wrogów jeden sobie dawał rady.

Wraca król Zygmunt do Warszawy, jadą inni do swoich domów, a Żółkiewski ciągnie do Żółkwi.

Zadzwończy dzwony z wieżyc kościelnych, otwarty się bramy miasta, runął lud i mieszczaństwo na powitanie bohatera, który tylko wzrok wyteża ku temu, aby obaczyć żonę i dzieci.

Zadrgały usta. Łzy zabłysły w oczach.

Otóż oni. Jan już młodzieniaszek hoży, a Kasienka, jako żywo, nie dziecko, tylko panna... Tylko matka trochę przybladła i włosy jej posrebrzyły się nad czołem.

Czyż dziwno?...

Tak żyć, jak ona żyje, wiecznie sama i w trwodzie o życie męża...

Zsiadł z konia, żonę przyciska, dzieci tuli, serce mu w piersiach goreje, łzy płyną po licu.

A dwaj carowie Szujscy, zamknięci w zamku jako niewolnicy, przecież niewolnikami nie są.

Żółkiewski, rzecze do syna:

»Widzisz!... To obraz szczęścia na ziemi. Wywyższeni mogą być poniżeni. A wszakżeż to ludzie, wszak u nich jest czucie, jest myśl, jest tęsknota. Nie na to ich wiozłem do Ojczyzny, aby znęcać się i gnębić, aby uragać i na pośmiewisko ich stawiać, lecz są tu jako zakładnicy pokoju, a może Bóg ich ukarał za mnogie srogości i bezbrzeżną pychę...

Wbiega Kasieńka do komnaty ojca, jak zwykle tu wchodzi, bo ledwie chwila wolna, aby ojciec z dziećmi pogawędził. Zaraz potem przychodzą liczni posłańcy ze stron bliższych i dalszych, potem wielcy panowie i dostojnicy zjawiają się na narady, potem listy to od Turków, to od Węgrów, to od króla, to od wojewodów, ach! wieczna robota...

»Ojculk!« prosi dziewczę, tuląc się tklwie, »ten młyn co tam za rzeką, pod górą, gdzie jawory i olechy, daruj mi...

»Po cóż ci młyna?...«

»Jest tu taki Andrzejko, młynarczyk, sierota, jabym mu ten młyn dała.«

»A za co?... Dlaczego?...«

»On mądry i dobry, a naszej niani życie wyrażał. Już ją Tatarzy chwyłali, już ją prawie w rękach mieli, on rzucił się, odbił, choć i oko stracił w tej walce...«

»Dobrze, Kasieńka, Andrzejkowi młyn zapiszę i rolę tę daruję, byle tylko potem biednym dawał odsypy z maki...«

»A Andrzejek by chciał iść nawet na wojnę,« mówi Jan, »tylko, że mu idzie o młyn, bo jakby poszedł, to odbiorą, więc zapisz mu, Ojczy, dokumentem, to będzie inaczej... pójdziemy razem.«

»Radbym cię widział przy sobie, ale kto wie, czy się nacieszę widokiem twej służby dla Ojczyzny?...«

»Czemu, tatusiu, tak mówisz?...«

»Jam już stary... już bym spocząć powinien. 44 obozów już wysłużyłem. Wiesz ty, synu, co to znaczy przetrwać 44 obozów?...«

Kasieńka tuli do ręki ojca swe usta drobne, Jan wpatrzył się w czoło ojca, poorane bliznami, a Żółkiewski mówi, jakby sam do siebie:

»Kto wie, czyli ci ludzie, którzy kiedyś po wielu latach żyć będą w tej Ojczyźnie, bez walk już i obozów, bez krwi rozlewu i trwania na straży praw narodu, czy ci ludzie wspominać będą nasze imiona?... My dziś tak pracujemy, jak owi robotnicy, którzy kopią rowy pod wysokie mury, jak ci, którzy znoszą głazy na fundamenta. Ci, co przyjdą, będą wiedzieli, że fundamenta są, ale nie oceniają i nie zmierzają tej pracy, która fundamenta zbudowała. Rąbać i siekać, bić i bić, to nie słodkie życia chwile, ale, jeżeli Bóg naród nasz postawił na straży, coż robić?... odpieramy pohaństwo piersiami naszymi, osłaniamy Europę od niewoli i jasyru, ale czy też kiedyś o nas chociaż wspomną?...«

»List od króla!« zawołał rycerz, wprowadzając posłańca.

Król wzywa Żółkiewskiego na sejm do Warszawy...

V.

Żółkiewski w Warszawie.

A w Warszawie dnia 29 października roku 1611 jakby w największe święto radości i wesela...

Na krakowskim przedmieściu pełno narodu, iż przejść nie można. Gwar, krzyk, śmiechy, rozmowy na około. W oknach, w kamienicach głów pełno jak makówek, nawet na dachach kamienie ludziska się cisną, wyciągając szyje, aby tylko dojrzeć co się na ulicy dzieje.

Cóż to w Warszawie takiego?

Czy nowy król wjeżdża do miasta? Czy jakoś wiś nieznani królowie w odwiedziny przyjeżdżają? Czy orszak weselny do kościoła pojedzie?

Musi być coś wesolego, gdyż każda twarz uśmiechnięta, a oczy płoną prawdziwą radością.

»Jadą! jadą!« poczynają wołać ci, którzy najdalej widzą.

»Jadą! jadą!« powtarzają drudzy, a tak robi się gwar, szmer i hałas wielki.

Oto jedzie na przedzie na dzielnym koniu sędziwy i dzielny Hetman Żółkiewski. Strój ma wspaniały, głowę trzyma wysoko, prawą ręką podparł się w bok, oczyma wita tłum zgromadzony.

Za Hetmanem, w karecie, siedzi car Szujski i jego brat. Kareta zaprzężona w 6 koni a car ubrany w szatę złocistą, wspaniałą i piękną.

Car spogląda chmurnie na Warszawę i lud zgromadzony w około.

Lud patrzy na tych niewolników, jak na zjawisko dotychczas nie widziane, a gdy Żółkiewski zbliżył się więcej, ozwały się radosne i przeciągłe okrzyki:

»Niech żyje Hetman Żółkiewski!«

»Wiwat Żółkiewski!«

»Wiwat zwycięzcy z pod Kluszyńska!«

O! Warszawo!... Gdybyś ty była wówczas mogła przeczuć, co ciebie czeka, nie byłabyś tak radosnie i spokojnie witała carów jako niewolników...

O! Warszawo!... Gdybyś ty wiedziała, jak kiedyś później carów stopa będzie cię gnębić i deptać, jak carów potęga w pętą niewoli cię ściśnie i dzieci i syny twoje w lodowe Sybiru gnać będzie strony, a rzezią jednego z twych przedmieść dzieło wiekowego mordu i ucisku rozpocznie, jak ci piers uciśnie kamieniem, abys westchnąć nawet nie mogła, nie byłabyś zezwoliła na to, iżby potęga Polski zachwiać się mogła... Ale, szczęście narodu jak szczęście człowieka, bywa krótkie, jeśli Bóg mu nie błogosławi...

Tryumf Warszawy, przez której ulice wiozą carów w niewolę zabranych, zgasł, bo później zgasł duch narodu mężny i wielki, a takich serc, jak Żółkiewskiego, nie było!...

Pochód Żółkiewskiego zbliżył się do zamku.

Carowie weszli nie śmiejąc spojrzeć śmiało.

Król Zygmunt III. usiadł na tronie i spogląda na wchodzącego hetmana, za którym idzie car Dymitr i jego brat Iwan.

Żółkiewski przemawia:

»Miłościwy królu nasz! Oto stawam przed tobą w chwili bardzo ważnej. Bóg mi dopomógł, że w rozprawie z nieprzyjaciółami zwycięstwo na naszą przechyliło się stronę, a oto wielcy carowie są w naszej mocy. Szlachetna rzecz stawać w obec wroga z odwagą i męstwem, wtedy gdy on jest wolny i silny, ale, jeśli mamy przed sobą niewolnika, wtedy już litość mu się należy. Miłościwy królu! Dość ukorzenia i poniżenia zaznali ci, którzy teraz przed twoim stoją majestatem, przysięgają pokój, pokorę, czyż nie wynagradza to przewiny?... Zaznali co niewola, teraz niech wracają wolni!...«

Na te słowa car ze swoim bratem czołem o ziemię po trzykroć uderzyli, chyląc się do stóp tronu polskiego, jako najpokorniejsi słudzy... Car Iwan w głos się rozplakał...

Królowa, patrząc na to z rozrzewnieniem, zycierała skrycie, bo jako kobieta tkliwa była na widok płaczu, choćby u wroga.

Zygmunt bladej patrzył na chylących się przed jego tronem carów... a w sali była taka cisza wielka i głucha, iż zdawało się, wszystkich serca ustały w biciu.

Żółkiewski kończy swoje przemówienie temi słowy:

»Miłościwy królu! Oto na carach już obraz szczęścia zmiennego: niedawno silni, potężni, rozkazywali ludom i sąsiednim państwom, dziś stoją w pokorze i poniżeniu. Szlachetna rzecz jest upokorzonego wroga politować. Miłościwy królu! Jam ci przywiódł niewolników, ty, uczyni ich wolnymi!«

Zygmunt wzruszony podaje swoją dłoń carom do ucałowania. Zdawało się rzeknie:

»Idźcie!«

Lecz nie.

Podziękował Żółkiewskiemu, za jego bohaterskie czyny, pełne poświęcenia, oddał mu hołd należny.

Potem podkanclerzy króla Jegomości słał czyny Żółkiewskiego a powtarzał po kilka kroć:

»Dziękuję ci starzy, dziękuje naród, dziękuje kraj cały za tę służbę wytrwałą i mężną... Gdzie twój dom, twoja rodzina, twój spokój cichy i wytchnienia?... Wszystko to zostawił! Wszystko to poświęcił, aby w służbie dla Ojczyzny wytrwać do końca...«

Żółkiewski kornie pochyla swoje czoło, a im więcej mówią o jego chwale i sławie, tem czuje się niższym i niegodnym uznania...

»Królu!« przemawia jeszcze raz, »zrobiłem, co pragnąłem, bo chciałem ukorzyć nieprzyjaciół Ojczyzny, ale teraz proszę, bądź litościw jeńcom.«

Car Dymitr prawą rękę kładzie na ziemi, pochyla czoło na znak poniżenia, potem w pokorze całuje rękę króla.

Za nim to samo czyni brat jego.

Wtem przemawia wojewoda Mniszech.

Cała jego mowa woła o srogie więzienie dla carów, bo winni, bo krzywd wiele zdziałali, bo karać ich należy.

I król próby Żółkiewskiego nie wysłuchał, a carów skazał na dożywotnie więzienie.

Gdy ich z sali wyprowadzono, spojrzeli na Żółkiewskiego, jakby z żalem, iż już nie będą u niego w zamku...

A Żółkiewski wrócił do domu, ażeby spocząć nareszcie.

VI.

Krótkie wyfnienie. — W Olesku. — Nowa wyprawa. — Smutne przecucie. — Kometa. — Przepowiednie.

W Olesku u państwa Danilowiczów pociecha wielka. Syn Stanisław chowa się zdrowo, a Teofila dziś chrztem św. do Kościoła przyjęta.

Gości w zamku nie mało. Hetman Żółkiewski opowiada ciekawe wypadki wojenne, albo znów z obecną szlachtą radzi o Tatarach i Turkach.

»Skinder-Basza zbiera się tu, nawet wiadomo o tem królowi,« powiada Żółkiewski, »ale naszego wojska teraz nie starczy na ich potęgę.«

»Gracyan z Siedmiogrodu, chce rękę podać,« mówi Zamoyski.

»Nie bardzo ufam w tę pomoc,« odrzeknie Żółkiewski.

»Żle jest, bo się sąsiedzi prawie w około nasstawili na to, aby nas zjeść, a tu brak zgody.«

»Co prawda, to prawda, jedności nie ma.«

»Przewiduję ja gorsze klęski, jak bywały, ale daj Boże, aby się moje przecucia nie spełniły,« a zwracając się do zięcia pyta:

»I kogóż poszlesz do Subatowa?... Trzeba człowieka zaufanego, statecznego.«

»Chmielnicki pojedzie. Wierny to raczej przyjaciel, niż sługa. Już i ja i Zosienka na niego możemy się z ufnością spuścić.«

»A to dobrze!... Tak nieraz za miłosierny uczynek Bóg nagradza. Przytuliła Zosia nędzarza, a teraz ma wiernego sługę i przyjaciela.«

W tej chwili, na rękę matki kołysana, mała Teofila rozplakała się rzewnie.

Spojrzał na nią Żółkiewski, a uśmiechnawszy się powiada:

»Czekaj! czekaj!... będziesz ty kiedyś płakała, gdy ci będą wołali męża na wojnę tak raz po raz, jak to mojej małżonce czynią... Doprawdy, wierzcie mi, Waszmościowie, gościem byłem w domu przez całą młodość, gościem jestem i teraz, gdy już przecie 60 lat minęło i... tak dziwię się cierpliwości mej najmilejszej Reginy, która pół wdową, pół panną będąc, nie woła raz przecie:

»Dokądże będę sama?«

Piękna Zosienka na to do męża:

»A czy mój pan Wojewoda lepszy?... Staś nasz lepiej tuli się do Chmielnickiego, jak do ojca.«

»Bo też Chmielnicki umie go bawić lepiej niż ja.«

Wtem wchodzi Kasieńka.

Już to panna piękna, a jakowaś powaga w jej oczach nie zwykła.

»Ojczulku!... z listem od króla.«

Podniósł się Hetman, aby wyjść do drugiej komnaty, lecz Daniłowicz gońca przyjmuje, list ojcu podaje.

»Wielmożny! Uprzejmie Nam miły!

Tak pilne o sprawach Rzeczypospolitej i bezpieczeństwie uprzejmości waszej zawiadowanie, jako przeciwko nieprzyjacielowi koronnemu odwaga i czułość nie tylko nam jest wdzięczna, ale też i uprzejmości Waszej sławę nieśmiertelną pomnaża. Czynieś to, co dobry stróż Rzeczypospolitej czynić ma, że, gdy niebezpieczeństwa następują, siebie i zdrowia swego nie szanując, stawasz na placu przeciwko nieprzyjacielowi i drugich przykładem swem pobudzasz do takowej czułości. Ale gdy mamy coraz żałośniejsze wieści o zbliżających się wrogach, pilnie żądamy, abyś Waszmość wziął się na ratunek i radę czynił. Wiemy, że Waszmość spoczynku potrzebujesz, wiemy, iż zdrowie Twoje już nadwątlone, ale jakowoż nikt tak ku obronie wojska nie poruszy, jako Wy Nam miły! A że na Kamieńcu siła Nam zależy, jest to zdanie Nasze, abyś Waszmość sto koni rotę kozackiej do starosty kamienieckiego posłał, także i piechotę, co może być, zamek ten ratował i z każdej inszej miary straż o bezpieczeństwo Ojczyzny wziął przed się. Trzeba będzie powołać wojsko w te strony, aby groźnego wroga powstrzymać...«

Nie skończył listu Żółkiewski, gdy weszła pani Regina, blada i trwożna.

»Znów cię wołają?« pyta wpół ze łzami.

»Hej! hej!... taka buława hetmańska ciężka jest do udźwignania, a jeśli dawa szczęście Ojczyźnie, to temu, który ją nosi, nie da go wcale.

»I już po spoczynku?«

»Oj! Matko!« rzeknie Żółkiewski, »kiedy Polacy poczną o spoczynku myśleć, wtedy źle będzie w Polsce... Jak kogo Bóg postawi na straży, to i stać musi.«

Kasieńka słucha ojca, ale słucha i cichych słów, które oto przy oknie komnaty szepce jej pan Podstoli koronny, urodziwy rycerz, Koniecpolski. On z ojcem ruszy, gdy trzeba będzie ciągnąć pod Kamieniec, ale on chce mieć od niej słowo życzliwe na zażalenie i miłości...

Kasienka wpatrzyła się w piękne oczy rycerza i rzecze:

»Jużci!... niczyja nie będę, jeno wasza.«

* * *

Przed wyjazdem na wojnę wesele Kasienki odbyło się w Żółkwi... a był to zdaje się ostatni dzień szczęścia w życiu Hetmana i całej jego rodziny...

Bo Bóg dał im wiele sławy, zaszczytu i cnót, ale szczęścia nie zyskał bodaj słabymi promykami, bo już tak było przeznaczone, aby została w pamięci o nich — smutna pamięć ich cierpień i łez...

Po weselu, po odjeździe Hetmana, w zamku Żółkiewskim była już tylko sama pani Regina. Syn dla nauki wyjechał z domu.

A miesiące mijały za miesiącami.

* * *

Nadszedł rok 1620.

Jakżeż dużo rzeczy zmieniło się!...

Już tu czas zapisał wiele smutków na sercach ludzkich, i wiele trosk porało czoła ludzi zacnych...

Pan Hetman Żółkiewski ma lat już 73!

Zmęczony jest i zbolący, bo życia nie przeżył na wygodach, ale ciężko przeorał po wielkiej Ojczyźnie... Lecz i teraz spocząć nie może.

Listy pisze, wojsko zbiera, rozkazy wydaje, ogląda broń...

Stoi w wspaniałej komnacie rycerskiej, gdzie pełno broni, mieczów i kopii, pałaszów i dzid, a trzymając w ręku miecz swój stary, mówi do syna:

»Pierwszy raz ty zemną już pójdziesz na wojnę; niechże ci ten miecz dam w rękę, niechże ci on doda siły i męstwa, boć i to rzec ci muszę, trzeba nam każdemu za dziesięciu stanąć, trzeba nam każdemu za dziesięciu mieć męstwa i odwagi, gdyż tylko męstwem nasze zwycięstwa płyną. Ile razy Polska stawiała do boju z wrogiem, zawsze wojsko jego było liczniejsze od naszych zastępów, ale zwyciężaliśmy, odwaga...«

»Mój ojczu!« pyta Jan, »a czy teraz istotnie tak bardzo wielka siła wali się, jak mówi Koniecpolski?«

»Z bólem rzec trzeba, tak!... Ja wiem i rozumiem doskonale, iż, jeśli Rzeczpospolita nie da wojska, powołanego ze wszystkich ziem kraju, to nieszczęście wypełni się.«

»Biedna mama!... Modli się, a trwoży bez końca, nie wiem, czy jej starczy sił, aby nas pożegnała jeszcze teraz.«

»Całe życie tylko o to modliła się, bym ja zwycięsko z boju wychodził, teraz o nas dwóch będzie się trwożyła, a Zosieńka nie tak?«

»To też ona mówiła wczoraj: Ciężko tym sercom, które w domu zostają, gdy wokoło wre walka.«

Otworzyły się drzwi, wchodzi młode śliczne chłopię o jasnych włosach, z pałaszem w rękę, prowadząc za sobą Andrzejka, bosego, w długiej płótniance.

»Dziaduniu!« woła żywo, »Andrzejko pójdziesz z nami; już to musisz zrobić, abyś go wziął.«

Andrzejko chylił się do kolan Hetmana, obejmując je rękoma i prosi kornie:

»Dziesięć lat czekam, aby mnie JWielmożny Pan Hetman zabrał na służbę, ale teraz nie odstąpię... niechże mi Jaśnie Pan Hetman nie broni tego.«

»A żona?«

»Dziaduniu!« przerywa Staś Daniłowicz, »Andrzejkowa żona jest z moją mamą i Teofilką w ogrodzie, ona wie, że on na wojnę pójdzie, ale nie płacze.«

»Juści,« mówi Andrzejko młynarz, »jak jej wytłómaczyła pani Wojewodzina, że niby kto nie broni Ojczyzny tam daleko, to nie obroni się przed wrogami i tu we własnej chacie; jak my Turków i Tatarów nie zawrócimy z drogi tam daleko, to przyjdą tu, a wtedy zabiorą i mnie i ją i matkę i dziadków, a cóż lepsze?...«

Na to Żółkiewski:

»Choćby cały wschód ciągnął na upadek nasz, gdy będziemy mieć broń w ręku, nie upadniemy, ale, potrzeba tych broni więcej i więcej. Zbieraj się i ty, młynarzu, z nami, kiedy masz serce gorące dla tej sprawy, a żona niech zostanie w zamku z moją żoną i córką.«

Andrzejek uradowany pokłonił się pięknie i już chce iść, lecz go Jan zatrzymał, dając broń do ręki.

»Pokażże, jak umiesz obracać szablą, wszakże uczyliśmy się razem.«

Mały Daniłowicz, wnuk Żółkiewskiego, wyciągnął też swój pałasz i młyncem wykreślił, aż powietrze zagrało, a Żółkiewski tulił każdego po kolei do serca i łzę rozrzewnienia otarł nieznacznie.

* * *

Był to początek sierpnia.

Noce były ciche, pogodne, pełne blasków księżycowych promieni, pełne spokoju i ciszy, jak gdyby nigdzie niezbierała się burza sroga, ani żaden grom nieszczęścia nie groził ludzkiemu szczęściu.

Na szańcach Żółkwi przechadzają się rycerze. Ten i ów gawędzi o wieściach ze strony Multan, ten i ów z tęsknotą śle myśl ku temu domowi, w którym zostawił żonę, dzieci lub kochankę drogą... Ten i ów wzrok nateża, jakby chciał jeszcze obaczyć bodaj szczyt drzew z nad jego dworku lub krzyż ów przydrożny, przy którym zęgał rodzinę.

Nie tak to lekko wyruszyć na wielką i daleką wyprawę. Choćby najdzielniejsze serce i miłość kraju najgorętsza, przecież żal rzucać i tych ukochanych, nie wiedząc czyli się do nich wróci.

Pani Daniłowiczowa, tuląc Teofilkę do siebie, rozmawia z matką:

»Przypominam sobie,« powiada rzewnie, »jak to dawniej zazdrościliśmy dzieciom wiejskim, iż mają swoich ojców przy sobie, a dziś tak samo możnaby żonom ubogich chłopów zazdrościć. Wyjdzie z nich która za męża, to wie, iż już razem z nim pracować będzie, ale zawsze będą razem, a my...«

»Dokąd dawałyśmy mężów, to jeszcze zdaje się nie tak było boleśnie, ale gdy teraz wyprawiamy i mężów i synów, jakże wiele trzeba siły, aby nie zalać się łzami.«

A mała Teofilka, słysząc te słowa, powiada:

»Chciałabym wyprowadzić kiedyś takiego rycerza, aby już na zawsze Turków i Tatarów odgonił...«

W tej chwili dziwny blask zaświecił w oknach.

»Kometo!« zawołała pani Daniłowiczowa.

»Kometo!« powtórzyła pani Żółkiewska, a po chwili szepnęła, jakby do siebie:

»Czy też Bóg na słowa tego dziecka daje owe błyski komety, jako przepowiednię wielką?«

Ucałowała czoło dziewczątka i wpatrzyła się w światło ognistej gwiazdy.

Na szańcach zbiegły się tłumy, patrząc na to. Wyszedł i Żółkiewski, a zwracając się do rycerzy rzecze:

»Na moją to głowę!...« *)

Tu i tam poczęły kobiety zawodzić i płakać, iż to pewno Tatarzy przyjdą, skoro taki znak na niebie, tu i tam nie jedno ciężkie westchnienie uleciało z piersi, aż ku tym krańcom Ojczyzny, na których często wojny krwawe toczyły się, a wrogów chmura rola się ciągle.

Jakiś orszak jeźdźców wysunął się z pod lasu. Czekano niecierpliwie, aby się dowiedzieć, z kąd to znów pomoc przychodzi, gdy wjechał na dziedziniec zamkowy kozak, ubrany dostatnio, wiodąc za sobą sotnię kozaków z pod Czehryna.

»Toż to Chmielnicki!« zawołał Jan, poznawszy kozaka, »witajcie!«

Chmielnicki skłonił się pięknie, oddał Hetmanowi sotnię kozaków mówiąc:

»Bóg mi poszczęścił, z nędzarza doszedłem i do fortuny i do godności, toż moja powinność odwdzińczyć się i stanąć dziś do służby.«

»Pocziwe serce,« rzekł z rozrzewnieniem Hetman siwowłosy, »mało to trafia się ludzi o wdzięcznem sercu.«

A pani Daniłowiczowa, witając swego starego sługę, powiada:

»Teraz z moim Stasiem pójdiesz, z tym Stasiem, coś go kołysał i uczył chodzić...«

»Wyście mię kęsem chleba obdarzyli, gdym był głodny, a ja czyżbym teraz nie dał Polsce pomocy?... Oj! Chmielnicki, kozacko! Gdybyś ty wiedział, czem kiedyś twoje imię będzie dla Polski, dla tej samej Polski, której ty teraz spieszysz z pomocą?...

Noc cicha, jasna, pogodna, a komety łuna jeszcze się pali.

Na szańcach i wałach Żółkwi błyszczy stal broni, słychać rozmowy rycerstwa, czasem jakaś dumka tęskna ozwie się z dali, a wreszcie coraz ciszej i ciszej.

Tylko w komnatkach znać nie śpią i radzą i czuwają, bo całą noc światło widać w oknach...

VII.

Strasza klęska pod Cecorą. — Śmierć okrutna Żółkiewskiego. — Żaloba i smutek. — Pogrzeb Żółkiewskiego w Żółkwi.

Nazajutrz wyruszyli...

Wyciągnął się długi łańcuch rycerzy jadących zwolna, lśniących zbroją, pięknych postawą, dzielnych

*) Autentyczne (Szujski)

duchem. Jechał siwy Hetman na swoim ulubionym koniu, przy nim syn jednak na wspianym siwo-szu. jechali dwaj zięciowie Hetmana, Daniłowicz i Koniecpolski. Tylko gdy Daniłowicz jeszcze obra-cał się, aby obaczyć kochaną żonę, Koniecpolski nie miał kogo żegnać, gdyż Kasieńka po roku pożycia z nim zmarła. Jechał wnuk Stanisław, bratanek Łukasz Żółkiewski, jechał Zamojski, Rogowski, Ka-linowski, Denhoff, Tyszkiewicz i wielu, wielu innych, za którymi szło około 8000 ludzi.

Znowu zabrzmiała pieśń rycerska »Boga Ro-dzica Dziewico!« zaszumiały proporce rozwite, skrzy-dła husarskie migły w promieniach słońca, konie parskwały, tu lub tam jeszcze doleciał głos: »Z Bo-giem!«, »Szczęść Boże!«, »Wracajcie szczęśliwie!« aż wreszcie oni byli coraz dalej i dalej, a w Żółkwi stawało się coraz ciszej i ciszej...

U progów kościelnych Żółkiewska z córką i wnuczką modliły się gorąco, a przy nich przytu-lona do muru zalewała się łzami żona młynarczyka, Andrzejowa.

Gdy wyszły z kościoła, mówi pani Żółkiewska do niej:

»Tak ci ciężko, nie możesz zrozumieć, co to znaczy dać męża na obronę kraju?... A gdy tu Tatarzy napadają i rycerstwo nasze wpadnie ku obronie, witacie go radzi i cieszyć się, iż wrogów odganiają... To chcecie mieć obrońców, ale tylko przy swoich chatach i wsiach, a już o tamtych cha-tach i wsiach, gdzie wróg także wpada nie pamię-tacie? Przyjdzie kiedyś czas, kiedy nie tylko my z dworów i zamków wyprawiać na obronę Ojczyzny będziemy, ale i wy zrozumiecie, co to znaczy Oj-czyzna daleka. A teraz nie płacz. Widzisz, myśmy dały mężów i synów, a chociaż ból kraje serce, nie płaczemy...

»A jak on nie wróci?« z jękiem pyta kobiecina.

»Moje dziecko! Ilu żegnamy, to wiemy, ale nie wiemy, ilu powitamy. Nie my jedne... Wi-działas, ile ich jechało. Przecież za każdym ktoś płakał i za każdym jakieś serce bólem się raniło... A tych wojen, ileż już było? Cóż począć? Bóg tak dał, iż sąsiedzi na naszą Ojczyznę czyhają, jak jastrzębie i kruki na białą gołębicę. Cała ziemia nasza krwią zlaną, kośćmi zasiana. Wśród narodów chrześcijańskich ona Męczennica!«

Weszły do głuchych i pustych komnat. Wszy-stko nieme i milczące, wszędzie smutno i żałośnie, a myśl leci i płynie za nimi, za tamtymi, którzy kę-dys wiją się drogą między polami i nucią pobożne pieśni, a nad nimi i wiatr szumi, słońce świeci, ptaki przelatują i leci śmierć wielka, czarna, okropna!

A nie w jednym to zamku i nie w jednym dworze teraz pusto i glucho, bo na wyprawę przeciw Turkom i Tatarom ruszyło wiele szlachty, lecz wszy-stko to wobec zbliżającej się nawały było niczem...

Król rozesłał wezwanie, Żółkiewski błagał i pro-sił o większe posiłki, ale niestety — nie dostał pomocy.

* * *

Przeleciał nie jeden ptak od strony Mołdawii i Multan, ale nie przyniósł wieści, co się dzieje z na-szemi wojskami. Zaszumiał nie jeden raz wiatr od strony Dniestru i południa, ale nie przyniósł echa jakiej wieści o tem, co nasi porabiają.

Szło nie jeden raz słońko wysoko po niebie, ale nie powiedziało, co widzi tam daleko, gdzie nasi po-szli, a nie wiedzieć, czy wrócą...

Trwoga przejmuje serce pani Żółkiewskiej. — »Czy wróci?« pyta się sto i dwieście razy, a ma o kogo pytać.

Czy wróci mąż, syn, zięć, wnuk, bratanek i tyłu, tyłu jej drogich?

Pyta też, czy wróci i ów Andrzejek biedny, którego serce do Ojczyzny zwróciły jej dzieci, a te-raz tak biedna żona łzami się zalewa i ginie z tę-sknoty.

Przeszły żniwa, wrzesień ma się ku końcowi, aż ledwie o tej porze wieść przychodzi.

Przyjechał posłaniec z listem, ale sroga to była wiadomość.

Pan Hetman pisał, błagał, prosił o pomoc, gdyż wrogów taka siła i moc, jakiej nie było jeszcze.

»Pomocy!... ludzie! pomocy!...« woła pani Żółkiewska, odczytawszy tę wieść, »ale zkad? gdzie? kto?...«

Król wojska nie posyła; z tej strony od Kra-kowa, Warszawy nikt nie idzie na pomoc. Opu-ścili go wszyscy, co robić?...

Otwiera szafy, kufry, zdejmuje drogie rzeczy, lichtarze, misy srebrne i złote.

Posyła z tem do brata swego, aby kazał to sprzedać, lub na pieniądze przetopić, a zbierał za to wojsko co najrychlej i spieszył na pomoc.

Zamojski zebrał około 200 ludzi, ruszył; już był w drodze około Lwowa, gdy w tem na drodze spostrzega gromady włościan, uciekających w prze-strachu...

»Tatarzy!« wołają jedni.

»Do jasyru biora!« krzyczą drudzy.

»Uciekajcie! Dla Boga, uciekajcie!«

»Tatarzy! Tatarzy!...« jęczą kobiety, rwąc włosy ze strachu, patrząc wpół dzikiemi oczyma...

Zamojski ręce załamał.

»Zdaje się, już za późno nasza pomoc,« rzekł do towarzysza, »niewstrzymana fala leci jak rozhu-kane morze.«

A w Żółkwi biją dzwony straszną pieśnią trwogi i przerażenia, lud w trwodze i rozpacz ciśnie się do zamku, w którym kobiety z płaczem wznoszą ręce ku niebu.

Mała Teofilka spogląda dziwnie na to wszystko. Cała groza, rozpacz i nieszczęście tego położenia narodu wobec wrogów szalejących, jak gromy i pio-runy, budzi w jej duchu wielkie myśli.

»Zemścić się za to! Zemścić się ktoś musi!« szepce sama do siebie, nie przeczuwając, iż Bóg jej da wielką łaskę wychowania Ojczyźnie takiego bo-hatera, który się pomści za wiele krzywd i cierpień narodu!

Zofia Daniłowiczowa, widząc zbliżających się już dolina Tatarów, tuli Teofilę do siebie, a w tem pada zemdlna na ziemię.

Pani Żółkiewska błada jak cień, pociesza strapiionych, lecz i jej serce zamiera chwilami i jej twarz niejedną raz powleka się śmiertelną bladością. Czarnych kruków stada przelatują nad polami, a krzyk ich zwiastuje śmierć w okóło.

Niebo powlokło się chmurami, a tam kędyś z oddali już się wije ciemno-ponura wstęga dymu, którą wiatr igra i raz ją aż po ziemi ściele, drugi raz szarpie w kłęby i rozrzuca w okóło.

»Pałą!« mówi Żółkiewska, patrząc przez okno.

»Jacyś jeźdźcy spieszą drogą,« dodaje Daniłowiczowa a Andrzejkowa wpada z krzykiem przerażliwym:

»Ze szańców wołają: Tatarzy!«

Jęk bolesny ozwał się z piersi pani Żółkiewskiej, a po chwili rzekła:

»Chodźmy do kościoła! Niech biją w dzwony, niech się wszyscy gromadzą! Bóg naszą nadzieją!

* * *

W tydzień potem przywłókł się pod bramy Żółkwi człek nędzny, zbolaty, ciężko zraniony, raczej widmo człowieka. Zastukał w bramy, a gdy mu otworzono, on parę kroków przeszedł dalej i padł bez czucia na ziemię.

Zbiegła się straż. Cucono go wodą, nacierano skronie i pulsa, a dopiero po długim czasie, ktoś zawołał:

»Wszakżeż to Andrzejko!«

»Co mówisz?« powiada inny. »Co mówisz? Wszakci jak jechał na wojnę, miał odzienie, konia, broń, silny był i zdrów.«

A jeden ze starych żołnierzy na to:

»Andrzejko!... Oko jedno ma wybite, nie pamiętacież, że mu Tatarzy strzalał oko wybili? Może on ma jakie listy, może on co powie o Hetmanie?«

Jak grom wpadł do zamku jeden ze straży wołając:

»Andrzejko jest! Andrzejko wrócił!«

Pani Hetmanowa z córką i wnuczką spieszą co sił, a Andrzejkowa, zawodząc leci z rozwianemi na wiatr włosami, wołając:

»Wrócił! wrócił!...«

O! Wrócił, ale jakież to straszny powrót!

Wrócił, ale go niosą bez ducha prawie, na rękach. głowa zwisa nisko, a jest to głowa nędzarza raczej, niż żołnierza. Ledwie w godzinę otworzył oko.

Obmyto mu twarz z krwi oschłej, przedziano go w czyste odzienie, napojono winem, a wszyscy stoją w okóło niego, czekając czyli nie pocnie co mówić.

Andrzejkowa powtarza raz po raz:

»Nic już po nim! Nic już po nim!«

»Uspokój się, kobieto,« pociesza pani Żółkiewska, »dziękuj Bogu, że chociaż wrócił, a popatrz... my o naszych nawet nic nie wiemy, czyli żyją...«

»Nic po nim! Zabiedził się! Zabiedził się!«

»A wieluż to naszych wcale nie wróciło?«

Andrzejko podnosi się, dźwiga głowę, spojrzal na panią Hetmanową, a w chwili tej ryknął straszny płaczem i jękiem:

»Boże! Boże! Boże!«

Rzucił się twarzą do posłania, a lkał jak małe dziecko. Wszystkim lży się kręciły pod powieką na widok tej boleści.

Długo to trwało, aż gdy wreszcie biedny młynarz uspokoił się nieco, znów się podniósł, ręce złożył, jak do modlitwy i mówi:

»Nie ma nikogo!... Niema...«

»Co ty mówisz, Andrzejko?« pyta pani Żółkiewska, kładąc mu rękę na głowie, na której włosy krwią skrzepłą pozlepiane w plastry i węzły:

»Nie ma nikogo!« jęknął Andrzejko, chwytając rękę pani Hetmanowej i do ust ją cisnąc, a znów lży gorzkie z ocz mu się puściły. »Niema nikogo... ani Hetmana, ani panicza!«

»Boże wszechmocny!« woła pani Żółkiewska.

»Matko Najświętsza!« szepce Daniłowiczowa, zanosząc się od płaczu, a Andrzejkowa ciśnie się do męża, patrzy mu w oko i pyta:

»Co ty mówisz? Co?...«

Andrzejko, blady jak trup, wyraz twarzy ma tak pełen boleści, iż zdaje się serce całe u niego zranione strasznie. Schylił się do nóg Hetmanowej, jak robak wije się po ziemi, a mówi:

»Zabili!... Hetmana zabili, nasze słońce zabili, nasze serce zabili! Nie ma go! Nie ma!...«

Żółkiewska wzniosła ręce, oczy utkwiała w obraz Chrystusa na ścianie, a potem zrobiwszy krok naprzód, uklękła łzami zalana.

Modliła się długo...

Cichy szepc jej pacierza mieszał się z łkaniem płaczu, a w izbie wszyscy uklękli i była taka cisza, taki ból wielki, taki żal głęboki, iż zdawało się, chyba nie boleśniejszego być nie może.

Andrzejko omdlał.

Dopiero w dwa dni potem mógł dalej mówić o tych wieściach, jakie przyniósł.

* * *

Plaż żaloby i smutku!

Stary Hetman legł zabity! Głowę jego ponieśli Skinder-Baszy. Panicz ciężko ranny poszedł do niewoli! Panicz Andrzejka jeszcze wyratował od niewoli, kazał mu iść, a zanieść smutne nowiny. Pana wojewody Daniłowicza nigdzie nie widziano. Pani-czyka Stasia, zdaje się, wzięli w jasyr, wzięli i innych, a już też naokoło tam tylko krew i trupy, trupy i krew. Było to w nocy 7-go października 1620 roku.

Jakże nie mieli zwyciężyć Turcy i Tatarzy, kiedy ich było 60 000 więcej, a przy Hetmanie już pozostało tylko 300!..

Król nie przysłał pomocy. Wyprawił do boju, ale nie dał pomocy, to też zginęli nasi, a zwycięstwo wrogów sromem okryło kraj cały.

Andrzejko opowiada, jak nasi z głodu padali, jak słabli z umęczenia, 7 dni i 7 nocy nikt nie spoczął ani na chwilę, a wrogów w okół coraz więcej, coraz więcej. Biedny, pocziwy młynarz, co chwila łzami się zalewa na wspomnienie nieszczęścia, a Żółkiewska, jak posąg z marmuru, milcząca słucha i słucha.

»Mąż i syn...« powtarza sobie raz po raz, »O, tom się doczekała, otom dożyła. Już mi tylko na pogrzeby czekać! Już mi tylko trumny witać!«

Pani Daniłowiczowa chora leży z płaczu i z bólu o syna i męża, a Teofila, modląc się o zdrowie matki, powtarza często:

»Boże! Daj Polsce człowieka, któryby wrogów na zawsze oddalił!...«

W tydzień po przyjeździe Andrzejka z pod Cecory, zbierała p. Żółkiewska wszystkie srebra i złota jakie były w domu, aby posłać na wykup Jana z niewoli i na wydobycie ciała i głowy nieboszczyka Hetmana.

Wysyłając posłów z okupem, prosiła pani Żółkiewska:

»Nie chcą, zapłaćcie, tylko mi przywieźcie, bo nie pozwolę, aby ciało jego w obczyźnie zostało...«

Do tych zaś, którzy jechali dowiadywać się o jefców, mówiła:

»Miejcie litość nad nami, nademną i córką mą, które w łzach toniemy i rychło wracajcie, bo im w niewoli każdy dzień rokiem, każda chwila ciężka jak trumna.

* * *

Pojechali...

A tu czekają i czekają...

Wreszcie wiozą, lecz tylko ciało Hetmana. Głowa jest już w Carogrodzie, zawieszona nad bramą w Seraju i żądają za nią osobnej zapłaty, a nie tak łatwo zdaje się wydadać.

Lecz o syna Hetmana nie prędko się sprawa ukończy. Jest on w Krymie w niewoli, a na zgłoszenie się posłańców z Żółkwi, zażądano za niego 200 000 talarów.

»Zkąd ja to wezmę? gdzie ja uzbieram tyle pieniędzy?« pyta biedna wdowa, nie znając drogi ratunku. To wszystko, co miała, zebrane teraz, nawet czwartej nie wynosi części, a zkąd reszta? Jeszcze zbiera w komnatkach, co się tylko da na grosz zamienić, prosi kornie króla, aby pozwolił przetopić na talary, a o więcej dopomina się u brata, u krewnych, u tych, którym Hetman nie jeden raz dawał i dopomagał.

* * *

A ciało Hetmana wiozą z daleka.

Wszędy po miastach i wsiach biją dzwony żałobną pieśnią. Wszędy wychodzą z chorągwiami naprzeciw i pacierze szepcą za spokój tej duszy, która Ojczyźnie służyła, a Boga kochała i czystą była i wielką była.

W Żółkwi w kościele na katafalku biedną trumnę ustawiono, czerwonym nakryto suknem, a w okół

niej rycerzy garstka i ludu tłumy. Nie było wielu rycerzy i wojowników, bo jedni polegli, drudzy w niewoli, a inni uganiają się za hordami Tatarskimi, ale za to mieszczaństwo i lud otoczyło katafalk i płaczem żegna swego Ojca i Opiekuna.

»Żegnaj nam, bohaterze mężny i dzielny,« mówił kapłan do trumny Hetmana. »Służyłeś wiernie i stale, krew przelewałś w obronie Ojczyzny nie jeden raz, aż w końcu i życie dałeś, a teraz spocznij! Czas Ci spocząć po trudach i znojach. Spocznij cicho! A choć ciebie już nie ma, imię twe żyć będzie na wieki!«

Potem piękną przemową żegnał Hetmana wojewódzki Lubelski ze Złoczowa.

Nie jedną łzę z oka przemowa jego wycisnęła, ale gdy zaczął mówić o synie Hetmana, który nawet tej pociechy w nieszczęściu nie ma, aby mógł trumnę ojca ucałować, który gdzieś tam w turmie oczy łzami zalewa i z pogańskiej ziemi myślą tylko się zwraca ku trumnie ojca i ku zbolącej matce, wtedy wszyscy łkali głośno, a biedna wdowa po Hetmanie twarzą do ziemi padła.

Uderzyły dzwony, pieśń żałobna rozbrzmiała, wzięto trumnę z katafalku i poniesiono do grobu a za nią szedł płacz wdowy, jęk córki i wnuczki oraz łkanie ludu i mieszczan.

Biedną wdowę, wespół żywą, prowadzono do zamku. A gdy wchodzić miała do komnaty, zastąpił drogę Andrzejko.

»Pozwólcie!« szepnął, chyląc się do nóg, »pozwólcie! ja coś mam powiedzieć.«

»Dajże spokój,« odpychając biedaka, mówi wojewoda, który wdowę prowadzi.

Ale Żółkiewska cichym głosem rzecze:

»To pocziwina, on mi wieść z pod Cecory przyniósł. Co chcesz biedaku?«

»Ja pójdę do panicza...«

»Czy podobna?«

»Nie do uwierzenia,« powiada Wojewoda.

Ale Andrzejko na to:

»Nie zostawię tam panicza samego. Pójdę, a choćbym i został tam, to pójdę. Ani mi tu życia, ani spania, tylko za paniczem płaczę, za nim się oglądam.

* * *

Była noc ciemna, kiedy Andrzejko ruszył w drogę. Wziął ze sobą dwa konie, miał jako tako grosza na drogę, miał i broń przy boku.

Andrzejkowa szła za nim, aż po za las, aż po za te lipy wysokie i jeszcze dalej i jeszcze dalej.

»Wracajże,« mówi młynarz, »wszystko jedno, bliżej, czy dalej, i tak pójdziesz sama, a ja wrócę z paniczem, obaczysz...«

»Choć mię żalność przejmuję, choć mi w oczach z płaczu ciemno, ale ci nie powiem: nie idź! Bo jużci teraz już wiem, jakie to nieszczęścia po zamkach i dworach. I tu żałoba i tam płacz, i tu nie wrócili i tam już nie ma kogo wyglądać, a za cóż oni tak biją się i tak cierpią? Za co?... Wszy-

stko wyrozumiałam: oni i za nasze chaty walczą i za nasz spokój giną, to czy my nie mamy iść z pomocą?»

»Zeby też chociaż panicz wrócił, żeby też chociaż pani nasza miała kogo przy sobie, ale już ino jej wszystko na płacz, na smutek i na nieszczęście. Wracaj, Maryś, wracaj, pilnuj pani, już i młyn zostaw, a jak panicz wróci, będzie może lepiej.

Pojechał, aby obaczyć się z Janem Żółkiewskim i powiedzieć mu, że o okup zbierają się pieniądze. Tak samo zbierano pieniądze na wykupno pana Daniłowicza i Koniecpolskiego. O młodziutkim wnuku Hetmana, Staszku Daniłowiczu, żadnej nie było wieści.

Pani Daniłowiczowa osiwała, jak gołąb, przez tydzień jeden z tej żalości za mężem i synem, a chwilami była tak chora, iż bicie serca ustawało a bladłość śmiertelna ją pokrywała.

Gdybyż jakaś wieść! Gdybyż dowiedzieć się, chociaż czy żyje!... Ale Kurzoński, który teraz się przywłókł do Żółkwi, bez nogi i ręki, o kuli, powiada, iż oglądał ciała poległych pod Cecorą, ale panicza tam nie było.

Opowiada on teraz, jak to było, jak Tatarzy cisnęli w około, a już sił do obrony nie stało, to Hetman kazał i konie i wozy pospinać w około, jakby murem, a posuwał się dalej ku Dniestrowi. Lecz wpadli, rozbili, odciepli Hetmanowi prawą rękę, odciepli głowę...

* * *

Pani Żółkiewska zdołała zebrać żądanych 200 000 talarów i wysłała po syna.

Wie, że jest ranny i trwoży się o jego życie... A teraz cała myśl jej i czucie zawieszone tylko na tem, aby doczekać powrotu Jana.

* * *

I zamek w Żółkwi pusty, a głuchy, smutny i żalobny, a nad Polską niebo chmurne i groźne... Oj! nie będzie tu już tych czasów, jakie bywały, już tu się chmury walą i suną, a wrogów cma coraz większa!

Kto też wstanie do boju wielkiego po śmierci Hetmana Żółkiewskiego? Kto też będzie zwyciężać, jak on pod Kluszyńem i Smoleńskiem, jak on w 44 bitwach z Tatarami?

W cichej komnacie przy łożu chorej matki klęczy dziewczę, w żałobne odziane szaty, i modli się o bohatera dla Polski. To Teofila...

* * *

Już śnieg pobiełił pola.

Już mróz ściał rzeki i ziemi łono, już pusto i głucho w około. I zda się, tak jak ziemię ukolysała zima do snu, tak i bóle serc ukoili czas. Ale tak się tylko zdaje. Ci, którzy czekają i czekają na powrót drogich osób z jasyru, ci nie uspokoją tęsknoty serca, a ci, którzy płaczą na grobach, żalu nie uciszą rychło...

Po śniegiem zawianej drodze jedzie dwóch jeźdźców. Jeden z nich stary i silny, drugi młodzie-

teńki a błądy i wątpli. Nie mówią do siebie, tylko popędzają koni, jakby im było bardzo spieszne.

Skręcili do bramy Żółkwi, wjechali w dziedzińiec. Nie zwracał nikt na nich uwagi, bo często tu ktoś wjeżdżał, albo prosząc o przytułek w drodze, albo pytając o wieści. Teraz w zimowej porze Tatarów się nie spodziewano, więc bramy były otwierane. Starszy jeździec zeskoczył z konia, zdjął prawie na rękach młodego towarzysza i wiedzie go w komnaty.

Ze służby nikt nie poznał.

Wchodzą do pierwszej komnaty, stają u progu, aż Teofila woła okrzykiem radosnym:

»Staszek!«

Pani Żółkiewska spojrziała.

»Na Boga! To ty?...«

Rzucił się do siostry i do babki, pytając przecie za chwilę:

»A mama?«

Wprowadzili go do drugiej komnaty, stanął przy łożu matki i ukląkszy witał ją łzami zalany.

»Chmielnicki mnie wyratował. Którędy on nie chodził, nie prowadził, nie wiódł, aby tylko nie wpaść w ręce wrogów. To straszna historia. Ale gdyby nie on, mam, nie byłabyś mnie widziała!«

Chmielnicki pochyla się do nóg pani Daniłowiczowej.

»Jam wdzięczny, całe życie wdzięczny. Wyście mnie przysparnęli, wyście moje serce uszlachetnili.«

»Niech ci Bóg nagrodzi na twoim synie,« rzecze pani Daniłowiczowa.

Zdaje się do zdrowia wróciła, zdaje się do sił przyjdzie, gdy już Staszka ma, choć on wprawdzie chory i zmizerowany, ale żyje i wolny.

Tak biedny nędzarz odwdzieczył się córce Hetmana za jej litość nad ubogim bez dachu i chleba!

* * *

Na wiosnę wrócił Jan Żółkiewski, Daniłowicz, Koniecpolski, wielu innych i Andrzejko, który od panicza nie odstąpił na chwilę.

A więc grobowa cisza i smutek czarny, panujący w zamku Żółkiewskim, poczęły znikać, życie wróciło.

Jan Żółkiewski w rok po Cecorskiej bitwie już bił Tatarów, potem z Kozakami walczył i mało w domu przebywał. A pani Żółkiewska życiem syna sił nabierała i wyglądem jego z wojen pocieszała swą duszę.

Chmielnicki wrócił na Ukrainę i już o nim wieści nie było. Tylko syn jego Bogdan począł się wslawiać walecznością i mężstwem.

Zdawało się, iż dla Żółkiewskich trochę szczęścia zaświta. Zdawało się, iż ten syn Wielkiego Hetmana pomści się na wrogach za śmierć ojca, a potem wróci, osiedzi w gnieździe rodzinnem, ożeni się i będzie żyć dla dobra kraju i szczęścia rodaków.

Ale Bóg inaczej rządzi...

W roku 1623 był w Żółkwi dziwny pogrzeb. Grzebano głowę Hetmana, wykupioną od Turków i grzebano zwłoki Jana Żółkiewskiego, który z powodu rany źle wygojonej zmarł w Warszawie na sejmie.

Za rok umarła pani Żółkiewska.

Tak zgaśł dzielny ród Żółkiewskich w Żółkwi. Trzy grobowce w kościele farnym, trzy pomniki z napisami i wielka pamięć o tej rodzinie, godnej czci i miłości po wszystkie czasy...

VIII.

Pięć lat minęło.

Na zamku w Olesku odbyło się wesele Teofili Daniłowiczówny z Jakóbem Sobieskim, starostą Krasnostawskim.

Wesele było wspaniałe, a panna młoda czuła się bardzo szczęśliwą biorąc za męża człowieka znanego z prawości i rycerskiej odwagi.

Niedługo potem pani Daniłowiczowa pieściła dwóch synaczków państwa Sobieskich, Marka i Jana, nie przeczuwając wcale, czem imię Jana Sobieskiego zapisze się w historii kraju. A gdy syn jej Stanisław dokazywał cudów waleczności w ciągłych bojach i walkach to ze Szwedami, to z Moskalami, ona małemu Markowi i Jankowi opowiadała o dziadku Żółkiewskim, o wuju Daniłowiczu i powtarzała nie raz:

»Wy, jak dorośnięcie, także tak bić się będziecie, bo i tak Polakowi już znaczone, iż ma bronić i siebie i Chrześcijaństwo od niewoli pogańskiej.«

Andrzejkowa zaś w swojej chacie słuchała z zajęciem, jak Andrzej synom swoim opowiada:

»Ciagle wojna i wojna. Bo nasz kraj cudnie piękny, miły, a ich pusty i biedny. Oni chcą nam

zabrać Ojczyznę, oni chcą nas zabrać w niewolę, ale my bronić się umiemy i obronimy. Teraz bije się z wrogami wielu, oni bronią i was, abyście nie poszli do niewoli, abyście nie całowali stopy wroga, aby wam wiary nie zakazywano. Ale gdy tamci spoczna, wy pójdziecie do walki? Dochowają się chłopackowie pani Sobieskiej, dochowacie się wy, moi biedacy, a wtedy dalejże na Turków, bo im Polska musi drogę zamknąć.«

A gdy starszy jego Jasiek pyta:

»To wojna nazywa się służbą?«

Andrzejko tłumaczy:

»Oj! nieboże!... Służba to ciężka i twarda służba, ale strasznie piękna, bo i na grobie pana Hetmana napisano wszystkim do czytania:

»Jak słodko i chlubnie umierać za Ojczyznę, ucx się odemnie.«

Jasiek zadumał się, coś roił i myślał, a matka do ojca szepnęła:

»Może ta i pójdzie z Jaśkiem Sobieskim, któż to wie?«

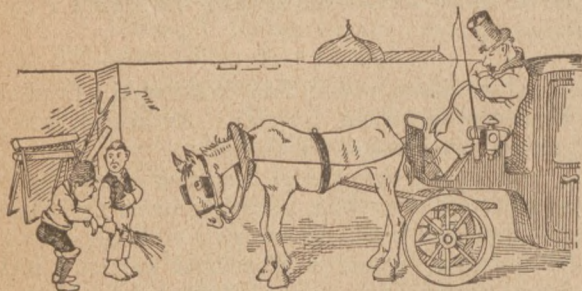
»Coraz gorsze czasy się zbierają, to i coraz więcej będzie wojen, a nie przyjdzie do szczęścia w kraju, dokąd tej niewiary pogańskiej się nie odpędzi...«

»Daj Boże!« szepnęła kobiecina, a przytuliwszy do siebie syna, poczęła się modlić.

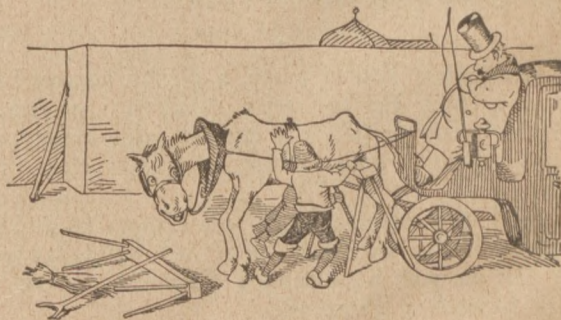
* * *

Nie przeszło lat wiele, a już Jan Sobieski na koniu gonił za wrogami, a z nim i syn Andrzejka.

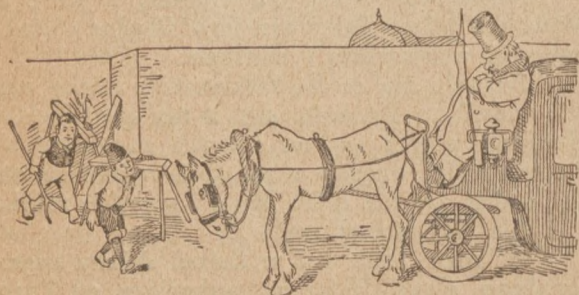
SPORZĄDZONY KOŃ.



1. „Patrz Maksie“, tak Jaś powiada,
„To konisko niemal pada.“



3. Czempredzej nosidła przywlekli,
I zrobili, jak rzekli.



2. Podeprzyjmy więc biedaka,
A potem damy drapaka.“



4. Woźnica znalazł się w kłopotcie,
A smyki śmiali się przy płocie.

— DZIWACTWO ANGLIKA. —

Drogi w Wielkiej Brytanii w dość bliskich odstępach zamykane rogatkami, wysokość słaty jest bardzo różna i tak: konie opłaca się tyle, piesi tyle, powozy tyle i t. d.

Pewien Anglik znany ze swego dziwactwa zamieszkiwał zamek opodal którego właśnie była jedna z wyżej wymienionych rogatek, więc znudzony był ciągłą opłatą przejazdu.

Jednego dnia zajeżdża Anglik przed swą rogatkę. Strażnik zatrzymuje go.

— Czego chcesz odemnie? — pyta zdziwiony.

— Opłaty od przejazdu, — odpowiada strażnik.

— Nic nie zapłacę.

— Jakto nie, przecież pan jedziesz powozem.

— A tak, jadę powozem.

— A więc, proszę płacić.

— Zaczekaj chwilę, co mówi wasze rozporządzenie? Powozy o 2 kołach płacą 6 pensów, powozy o 4 kołach, szylinga. Czy tak?

— Tak, rzeczywiście.

— No, a teraz przypatrz się memu powozowi. Ma on 3 koła, nie nie opłacam, otwieraj baryerę.

Strażnik zawahał się chwilę ale w końcu ulegając natarczywości Anglika podniósł baryerę.

Towarzystwo podatkowe wytoczyło proces właścicielowi powozu o 3 kołach ale przegrało go.

Wskutek tego natychmiast zmieniło swoją takse i między powozami o 2—4 kołach już pierwszej wymienionymi, umieścił także i powozy o 3 kołach.

Ten sam pan znowu zajeżdża przed rogatkę.

— Ah, milordzie, tym razem zapłacisz, — zawołał uradowany strażnik ujrawszy go; — jest przepis dla ciebie wyłącznie; powozy o 3 kołach 8 pensów.

— Nie, nie nie zapłacę — odpowiedział mu Anglik spokojnie.

— Jakto nie, a nowy przepis?

— Ej daj mi spokój z twymi nowymi przepisami, przypatrz się lepiej uważnie memu powozowi.

Strażnik pochylił się aby policzyć koła:

— No, ileż jest kół, — zapytał pan?

— Pięć, dalibóg pięć kół.

— Tak mój chłopcze, pięć kół; a ponieważ wasz regulamin wspomina tylko o powozach o 2, 3, 4 kołach a nie o pięciu, zatem nie będę płacił; otwieraj baryerę.

Towarzystwo wytoczyło drugi proces. Nadaremnie dowodzili oni, że Anglik dodał jedno koło do swej karety, tylko w tym celu, aby okpić ustawę; wszystko napróżno, przegrało proces, bo litera prawa opiewała tylko takse za powozy o 2—4 kołach a nie o pięciu.

Towarzystwo tym razem przepisało w ustawach swych opłatę od pojazdów o 4 kołach i więcej.

Nazajutrz nasz Anglik zajeżdża przed rogatkę. Strażnik czeka nań z miną wyzywającą, wyciągając rękę po opłatę.

— Schowaj swoją rękę, zawołał do niego właściciel powozu i ot-

wieraj rogatkę.

— A, do kata, wykrzyknął rozniewany urzędnik, i licząc na palcach: 2, 3, 4 i wyżej; choćbyś miał pan i dziesięć kół, musisz zapłacić.

— A zapewne, ale patrzaj.

Kareta była zawieszona na szerokim walcu który zastępował miejsce koła.

Strażnik skamieniał ze zdziwienia.

— Widzisz, mój chłopcze, jest tylko jedno jedyne koło. Wasz regulamin nie robi wzmianki o powozach o jednym kole, a zatem nie jestem obowiązany dawać opłaty. Daj mi spokój i pozwól mi przejechać przez rogatkę.



— Ponieważ wasz regulamin wspomina tylko o powozach o 2, 3, 4 kołach, a nie o pięciu, zatem nie będę płacił.

Zdumiony strażnik uczynił zadość żądaniu Anglika, który z miną tryumfującą ruszył w dalszą drogę. Tymczasem Towarzystwo nie uciekając się do procesu znowu zmieniło przepis trzy razy już tak spry-

tnie objechany i dużemi literami wypisało: „Powozy od jednego koła do trzech czterech i t. d.“.

— Dobrze — powiedział zadowolony Anglik, — teraz zapłacę!

Mikuś Rozumek na noclegu w hotelu.



Siostra Mikusia Rozumka, Gertruda, starsza o dwadzieścia lat od brata, służyła jako kucharka u pewnego sędziego w Raciborzu. Gdy sędzia przyjął posadę przy sądzie w Brzegu, pani sędzina nakłoniła Gertrudę,

aby z nimi do tego miasta poszła. Gertrudzie nie bardzo się to podobało, albowiem Brzeg miasto całkiem niemieckie i przeważnie ewangelickie, lecz na wielkie prośby sędziiny, zgodziła się ostatecznie. Tam przeżyła jeszcze kilka lat w pracy wytrwałej i pobożności, a gdy zmarła, wdzięczne państwo wyprawiło jej pogrzeb.

Mikuś przyjechał na pogrzeb i przy tej sposobności dowiedział się, że siostra pozostawiła kilkaset marek przeznaczwszy je przed śmiercią jego dzieciom. Nie mógł ich zaraz odebrać, lecz za staraniem pana sędziego zostało wszystko w ciągu kilku tygodni uporządkowane, a Mikuś wybrał się znowu do Brzegu po pieniądze. Odebranie pieniędzy poszło gładko. Mikuś zawiązał papierowe pieniądze w chustkę i podziękowawszy panu sędziemu za życzliwość, siedł ku domowi.

Był już wieczór. Nie znając rozkładu jazdy, nie wiedział, czy na pociąg zdąży. Przybywszy na stację, zapytał się sługi stacyjnego, kiedy pociąg do Opola odjeżdża. Ponieważ dosyć słabo mówił po niemiecku, sługa nie zrozumiał go od razu, lecz ostatecznie domyślił się, o co chodzi i odrzekł, że pociąg dopiero co odszedł, a następny z czwartą klasą poje-

dzie dopiero późno w nocy, prawie już nad ranem. Mikuś zasmucił się i zaczął rozważać, coby uczynić. Tyle godzin na dworcu czekać, to nudna sprawa. A potem przez całą noc jechać w wagonie, to męczące; cóż zrobić? Przypomniawszy sobie, że ma kilkaset marek przy sobie, przeląkł się jeszcze bardziej. Należy tu na dworcu albo potem w wagonie usnąć,

jakże łatwo mogą mu pieniądze skraść?!

Wyszedł zatem przed dworzec i chodząc tam i sam rozważał, jak postąpić.

Naraz przyszło mu do głowy: Najlepiejbym zrobił, gdybym przenocował tutaj, a jutro wyjechał wypoczęty.

Tak jest, tak byłoby najtaniej i tak uczynię.

Lecz gdzie zanocować? W jakiej skromnej gospodzie, byłoby najtaniej, lecz pieniądze, pieniądze!

— Pójdę do hotelu, — rzekł wreszcie, bo słyszał, że w hotelu, czyli pańskiej oberży, każdy dostaje osobną izbę, którą na klucz zamknąć może.

Ruszył tedy Mikuś ulicą ku miastu, a zaledwie kilkanaście kroków uszedł, zobaczył wielki dom, na którym widać było napis: Hotel.

Przed domem stał człowiek w mundurze z złotymi obszywkami jak



— Czego tu chcecie?

— Noclegu — odpowiedział. (Str. 154).

policyant albo komornik sądowy.

— Ha, — pomyślał sobie Mikuś, — skoro ten tu przed drzwiami na straży stoi, to w tym hotelu z pewnością jest bezpiecznie.

Zbliżył się przeto ku mundurowemu i ukłonił mu się nisko. A ten zaraz zapytał po niemiecku:

— Czego tu chcecie?

— Noclegu — odpowiedział.

Wraz krzyknął umundurowany, który nie był policyantem ani komornikiem sądowym, lecz odźwiernym hotelu:

— Hej, numer czterdziesty piąty!

Zaraz ukazał się sługa i zdjawszy klucz z tablicy, skinął na Mikusia, który poszedł za nim.

Zaczęli wchodzić po schodach, ale odgłosu ich kroków wcale słyhać nie było, bo na schodach leżały miękkie kobierce. Idą i idą aż nakoniec sługa otworzył drzwi izby, zapalił dwie świece, na stole stojące i wyszedł.

Mikuś, człowiek oszczędny, zaraz jedną świecę zgasił, albowiem przy jednej świecy też było w izbie dosyć jasno. Obejrzał się potem dokoła i pomyślał sobie, że jeszcze nigdy w tak ładnym pokoju nie przebywał. Stała tam wielka kanapa, na której dla trzech lub czterech ludzi miejsce było, stół polerowany na jednej nodze, a na ścianach obrazy w świecących ramach. Niedaleko drzwi zobaczył miednicę, malowaną w kwiaty, jakie na kubkach do kawy bywają; przy niej różne miseczki okrągłe i podłużne, a wszystkie z malowanymi kwiatkami. Łóżko wielkie i wygodne.

— Tu się dobrze wyspię — rzekł sobie Mikuś, — ale najprzód drzwi zamknę.

Gdy ku drzwiom podszedł, zobaczył tuż przy futrynach drzwi okrągłe kółko, do ściany drzwi przymocowane, a w jego środku biały niby guzik.

— Co to być może?

— pomyślał i palcem zaczął naciskać na guzik. Sądził, że się otworzy jaka skrytka, lecz zawiódł się w oczekiwaniu.

Natomiast usłyszał, jak w drugiej izbie, albo w sieni dzwonek się odezwał. Jeszcze stał przy tajemniczym guziku, gdy ktoś do drzwi zapukał.

— Rein! — zawołał.

Drzwi się otwały, a w nich stanęła pokojówka i zapytała:

— Czego chcecie?

Mikuś rozgniewał się i krzyknął:

— Spokój chcę mieć.

— Dla czegoście tedy dzwonili? — spytała pokojówka.

— Ja dzwoniłem — oburzył się Mikuś, — ani mi się śniło. Spać chcę!

I zaraz zamknął drzwi przed nosem pokojówce.

Potem zwrócił się znowu do guzika, bo go niepokoiło, co by to być mogło. Znowu nacisnął i długo trzymał palec na guziku.

I znowu usłyszał dzwonenie, a po chwili ktoś do drzwi zapukał.

— Kto tam? — krzyknął rozgniewany.

Drzwi się otworzyły i wszedł sługa hotelowy, zapytując:

— Czego chcecie?

— A wy czego?

On spojrzał na niego wielkimi oczami i rzekł:

— Na co tedy dzwonicie?

— Kiedy dzwoniłem?

— W tej chwili.

— Nie prawda — krzyknął Mikuś — nie dzwoniłem.

— Musieliście dzwonić.

— Jakże mogłem dzwonić, skoro dzwonka nie mam?!

— Aleście musieli pociśnąć na guzik, na ten guzik.

Tu wskazał na ów nieśczęśliwy guzik przy drzwiach.

Teraz dopiero zrozumiał Mikuś, na co jest tajemniczy guzik.

— No, no — rzekł — nie wiedziałem, co ten guzik znaczy, nie wiedziałem. Darujcie mi...

Sługa odszedł, pomrukując, a Mikuś zamknął drzwi na zasuwkę i postanowił się położyć.

Jako dobry katolik pomyślał przedewszystkiem o pacierzu i zaczął się po izbie oglądać za krzyżem lub świętym obrazem, ale nie ujrzał ani jednego, ani drugiego. Mruknął przeto:

— Poganie...

Potem ukląkł i zmówił pacierz. Następnie włożył pieniądze pod poduszkę, rozebrał się i położył. Łóżko było wygodne, pościel czysta i miła, Mikuś z przyjemnością wyciągnął zmęczone kości.

Wtem przypomniało mu się, że sługa mu powiedział, ażeby buty przede drzwi wystawił. Na co? A gdy je kto porwie? Ale skoro sługa o tem mówił, to przecie na darmo tego nie gadał i musi w tem być jakiś sens. Co tu począć?



— Co to być może? — pomyślał i palcem zaczął naciskać na guzik. (Str. 155).

— Wiem, co zrobię.

Mikuś jako człowiek przezorny miał zawsze przy sobie sznurek. Nie wiedzieć bowiem, kiedy się szelka zerwie, albo co innego, więc zawsze dobrze mieć sznurek gwoździ potrzeby.

Wstał przeto, wyjął sznurek z kieszeni, uwiązał jeden koniec u butów i wystawił je przede drzwi, potem drzwi zamknął na zasuwkę, a drugi koniec przywiązał do wielkiego palca prawej nogi i tak się położył, uśmiechając się i myśląc:

— Teraz mi ich nikt nie porwie, bo przywiązane.

Uspokojony o los butów, usnął twardo.

Zaczął mu się śnić, że jest w lesie; chodzi i chodzi, aż naraz — trzask, o rety, nie uważał dobrze i stąpił prawą nogą w żelazne siadła na lisy, zastawione przez myśliwców. Żelazo chwyciło go akurat za wielki palec, który boli. Mikuś się poci z bólu, aż w końcu obudził się.

— Dla Boga, to nie sen, to wielki palec prawej nogi rzeczywiście mocno go boli. Czyby szczur mi palec ogryzał?

Zrywa się tedy, patrzy i miarkuje, że boli go dla tego, ponieważ ktoś mocno za sznurek targa.

— Aha, złodziej — krzyknął — porywa mi bóty.

Jednym sussem wyskoczył z łóżka, zły okropnie.

— Poczekaj, ty gałganie, dostanę ja cię.

Gwałtownie więc otworzył i widzi przed sobą człowieka. Jak się tedy nie odmachnie, jak nie huknie „złodzieja“, tak tenże od razu padł, jak długi na ziemię. Ale w mig się zerwał i zaczął uciekać, wrzeszcząc:

— Waryat! Waryat!

Hałas się zrobił w hotelu. Drzwi pokoi zaczęły się otwierać, a Mikuś ciągle krzyczał:

— A ty złodzieju cudzych butów, umykaj, abym cię policyi nie oddał.

— Co się stało? — pytają się ze wszystkich stron, a sługa opowiada:

— Chciałem wiać bóty tego człowieka, aby je wyczyścić, a on wyskoczył i wybił mnie. To waryat! Najprzód dzwonił ciągle niepotrzebnie, a potem nas wyganiał, a teraz mnie wybił.

Mikuś zmiarkował teraz dopiero, o co chodziło, zawstydzil się przeto i rzekł do narzekającego:

— No, no, ja myślałem, że mi bóty porwać chcecie. Nie gniewajcie się na mnie, rano sobie wypijemy obaj na zgodę. Ja jeszcze nigdy w pańskim hotelu nie mieszkalem, więc nie znam zwyczaj. Przebacze!...

Potem zamknął drzwi i chciał spać, ale już usnąć nie mógł.

Rychło rano wstał i zadzwonił.

— Chcę zapłacić za nocleg — rzekł do kelnera.

— Zaraz.

Ale gdy po chwili rachunek zobaczył, przełakł się, bo żądali aż 4 marki. Nie jednak nie rzekł, tylko zapłacił.

— Zdarli ze mnie, ale lepiej nie mówić, aby mnie za hałas i pobicie do prokuratora nie oddali.

Schował dobrze pieniądze i wychodzi, a przy bramie stoi kelner i wyciąga rękę. Mikuś myślał, że to na pożegnanie, ścisnął mu przeto rękę, aż kelner krzyknął i szedł dalej.

Na dole przy bramie stał ten sam „komornik sądowy“ i też

rękę wyciągał.

— Grzeczni ludzie! — pomyślał Mikuś i uściśnął i temu silnie rękę.

A na sługę, którego wybił, a który też tam stał, skinął, mówiąc:

— Chodźcie ze mną na jednego!

— Nie, nie, — krzyknął tamten i uciekł.

— Kiedy nie, to nie — mruknął Mikuś, udał się do dworca i niedługo potem jechał koleją do domu.

Długo jeszcze opowiadał znajomym o przygodach w miejskim hotelu i każdego ostrzegał przed takim noclegiem.



Zaczął mu się śnić, że jest w lesie; chodzi i chodzi, aż naraz — trzask, o rety, nie uważał dobrze i stąpił prawą nogą w żelazne siadła na lisy, zastawione przez myśliwców.

— PRAKTYCZNE RADY. —

Mszyce trapią niezmiennie kanarki, zwłaszcza w nocy. Są to robaczki czerwone, gołym okiem niedostrzegalne. Kanarkom takim nabrzmiewają nogi i biedne ptaki bardzo niszczą. Robaczki te wytępić można z klatki następującym sposobem: włożyć na noc do klatki białą szmatkę; robaki wejdą w tę szmatkę, a wtedy nazajutrz rychło rano trzeba szmatkę spalić, aby znów mszyce z niej nie wyszły.

Mole (Motten) usunąć. 1) Z mebli, futer, kożuchów i rzeczy, których nie można niczem naproszkować, usuwa i wytępia się mole, gdy się te rzeczy co dwa tygodnie mocno wytrzepie. 2) Zaszyć kwiatów lawendowych i suszonej macierzanki leśnej w woreczki z gazy i trzymać je w szafie. 3) Włożyć do rzeczy czarnego lub białego pieprzu, kamfory, suszo-

nych łądyg z konopi, świeżego łuczywa, tabaki lub cygar. 4) Wytrzepać na wiosnę rzeczy gładką trzcinką, nasypać naftaliną lub pieprzem białym, zaszyć i zachować w skrzyniach, w których się jeszcze znajduje bielizna biała. 5) Włożyć do szaf i skrzyń 3—4 razy w roku szmatki umaczane w terpentynie. 6) Trzeba często trzepaniem przeszkadzać molom w zagnieźdzeniu się, zwłaszcza w Lutym i Marcu. Nim się rzeczy na lato zachowa, trzeba je dobrze wywietrzyć w cieniu i wytrzepać. Kożuchy wycesać czystym grzebieniem, czem się usuwa jajka moli. Zapakować je potem w płótno, zaszyć i zachować w szafach lub skrzyniach w których rozsypano kamforę, naftalinę i t. p. Mole nie znoszą przewiewu, dla tego trzeba od czasu do czasu materye i kożuchy wywiesić w miejscu przewiewnem.

— TANIE GĘSI. —



1. Dwie babki sobie powiadają,
Jakie to tłuste gęsi mają,
A dwaj łądęgi na murze
Myślą o sznurze.



2. Na sznurze potem wędka spada
A babka wciąż do babki gada,
Każda więcej wiedzieć rada,
Więc gada, gada.



3. Nie słyszą nic ani nie czują,
Choć gąski ciągle pogęgują,
Biorą gęsi dwaj „gęsiarze“
Gęś po talarze.



4. Lecz naraz cicho się zrobiło,
I w koszu dziwnie też ulżyło,
Gadanie bab się skończyło:
Gęsi nie było!...

WESOŁY PASAŻER.

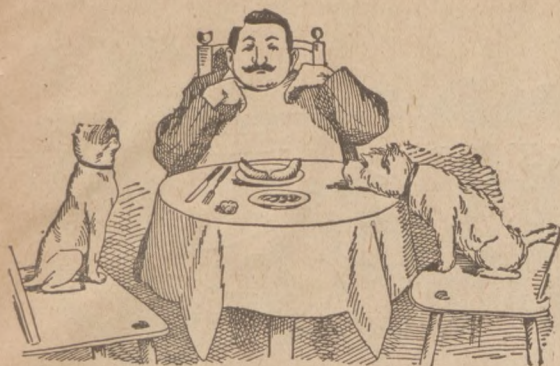
(Scena w wagonie III. klasy w Galicyi).

— Panie kupiec!
— Dlaczego ja mam być koniecznie kupiec? Może ja akurat jestem fabrykant?
— Czuć to...
— Co ma być czuć?...
— Pan się jeszcze pyta?
— Kto pyta — nie błądzi.
— Panie konduktorze! Panie konduktorze!
— A tam co za gwałt?
— Proszę wyrzucić tego — filozofa!
— Jakto wyrzucić? Pan myśli, że ja się boję takiej awantury kryminalnej?
— Wstydz się pan!
— Czego mi pan konduktor każe się wstydząć? Może dlatego, że kupiłem bilet?
— Pasażerowie nie mogą z panem siedzieć...
— Niech sobie stoją... Mnie to nie nie przeszkadza!
— Proszę za mną...

— Gdzie?
— Czy pan idzie?
— Dlaczego ja mam iść? Czy to mój bilet fałszywy?
— Panie! bo pójde po naczelnika...
— Oj! jaki pan gorący! Pozwól no pan. zabiorę swój bagaż...
— Co to za pakunek?
— Nie wolno mi pakunku mieć przy biletach?
— Co pan tam wieziesz?
— Co ma być? Zwyczajna skóra bydlęca jest...
— Surowa?
— A jaka ma być, gotowana?
— Jak pan śmiesz wozić to z sobą?
— Przecie samo za mną nie poleci!
— Zapowietrzyłeś pan cały wagon!
— To trudno! Ja nie mam fabryki wody kolońskiej. Garbarz jestem.

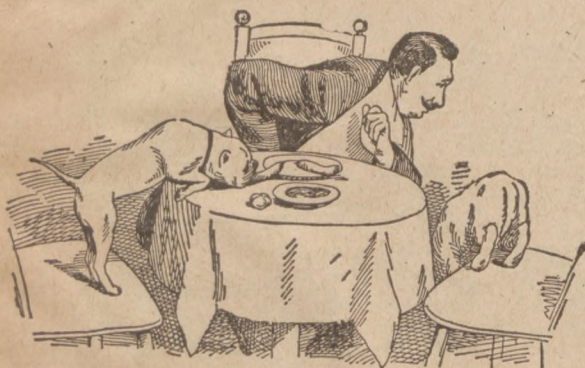
≡ ŁAKOME PIESKI. ≡

1.



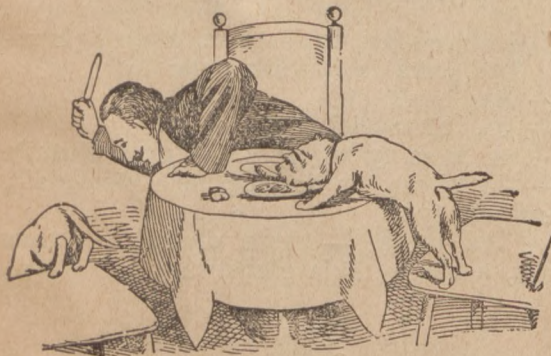
Gdy pan ten swe śniadanie zjada,
Zawsze dwóch piesków przy nim siada.

2.



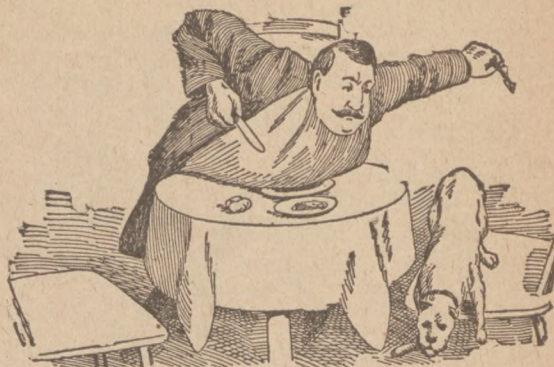
„Pójdziesz!” Pan się na lewo zrywa,
A prawy piesek „wurszt” porywa

3



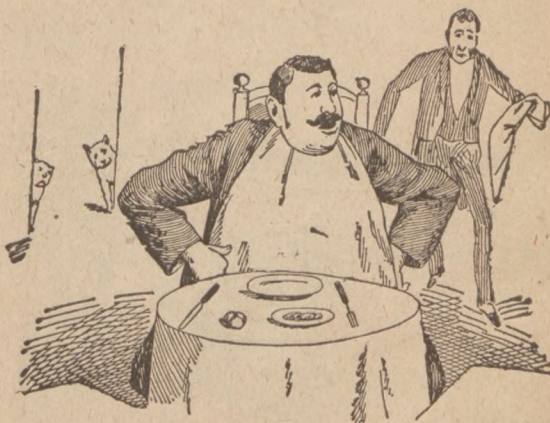
„Pójdziesz!” na prawo pan się zmierza.
Lewy kielbasę łap z talerza.

4.



„Precz z moich oczu, ty niecnoto,
Precz, precz złodzieje, psia hołoto.”

5.



Ale nie pora krzyczeć na nie,
Gdy pańskie zjadły już śniadanie.

Wet za wet.

Doktor został wezwany w nocy, żeby natychmiast jechał do chorego, który mieszkał po drugiej stronie rzeki. Stanąwszy u przewozu, pyta doktor przewoźnika, ile żąda za przewiezienie go po za rzekę.

— Talara, proszę pana doktora!

— I ty się nie wstydzisz żądać tak wiele za przeprowadzenie jednej osoby? — rzekł oburzony lekarz.

— Tać wielmożny pan doktor, jak moją matusię przepawił na tamten świat, wziął 10 talarów i nie się nie wstydził!



PRZYGODA PIEKARCZYKA.

1.



Hej, patrzcie, ten pod drzewem śpi
I pewnie mu się pięknie śni.

4.



Piekarczyk leci, niesie kosz,
Aby zarobić jaki grosz.

2.



Dwaj prędko biorą długi sznur,
I wiążą mocno, jakby mur.

5.



Wtem trzask! — a owi trzej we krzyk,
Porwali ciasta, drapli w mig.

3.



„Piekarzu, hej, daj ciastka nam,
Pójdź bliżej, to ci grosze dam.“

Wziął się na sposób.

Zyd przychodzi do dłużnika, a ten się zamknął. Zyd puka, a dłużnik pyta:

- Kto tam?
- Ja, wierzyciel.
- A w co ty wierzysz? — pyta dłużnik.
- Ja wierzę, że dostanę moje pieniędzy
- powiada zyd.
- Idź precz, — woła dłużnik — wierz w Boga, a nie w takie głupstwa.



Niezbędne wiadomości o podatkach.

Podatek domowo-klasowy.

A. Klas podatku domowo-klasowego jest 16; z tego szesnasta klasa dzieli się na dwie: według załączonej tablicy:

XVIa. domy w pustkowiu z 1 częścią mieszkalną podatek domowo-klasowy	1 kor. 50 h.
XVIb. domy o jednej części mieszkalnej	3 » — »
XV domy o 2 częściach mieszkalnych	3 » 40 »
XIV » » 3 » » »	4 » 20 »
XIII » » 4 » » »	9 » — »

Jeżeli ktoś wybuduje dom, obowiązkiem jego jest donieść o tem starostwu przy potwierdzeniu gminy, prosząc o nałożenie nowego numeru domu.

Od podatku domowo-klasowego przysługują uwolnienia.

Aby to uwolnienie uzyskać, należy zaraz jeszcze przed zamieszkaniem, a zaraz po ukończeniu budowy wnieść podanie o wolne lata do odpowiedniego starostwa. Podanie to powinno zawierać: a) podanie samo, b) pozwolenie budowy, c) zatwierdzony plan budowy, d) potwierdzenie czasu ukończenia budowy, e) pozwolenie o zamieszkanie, f) topograficzne opisanie budynku.

WZORY.

(Rozumie się samo przez się, że każdy wzór ma być napisany na pół arkusza papieru.)

1. Pozwolenie budowy.

Na mocy którego zwierzchność zezwala na wystawienie budynku parterowego o 4 częściach mieszkalnych Janowi i Elżbiecie Wilgockim.

Zwierzchność gminna.

Wola Zdanowska, dnia 3 listopada 1902.

2. Potwierdzenie.

Na mocy którego zwierzchność gminna potwierdza, że dnia 20 listopada 1902 r. dom Jana i Elżbiety Wilgockich został zupełnie ukończony.

Zwierzchność gminna w Woli Zdanowskiej.

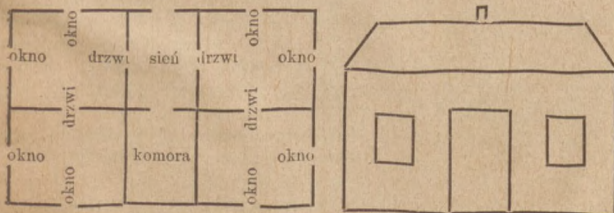
3. Pozwolenie zamieszkania.

Na mocy którego nowo wybudowany dom Jana i Elżbiety Wilgockich, ze wszystkimi warunkami zdrowotnymi się zgadza i według wszelkich przepisów jest zbudowany, przeto z dniem dzisiejszym pod używanie może być oddany.

Zwierzchność gminna.

Wola Zdanowska, dnia 20 listopada 1902.

4. Plan budowy.



Powyższy plan potwierdza się.

Zwierzchność gminna.

5. Dokładny opis części domu wraz z zabudowaniami.

Jeżeli dom spali się, lub zwałi się, albo go woda zniszczy,

należy prosić c. k. Starostwo o odpis podatku, który można otrzymać na jeden rok. Dla ułatwienia napisania prosby, posłużą następujące wzory:

Świetne c. k. Starostwo.

Niżej podpisany kupił dom l. sp. 80 w gminie N. od Leona Stasiaka, zawierający jedną część mieszkalną. Dom ten jednak zburzono, i wystawiono nowy o 2 częściach mieszkalnych. Uprasza się przeto o odpis domu starego o 1 części mieszkalnej, a przypis z 2 częściami mieszkalnymi.

Świetne c. k. Starostwo.

Niżej podpisany posiada dom o 2 częściach mieszkalnych, l. sp. 5 gmina gdy tymczasem w spisach urzędu podatkowego w dom ten posiada 3 części mieszkalne, upraszam przeto o zbadanie i odpisanie 1 części mieszkalnej za trzy lata; od tego bowiem czasu taki dom niesłusznie opłacam.

Świetne c. k. Starostwo.

Niżej podpisany został zafantowany za dom n. 75 w gminie, a ponieważ niżej podpisany posiada dom l. sp. 25 i ten już opłacił, przeto upraszam o zbadanie i uwolnienie mnie od sekwestracji.

Świetne c. k. Starostwo.

Niżej podpisany donosi, że dom l. sp. 87 zawierający 2 części mieszkalne został zmniejszony do 1 części mieszkalnej, gdyż jedna z powodów lichego stanu musiała być zburzona. Upraszam tedy Świetne c. k. Starostwo o odpisanie podatku z jednej części mieszkalnej.

Świetne c. k. Starostwo.

Niżej podpisany donosi, że w dniu 7 maja 1902 dom l. sp. 75 w gminie spalił się, a ponieważ dom ten tego roku nie zostanie odbudowany, upraszam przeto o odpis podatku zupełnie.

Słownko o reklamacjach wojskowych,

albo

Jak i kiedy sporządzać należy reklamacje wojskowe.

Z własnego już doświadczenia wiecie niezawodnie mili czytelnicy, że niejednemu z was lub waszych synów przysługiwało prawo uwolnienia od czynnej służby wojskowej a przeniesienia do tak zwanej rezerwy zapasowej (Ersatz-Reserve) t. j. służenia w wojsku nie 2 lub 3 lata, lecz tylko 2 miesiące, tudzież że wnoszenie tego rodzaju prośb, nieraz bardzo a bardzo drogo was kosztowało.

Komu przysługuje prawo wnoszenia reklamacji wojskowej, to dokładnie określa ust. wojskowa z dnia 11 kwiet. 1889 (Dziennik ust. państwa Nr. 45), którą znaleźć powinniście w każdym urzędzie gminnym. Wiedzieć również powinniście, że do każdej gminy przychodzi co pewien czas, z c. k. Starostwa »Dzienniki ustaw i rozporządzeń krajowych i państwowych« po to, by naczelnicy gmin w odpowiedni sposób bądź przez zwykływanie „gromad“, bądź też w Czytelniach i Kółkach rolniczych i t. d. pouczali nas o nowych ustawach, uchwalonych przez Radę państwa (w Wiedniu) lub Sejm krajowy (we Lwowie) a sankcyonowanych (potwierdzanych) przez samego Monarchę.

Ze tak prawie nigdzie dziś się nie dzieje, wina to nie tylko naszych pp. wojtów, ale nas samych, bo nie domagamy się od nich tego, lecz co prawda, także lekceważymy sobie najżywniejsze sprawy obywatelskie.

Za owe »Dzienniki« płaci każda gmina 4 kor. rocznie — a po co? pytam się, ot, po to tylko, by ten lub ów wojt, nie przejrawszy ich nawet, miał czem owijać masło, ser, by sprzedać je wreszcie sklepikarzowi, na zawijanie cukru, kawy lub pieprzu? W razie przekroczeń zaślamiamy się nieświadomością ustaw, lecz tłumaczenie takie prawie nigdy nam nie pomaga, albowiem poznanie ustaw i wszelkich rozporządzeń leżeć winno we własnym interesie każdego obywatela.

Po przeczytaniu tych słów paru, baczmyż więc, ażeby w gminach naszych „Dzienników“ ustaw i rozporządzeń państwo-

wych i krajowych nie niszczone, ale składano w „roczniki“ i na żądanie wypożyczano proszącym o nie członkom gminy.

Wracając do rzeczy, pozwolicie Szanowni Czytelnicy, gdy choćby słówkiem wspomnę o wnoszeniu reklamacji wojskowych, za sporządzanie których niesumieśni wyzyskiwacze-pisarze, każą sobie płacić bardzo słono, bo 5, 10, 15. a nawet i 20 zł. Tacy »pokątni adwokaci« formalnie żywcem pasy z nas zdzierają a jak tylko mogą, to nas wyzyskują, bo nic nie czytamy, nie pracujemy nad swą nędzą, wieśniaczą dolą.

Celem uchronienia was, zadni bracia, przed owem zdzierstwem, podaję poniżej kilka wzorów, na podstawie których, każdy rozumniejszy a piśmienny gospodarz potrafi w razie potrzeby, wnieść stosowne podanie c. k. Starostwa.

Wprzód jednak nadmienię, że prawo wnoszenia reklamacji wojskowych przysługuje nie tylko 60-letniemu ojcu albo wdowie (bez względu na jej wiek) której najstarszy syn ma stać się na plac poboru wojskowego (asenterunku) lub nawet pełnić służbę wojskową, lecz także i takiemu gospodarzowi, który nie ukończył lat 60, a jest słabowity i do cięższej pracy niezdolny. To samo prawo uzyskać może i sam popisowy, lub nawet i będący już w czynnej służbie wojskowej, jeżeli prowadzi lub jest potrzebny do prowadzenia odziedziczonego gospodarstwa (które inaczejby zmarniało), lub jako najstarszy w rodzinie z powodu śmierci ojca, żywić musi osierociłe młodsze rodzeństwo.

Podanie takie wnosi się zawsze do c. k. Starostwa przed poborem wojskowym w miesiącu grudniu. Uczynić to jednak można i kiedy indziej, jeżeli atoli potrzebne ku temu zajdą okoliczności.

Do prośby tej trzeba dołączyć następujące załączniki (zwane często »allegatami«):

1. Wyciąg familijny z metryk (wolny od stempla), który sporządzi na stosownym blankiecie Urząd parafialny.
2. Świadekwo gminy, mocą którego dwaj gospodarze, mający synów popisowych lub pełniących służbę wojskową, dla których uwolnienia, ani odstawienia, ani czynnej służby w wojsku nie żądają, poświadczają, że syn proszącego potrzebny jest do utrzymania rodziny itd. (patrz wzór B).
3. Książkę podatkową, z której wypisuje się do „świadectwa gminy“ (B) podatek domowo-klasowy, gruntowy lub zarobkowy.
4. Arkusz (C) posiadłości gruntowej, na podstawie których wyciąga się do „świadectwa gminy“ (B) ilość morgów (hektarów, arów) gruntu ornego, łąk, pastwisk i t. d.

A. Wzór prośby.

Rubrum. Świetne c. k. Starostwo!

Niżej podpisany (a) w gminie Buczków pod N. kons. (d.) 79 zamieszkały, mający (a) jednego (rozumieć należy najstarszego, przyp. autora) syna

Jakóba Ciackiewicza

od którego utrzymanie moje i nieletniego rodzeństwa jedynie zawisło, a który to syn w roku 1904 z I (II III) klasy popisowych na placu poboru wojskowego w Bochni powołanym został

prosi o uwolnienie syna

Jakóba Ciackiewicza z I klasy popisowych w 1904 r. powołanego, od czynnej służby wojskowej, jeżeliby tenże został asenterowany.

by Świet. c. k. Starostwo na mocy istniejących ustaw, syna mego Jakóba, nie tylko samodzielnie prowadzącego gospodarstwo i opłacającego wszelkie podatki, ale będącego jedyną podporą w mej starości i nieudolności do pracy, raczyło uwolnić od czynnej służby wojskowej, jeżeliby tenże został asenterowany.

- Na poparcie swej prośby załączam
- a) Wyciąg familijny z metryk,
 - b) Świadekwo gminy,
 - c) Książkę (i) podatkową (we),
 - d) (2) Arkusz (e) posiadłości gruntowej.

W Buczkowie, dnia 20 grudnia 1903 r.

4 załączniki.

Joachim Ciackiewicz,
ojciec.

B. Świadekwo gminy.

My niżej podpisani, mający popisowych synów (lub pełniących czynną służbę wojskową), których uwolnienia, ani odstawienia, ani od czynnej służby w wojsku nie żądamy, poświadczamy, że Jakób Ciackiewicz potrzebny jest w domu dla utrzymania swojej rodziny, mianowicie Joachima, ojca do pracy niezdadnego, Katarzyny matki (wdowy) tudzież Jana, Filipa, Anny, Zofii i t. d., braci i siostr nieletnich, że rodzina ta oprócz domu pod l. kons. 79 w Buczkowie, gruntu pod liczbą rep. 46 (wypisać z książeczki podatkowej) w Buczkowie, składającego się z 4 morgów 1300 sążni kwadr. roli, 2 morgów 96 sążni kwadr. łąk, razem 6 morgów 1396 sążni kwadr., od którego podatku domowego 6 kor. — hal., gruntowego 10 kor. 76 hal., razem 16 kor., 76 hal. opłaca, żadnego innego majątku i innego źródła do utrzymania rodziny tej nie posiada, że reklamowanego stosunki jako żywiciela rodziny są po temu, iż może dać rodzinie rzeczzonej dostateczne wsparcie.

Dalej stwierdzamy po dokładnem zbadaniu i sumiennem ocenieniu tych stosunków i to wedle własnego przekonania, że utrzymanie wymienionej rodziny tylko od reklamowanego istotnie zawisło i że on dotąd obowiązek ten rzeczywiście i sumiennie wypełniał. W końcu dodajemy, że prowadzenie niniejszego gospodarstwa najętymi siłami lub wydzierżawienie tegoż, mogłoby utrzymanie tej rodziny narazić na niemożliwość.

Buczków, 20 grudnia 1903 r.

Józef Cichostępski, świadek.

Jan Błoński, świadek.

Zupełną prawdziwość tak świadectwa jak i podpisów stwierdzam z tym dodatkiem:

że świadek Józef Cichostępski ma syna Grzegorza w I klasie (albo, służy przy 13 pułku piechoty),

że świadek Jan Błoński ma syna Stanisława w II klasie (albo służy przy 6 pułku ułanów).

Naczelnik gminy.

(Pieczęć).

Stanisław Rudnicki.

Na zakończenie dodaję jeszcze, że podanie według wzoru A sporządza się wtedy, gdy chce się uzyskać pierwszą reklamację. Gdy atoli reklamowany odbył już 2-miesięczną służbę w rezerwie zapasowej, winien przez lat trzy zawsze w miesiącu styczniu wnieść podanie według wzoru C.

Wzór C.

Rubrum. Świetne c. k. Starostwo!

Niżej podpisany uprasza o przyznanie mu dalszego uwolnienia od czynnej służby wojskowej na rok 1905, albowiem warunki, utrzymujące w mocy dawniejsze uwolnienie, w niczem się obecnie nie zmieniły.

Na poparcie swej prośby dołącza pod

- a) wyciąg familijny z metryk (potwierdzony znowu przez Urząd parafialny na tym samym blankiecie co i w roku zeszłym, zwróconym przez c. k. Starostwo),

- b) świadectwo gminy (t. j. odpis zeszłorocznego świadectwa, wzór B),
- c) książkę podatkową,
- d) arkusz (e) posiadłości gruntowej.

W Buczkowie, dnia 3 stycznia 1905.

Jakób Ciackiewicz,
utrzymujący rodzinę.

4 załączniki.

Z przytoczonych wyżej wzorów widzicie łaskawi czytelnicy, że w sporządzaniu prób w sprawie reklamacji nie ma żadnej sztuki. Trzeba tylko nieco szczerzej chęci, a z pewnością unikniecie wyzysku i zdzierstwa ze strony nieuczciwych pisarzy i im podobnych »adwokatów pokątnych«. W niektórych nawet drukarniach znajdziecie drukowane wzory, które tylko wypełnić należy z uwagą, stwierdzić podpisami świadków i wójta i przesłać c. k. Starostwu wraz z załącznikami pod a, b, c.

Jeżeli czas i okoliczności pozwolą, to za pośrednictwem »Prawdy« prześlę wam znowu, drodzy bracia-włościanie, wzór prośby, gdy chodzi w razie istotnej potrzeby, o zwolnienie od ćwiczeń wojskowych.

Franciszek Seczeński.

Miary długości i powierzchni nowe i stare.

Obecnie wydają, jeśli tego zachodzi potrzeba, nowe arkusze gruntowe, na których mało po największej części się ludzie znają. Napisano tam, że np. parcela wynosi 1 ha 38 a i 65 m² (kwadratowych). Do dziś dnia powierzchnię pola mierzono na morgi (1 morg = 1600 sążni kwadratowych). Gdy atoli w niedługiej przyszłości i w księgach hipotecznych nowe tylko miary będą uwidoczniane, przeto podajemy tabelki do zamiany morgów i sążni na hektary (ha), ary (a), metry kw. (m²) i odwrotnie; wprzód jednak wyjaśnić trzeba, że kawałek gruntu długości 1 m. i szerokości 1 metr, mający więc dwa rozmiary, zowieśmy metrem kwadratowym a oznaczamy go literą m z małutką dwójką z boku (m²); 100 m kwadratowych (m²) wynosi 1 ar (a) zaś 100 arów (a) równa się 1 hektarowi (ha) czyli 100 razy po 100 m² a więc 10 tysięcy metrów kwadratowych czyli

$$(1 \text{ ha} = 100 \text{ a} = 10.000 \text{ m}^2)$$

$$1 \text{ a} = 100 \text{ m}^2$$

$$1 \text{ m}^2 = 100 \text{ dm}^2 (\text{dm kw.}) = 10.000 \text{ cm}^2$$

$$1 \text{ dm}^2 = 100 \text{ cm}^2.$$

Tabela do zamiany sążni □ na ha, a, m².

Sążnie kwadr.	m ² cm ²	Sążnie kwadr.	a m ² cm ²	Sążnie kwadr.	ha a m ² cm ²
1	3 597	20	— 71 940	200	1/8 morga — 7 19 375
2	7 194	30	1 7 910	300	— 10 79 75
3	10 791	40	1 43 880	400	1/4 morga — 14 38 750
4	14 388	50	1 79 850	500	— 17 98 350
5	17 985	60	2 15 820	600	— 21 58 50
6	21 582	70	2 51 790	700	— 25 17 750
7	25 179	80	2 87 760	800	1/2 morga — 28 77 500
8	28 776	90	3 23 730	900	— 31 37 300
9	32 373	100	3 59 700	1000	— 35 96 875
10	35 970			1100	— 39 56 700
				1200	— 43 16 250
				1300	— 46 76 75
				1400	— 50 35 775
				1500	— 53 95 475
				1600	1 mórg — 57 55 —

Tabela do zamiany morgów na ha, a, m².

morgi	ha a m ²	morgi	ha a m ²	morgi	ha a m ²	morgi	ha a m ²
1	— 57 55	11	6 33 5	21	12 8 55	31	17 84 5
2	1 15 10	12	6 90 60	22	12 66 10	32	18 41 60
3	1 72 65	13	7 48 15	23	13 23 65	33	18 99 15
4	2 30 20	14	8 5 70	24	13 81 20	34	19 56 70
5	2 87 75	15	8 63 25	25	14 38 75	35	20 14 25
6	3 45 30	16	9 20 80	26	14 96 30	36	20 71 80
7	4 2 85	17	9 78 35	27	15 53 85	37	21 29 35
8	4 60 40	18	10 35 90	28	16 11 40	38	21 86 90
9	5 17 95	19	10 95 45	29	16 68 95	39	22 44 45
10	5 72 50	20	11 51 —	30	17 26 50	40	23 2 —

Spróbujmy to obliczyć na przykładzie: Pewna parcela ma 2 morgi i 1158 sążni. Zapiszmy na karteczce, a przekonamy się przy pomocy powyższych tabel, że:

$$2 \text{ morgi} = 1 \text{ ha } 15 \text{ a } 10 \text{ m}^2$$

$$1100 \text{ sążni} = 39 \text{ a } 56 \text{ m}^2$$

$$50 \text{ sążni} = 1 \text{ a } 79 \text{ m}^2 \text{ } 850 \text{ cm}^2$$

$$8 \text{ sążni} = 28 \text{ m}^2 \text{ } 776 \text{ cm}^2$$

$$\text{Razem } 2 \text{ morgi } 1158 \text{ sążni} = 1 \text{ ha } 56 \text{ a } 74 \text{ m}^2 \text{ } 625 \text{ cm}^2.$$

Tabela do zamiany metrów □ na sążnie i arów na morgi i sążnie.

m ²	sążnie	ary	sążnie	ha	morgi	sążnie	ha	morgi	sążnie
1	0.28	(100 m ²)	28	1	1	1200	21	36	1200
2	0.56		56	2	2	800	22	38	800
3	0.84		84	3	3	400	23	40	400
4	1.12		112	4	4	—	24	42	—
5	1.40		140	5	5	8	1200	25	43
6	1.68	5	168	6	10	800	26	45	800
7	1.96	6	196	7	12	400	27	47	400
8	2.24	7	224	8	14	—	28	49	—
9	2.52	8	252	9	15	1200	29	50	1200
10	2.80	9	280	10	17	800	30	52	800
20	5.60	10	560	11	19	400	31	54	400
30	8.40	20	840	12	21	—	32	56	—
40	11.20	30	1120	13	22	1200	33	57	1200
50	14.—	40	1400	14	24	800	34	59	800
60	16.80	50	1600	15	26	400	35	61	400
70	19.60	60	180	16	28	—	36	63	—
80	22.40	70	360	17	29	1200	37	64	1200
90	25.20	80	640	18	31	800	38	66	800
100	28.—	90	920	19	33	400	39	68	400
		100	1200	20	35	—	40	70	—
		(1 ha)							

Przykład. Pewna parcela wynosi 3 ha 72 a 4 m², a więc według tej tabelki obliczymy, że:

$$3 \text{ ha} = 5 \text{ morgów } 400 \text{ sążni}$$

$$70 \text{ arów} = 1 \text{ » } 360 \text{ »}$$

$$2 \text{ ary} = \text{ » } 56 \text{ »}$$

$$4 \text{ m}^2 = \text{ » } 1 \text{ »}$$

$$\text{Czyli } 3 \text{ ha } 72 \text{ a } 4 \text{ m}^2 = 6 \text{ morgów } 817 \text{ sążni.}$$

Tabela do zamiany łokci krajow. na metry i centymetry.

(1 łokieć = 24 cale).

łokcie	m	cm	łokcie	m	cm	łokcie	m	cm	łokcie	m	cm
1	0	63	11	6	95	21	13	72	31	19	59
2	1	26	12	7	58	22	13	90	32	20	42
3	1	89	13	8	21	23	14	53	33	20	85
4	2	52	14	8	84	24	15	16	34	21	48
5	3	16	15	9	48	25	15	80	35	22	12
6	3	79	16	10	11	26	16	43	36	22	75
7	4	45	17	10	74	27	17	6	37	23	38
8	5	5	18	11	37	28	17	69	38	24	1
9	5	68	19	12	—	29	18	32	39	24	64
10	6	32	20	12	64	30	18	96	40	25	28

Tabela do zamiany metrów na łokcie ciesielskie krajowe.

(1 łokieć = 24 cale).

metry	łokcie cale	metry	łokcie cale	metry	łokcie cale	metry	łokcie cale
1/2	1 1/2	7	11	17	10	21	33
1	1 1/2	2	12	19	—	22	34 1/2
2	3	4	13	20 1/2	2	23	36
3	4 1/2	6	14	22 1/2	4	24	38
4	6	8	15	23 1/2	6	25	39 1/2
5	7 1/2	10	16	25	8	26	41
6	9 1/2	—	17	26 1/2	10	27	42 1/2
7	11	2	18	28 1/2	—	28	44
8	12 1/2	4	19	30	2	29	45 1/2
9	14	6	20	31 1/2	3	30	47 1/2
10	15 1/2	8					

Niektóre rachuby czasu czyli ery.

Rachuba czasu czyli era chrześcijańska liczy lata od Narodzenia J. Chr. i rozpoczyna z dniem 1 stycznia rok 1904

W państwie rosyjskiem liczą podług starego kalendarza, podług którego Nowy Rok przypada na dzień 14 stycznia naszego kalendarza.

Cerkiew grecka liczy lata od stworzenia świata, ale nie stosuje się do biblii, bo rozpoczęła 1-go września 1903 roku swój rok 7412.

Żydzi liczą także lata od stworzenia świata. Z dniem 22 września 1903 r. rozpoczynają rok 5664, a jest to rok zwyczajny i liczy 354 dni. Z dniem 10-go września 1904 rozpoczynają swój 5665 rok, który jest zwykłym nadliczbowym rokiem i liczy 385 dni i kończy się 29 września 1905.

Turcy, Persowie, Arabowie i reszta wyznawców wiary mahometańskiej liczą lata od ucieczki Mahometa z Mekki do Medyny. Z dniem 30-go marca 1903 roku rozpoczęli rok 1321-szy a następny, 1322-gi, rozpoczyna z dniem 18-go marca 1904 roku. Pierwszy rok jest zwyczajny i liczy 354 dni, drugi rok jest przestępny i liczy 355 dni.

Pory roku 1904.

Wiosna zaczyna się, kiedy słońce wstępuje w znak barana, 21 marca, o godzinie 8 rano. Zrównanie dnia z nocą, czyli dzień tak długi jak noc.

Lato zaczyna się, kiedy słońce wstępuje w znak raka, 22 czerwca, o godzinie 4-tej rano. Dzień najdłuższy, noc najkrótsza, czyli przesilenie dnia z nocą, gdyż odtąd dni stają się coraz krótsze.

Jesień zaczyna się, kiedy słońce wstępuje w znak wagi, 23 września, o godz. 7 wieczorem. Zrównanie dnia z nocą; odtąd noce dłuższe od dni.

Zima zaczyna się, kiedy słońce wstępuje w znak koziorożca, 22 grudnia, o godz. 2 po połud. Przesilenie dnia z nocą, czyli noc najdłuższa, dzień najkrótszy; odtąd zaczyna dnia przybywać.

Suche dni.

W środę, piątek i sobotę:

- dnia 24-go, 26-go i 27-go lutego,
- „ 25-go, 27-go i 28-go maja,
- „ 21-go, 23-go i 24-go września,
- „ 14-go, 16-go i 17-go grudnia.

Dni krzyżowe.

W poniedziałek, wtorek i środę przed Wniebowstąpieniem Pańskim t. j. dnia 9, 10 i 11 maja.

† oznacza suche dni, krzyżowe dni i wigilie z postem.

Święta ruchome.

Popielec 17-go lutego. Wielkanoc 3-go kwietnia. Wniebowstąpienie Pańskie 12-go maja. Zielone Świątki 22-go maja. Niedziela św. Trójcy 29-go maja. Boże Ciało 2-go czerwca. Pierwsza niedziela adwentowa 27-go listopada.

Kalendarz żydowski.

Święta ściśle obchodzone oznaczone są (*) gwiazdką.

Post Estery 29 lutego. Purim 1 marca. Pascha (Wielkanoc)* 31-go marca. Drugie święto* 1 kwietnia. Siódme święto* 6 kwietnia. Koniec paschy* 7 kwietnia. Święto tygodniowe* 20 maja. Drugie święto 21 maja. Post, zbuzrzenie Jerozolimy 30 czerwca. Nowy rok (5665)* 10 września. Drugie święto* 11 września. Post Gedaliah 12-go września. Święto pojednania* 19 września. Kuczki* 24 września. Drugie święto* 25 września. Koniec kuczek* 1 października. Radość z nadania praw 2 października.

Rok 1904 jest:

Od stworzenia świata podług Kalwizyusza	5664
Od śmierci Chrystusa Pana	1871
Od zburzenia Jerozolimy	1834
Od wprowadzenia kalendarza Juliańskiego	1949
Od początków państwa polskiego	1354
Od czasów zaprowadzenia dzwonów po kościołach	1152

Od zaprowadzenia chrześcijaństwa w Polskę	939
Od odkrycia żup solnych w Wieliczce	671
Od założenia akademii krakowskiej	540
Od wynalazku prochu	524
Od połączenia Litwy z Polską przez Jadwigę i Jagiełłę	518
Od wynalazku druku	464
Od wydrukowania pierwszej książki w Krakowie	439
Od urodzenia Mikołaja Kopernika	431
Od odkrycia Ameryki	412
Od wprowadzenia kalendarza gregoriańskiego	322
Od czasu używania tytoniu i tabaki w Europie	301
Od wynalazku teleskopów	295
Od wynalazków zegarów ściennych	247
Od odkrycia siły parowej	206
Od czasu przyznania Prusom tytułu królewskiego	203
Od przyłączenia Śląska do Prus	162
Od czasu pierwszego rozbioru Polski	132
Od czasu rozpowszechnienia kartofli w Europie	131
Od czasu drugiego rozbioru Polski	111
Op czasu trzeciego rozbioru Polski	109
Od utworzenia księstwa Warszawskiego	97
Od utworzenia W. Księstwa Poz. pod pan. Prus	85
Od zaprowadzenia elektro-magnetycznego telegrafu	67
Od założenia pierwszej polskiej gazety na Śląsku	62

Znaki księżycy.

☾ pełnia. ☾ now. ☾ pierwsza kwadra. ☾ ostatnia kwadra.

Liczba zwrotów kalendarzskich.

Złota liczba 5. — Epakta XIII. — Okręg słońca 9.

Litera niedzielna CB.

Epakta podaje liczbę dni, o którą now księżycy poprzedził dzień N. Roku.

Liczba złota podaje, którym rokiem jest rok bieżący w 19-rocznym peryodzie epakt. 1903 był z rzędu 4, rok 1904 jest 5-tym. Liczba złota dochodzi do 19, a potem znów zaczyna się liczyć od 1-go.

Literę niedzielną znaleźć można w ten sposób, że każdy dzień od N. Roku począwszy oznacza się po kolei literami a, b, c, d, e, f, g. Litera, która przypadnie na pierwszą niedzielę, jest literą niedzielą całego roku. Każdy rok przestępny ma dwie litery niedzielne i to aż do 29 Lutego jedną, a odtąd drugą. Litery niedzielne powtarzają się co 28 lat (4×7), a liczba, podająca, którym rokiem w owym 28-rocznym peryodzie jest bieżący, zowie się okręgiem słońca. Rok 1902 jest 8 z rzędu.

Zaćmienia.

W roku 1904 zdarzą się dwa zaćmienia słońca, ale żadne nie będzie u nas widzialne.

Pierwsze zaćmienie przypadnie na dzień 17-go marca w godzinach przedpołudniowych. Rozpocznie się o 3-ciej godz. 36 minut rano na wschód od Madagaskaru i rozciągnie się ponad wschodnią połowę Afryki, wschodnio-południowe Azję, nad Oceanem Indyjskim, nad zachodnią częścią Oceanu Spokojnego i zakończy się przy archipelagu Magelhaens'a o 9 godz. 45 minut rano. Centralne zaćmienie będzie widocznem głównie w Indyach.

Drugie zaćmienie słońca przypada na 9-go września nad wieczorem. Będzie zupełnem i zacznie się o 7 godz. 8 minut wieczorem na północ-wschód od archipelagu Marschall a skończy się na zachód od wybrzeża Chili o 2 godz. 1 minut po północy.

Zaćmienie to będzie widocznem na południowej połowie Oceanu Spokojnego i w zachodniej części Ameryki południowej; najwyraźniej będzie je można zauważyć w mieście Caldera w Chili.

Zaćmieniem słońca nazywa się całkowite lub częściowe zakrycie tarczy słońca przez księżyc na nowiu.

Zaćmienie księżycy następuje wtedy, gdy księżyc w pełni wchodzi w cień, rzucony przez ziemię.

Słońce jest 1,253,000 razy większem od ziemi. Księżyc jest 49 razy mniejszy od ziemi, a jest od niej 386,000 kilometrów oddalony.

W redakcyi „Prawdy” (Kraków, ulica Kanonicza 7)

są do nabycia cenne książeczki:

Święta Salomea. Napisał O. L. Raiss. Żywoć św. Salomei skreślił autor we formie nadobnego wiersza. Wydanie ozdobne ze złoconymi brzegami i obrazkiem, przedstawiającym ołtarz św. Salomei w kościele OO. Franciszkanów w Krakowie. Książeczka przedstawia się ujmująco. Cena 20 halerzy.

Iść czy nie iść? Napisał Fr. Bachowski. Cena 8 hal. Jest to bardzo dobry poradnik dla tych, którzy wychodzą, albo wyjeżdżają za robotą do obcych krajów.

Światło do „Latarni”. Napisał Franciszek Bachowski. Autor zbija błędy socjalistów. Książeczka bardzo ciekawa. Cena 8 halerzy.

Kazimierz Pułaski, przez dra Stanisława Kozłowskiego. Autor w barwnych słowach opisuje pokrótce żywot naszego bohatera narodowego, a szczególnie jego pobyt w Ameryce i śmierć bohaterską. Cena 20 hal.

Czy pożytecznem jest ludowi oszukiwanie go? Napisał Zarzycki. Autor zbija trafnie wywody Tuszy,

wydrukowane w kalendarzu socjalistów na r. 1901. Broszura nadaje się szczególnie do miast i miasteczek. Cena 4 halerze.

Przyjaciel ludu, obrazek sceniczny z nutami przez X. Wróbla. Cena 1 kor.

O wyborach do Sejmu. Napisał A. P. Cena 10 hal. (Znaczenie Sejmu. — Kto ma prawo głosowania na posłów sejmowych? — Program stronnictwa katolicko-narodowego.)

O demokracji chrześcijańskiej i o stronnictwie katolicko-narodowem. Napisał A. P. Cena 10 hal.

Socjaliści a religia. Napisał Zarzycki. Jest to odpowiedź na zarzuty podnoszone przez socjalnych demokratów przeciw religii. Cena 6 halerzy.

Jasielka napisana bardzo przystępnie i zastosowane do pojęć ludu z pieśniami i nutami, cena 20 hal. W tej książeczce znajduje się pieśń do Najświętszej Rodziny (słowa i melodya na dwa głosy).

BIBLIOTEKA „PRAWDY”.

Chcąc przyjąć z pomocą tak przewodnikom ludu jakoteż włościanom, pragnącym zdrowej oświaty, nadto pragnąc wyrugować lub osłabić wpływ złych książek i zasad, postanowiła redakcyja „Prawdy” wydawać co rok 5 do 6 książeczek. Wydawnictwo to nosi nazwę: „Biblioteka Prawdy” i wydało już następujące książeczki:

- 1) **Słowianie**, napisał prof. J. Magiera.
- 2) **O księgach gruntowych**, napisał M. Szybański, c. k. radca sądowy. (2 nakłady wyczerpane.)
- 3) **O należytościach skarbowych**, p. dra Koscha, adwokata krajowego.
- 4) **Pogadanki o socyalizmie**, przez Ks. M. J.

W roku 1903 wyjdą jeszcze następujące książki:
1) **O Napoleonie**, przez dra Stanisława Kozłowskiego.
2) **O zawodowych stowarzyszeniach rolniczych**, napisał dr. Komorowski. 3) **Bohdan Zaleski**, napisał prof. Mikołaj Mazanowski. 4) **Św. Franciszek Seraficki**, napisał O. Floryan, Kapucyn.

W roku 1904 wydamy 5 książeczek treści prawnej, historycznej, powieściowej i religijnej. W pierwszym miesiącu 1904 roku wyjdzie książka pod tytułem: **O opiece nad sierotami**. W następnych miesiącach: **Literatura polska w życiorysach**.

Każda książeczka kosztuje 20 hal. i 3 hal. na przesyłkę. Prenumerata roczna biblioteki „Prawdy”, obejmującej 5 do 6 książeczek, wynosi tylko 1 koronę, koszt przesyłki ponosi redakcyja. Kto zamawia książeczki w przyszłości z roku 1902 i tego roku, płaci tylko 1 koronę 60 hal.

Biblioteka „Prawdy” doznaje coraz większego uznania. Nie możemy przytaczać wyjątków ze wszystkich gazet, które witają bibliotekę „Prawdy” jako nader pożyteczne wydawnictwo. Przytaczamy słowa kilku pism bardzo poważnych:

„Gazeta kościelna” podała następującą ocenę biblioteki „Prawdy”: „Jedno z najmielszych pism ludowych, krakowska „Prawda”, obok innych broszur przydatnych bardzo dla ludu, rozpoczyna obecnie tanią biblioteczkę ludową.

Nr. 1. „Słowianie” przez J. Fr. Magierę, obznajamia nas z pokrewnymi narodami słowiańskimi. Piękne przedstawienie dobrych stron tych pobratymczych narodów, wyjątki z ich piśmiennictwa i inne wiadomości zalecają to dzieło.

Nr. 2. „O księgach gruntowych” przez radcę sądu wyższego p. Mieczysława Szybańskiego. Jest to książeczka praktyczna, napisana przez fachowca, a jednak przystępnie, gdzie czytelnik nauczy się wiele i na niejedną trudność znajdzie odpowiedź. Polecamy więc Braciom naszym to nowe wydawnictwo ludowe.

Dwutygodnik katechetyczny poleca gorąco nabycie książeczek biblioteki „Prawdy”, albowiem ochronią czytelników przed ogromnymi szkodami, na jakie narażają się włościanie, szukając pomocy u pokątnych pisarzy.

„Czas” umieścił taką ocenę: Redakcyja „Prawdy” rozpoczęła wydawnictwo pod tytułem „Biblioteka Prawdy”, którego przeznaczeniem jest dostarczanie ludowi zdrowego i pożytecznego pokarmu duchowego w postaci tanich książeczek, obejmujących przystępnie przedstawione wiadomości i opowiadania, odnoszące się do najważniejszych gałęzi wiedzy ludzkiej. Pierwszą próbę na tem polu stanowi książeczka: „Pogadanka o księgach gruntowych i o katastrze”. Rzecz przedstawiona jest jasno, przystępnie i w sposób mogący zainteresować czytelnika.

Również z uznaniem dla wydawnictwa „Biblioteki Prawdy” wyrażały się następujące pisma: „Reforma”, „Głos Narodu”, „Przedświt”, a zwłaszcza „Przewodnik Kółek rolniczych”, w którym znajdujemy pochwałę dla trzeciej książeczki pod tytułem: „O należytościach skarbowych”.

Rozważcie więc, że 1) książeczki biblioteki „Prawdy” są bardzo pożyteczne; 2) bardzo tanie, gdyż tylko 20 halerzy kosztuje jedna prócz przesyłki; 3) w tym roku wydamy 5 tomików treści bardzo pouczającej, jak o socyalizmie, o zawodowych stowarzyszeniach rolniczych, wreszcie życiorysy sławnych pisarzy. Nadto wydamy w następnych latach historię kościoła katolickiego i historię polską, wiele książeczek prawnych, rolniczych treści i powieści. Cały rok kosztuje tylko 1 koronę.

Każdy obywatel powinien mieć bibliotekę „Prawdy”!



Nowość!



10 obrazków olejnych w ramkach malowanych. Format 15X20, tylko 2 korony.

10 obrazków w ozdobnych ramkach. Format 18X24, tylko 4 korony.

10 obrazków w ramkach nader modnych, format 20X26, tylko 5 koron.

Na żądanie dostarczam obrazów wielkich i t. d.

Dyamenty do rżnięcia szkła wszystkich gatunków od 5 koron do 15 koron.

Wysyłam tylko za poprzednim nadesłaniem należytości, albo za nadesłaniem zadatku 1 koronę w liście markami pocztowymi. Marki pocztowe wszelkich krajów i stemple wszelkie przyjmuje się zamiast gotówki.

Listów nie opłaconych nie przyjmuje się.

Na odpowiedź należy załączyć markę za 10 halerzy.

J. J. Bystryk

w Majdanie Kolbuszowskim (Galicya).

